

**POLSCY BISKUPI
I KORPORACYJNA LOJALNOŚĆ**

**DEMOKRACJA PRZEGRYWA
Z FACEBOOKIEM**

**DR PAWEŁ ŁĘGOSZ
SKĄD TAKIE KOLEJKI U ORTOPEDÓW**

**CZY W APTEKACH
ZABRAKNIĘ LEKÓW**

TARGOWICA

KTO PATRIOTA, KTO ZDRAJCA?



SPUTNIK

nad Polską

FESTIWAL FILMÓW ROSYJSKICH

Warszawa
18 – 28.11.2021
Luna Iluzjon

grudzień-maj 2022
inne miasta
www.sputnikfestiwal.pl

www.mojeekino.pl
1-9.12.2021





Bez buntu nic się nie zmieni

Gdy widzimy, że łamane są prawa człowieka, a życie i zdrowie kobiety nie ma dla władzy większego znaczenia, nie możemy być bierni. Bo ta bierność jest dziś w Polsce faktycznym współsprawstwem. Nie wystarczy powiedzieć czy napisać, jak bardzo nas oburza śmierć pani Izabeli w szpitalu w Pszczynie. Nie pierwsza to przecież ofiara barbarzyńskiego wyroku Trybunału Przyłębskiej, który pozbawił kobiety możliwości usunięcia ciąży nawet w przypadku nieodwracalnej i nieuleczalnej wady płodu. Za tę i inne śmierci, za krzywdy i cierpienie wielu tysięcy kobiet i ich rodzin odpowiadają wszyscy, którzy doprowadzili do tego haniebnego wyroku. Są ofiary. I są sprawcy. Pora na ich osądzenie. Na rachunek za przehandlowanie praw kobiet, byle tylko dostać poparcie Kościoła. Za oportunistów i kunktatorstwo polityków. I za tchórzostwo, z jakim cynicy schowani za religijnymi sztandarami przysmykali oczy, głosując za represyjnymi przepisami.

Wszyscy, co do jednego, powinni się znaleźć na publicznej liście hańby. Każdy z nich musi odpowiedzieć za stworzenie polskim kobietom piekła na ziemi.

Prawicowym fundamentalistom od lat dedykuję tę samą radę: nie chcecie aborcji, to jej sobie nie róbcie. Zaczynajcie właśnie od siebie. Od polityków PiS, Solidarnej Polski czy Konfederacji. Od księży i zakonników. Bo lista

tych, którzy zmusili swoje żony lub partnerki do aborcji, jest za długa na łamy PRZEGLĄDU.

Do tych, którzy są na liście hańby, trzeba mówić takim językiem, który potrafią zrozumieć. Czyli tym, którego zwykli używać, rozmawiając ze sobą, gdy nie ma kamer. Bo tylko taki język jak ten ze Strajku Kobiet sprowadza ich na ziemię. Widziałem wtedy u nich i ich medialnych pomagierów przerażenie wizją utraty władzy i strach przed odpowiedzialnością za te paranoiczne rządy. Za łamanie praw człowieka, za korupcję, złodziejstwo i cały wór patologii.

Potencjał do buntu społeczeństwa przeciwko tym praktykom jest już ogromny. I gdyby nie tak mało wiarygodna opozycja i jej popiskiwanie, byłoby już po PiS posprzątane. Ale naprawdę lepiej może być w Polsce, dopiero gdy do historii przejdzie cały POPiS. Mądrzy i uczciwi politycy powinni zbudować sobie inny statek na te nowe, trudne czasy. A przestępców politycznych rozliczyć trzeba. Na czele z Jarosławem Kaczyńskim, który jest autorem tak paskudnych słów: „Partia będzie dążyć do tego, by nawet przypadki ciąży bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię”.

BAKOWSKI



Z NEWSLETTEREM TANIEJ

Zapisz się do naszego newslettera na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Będziesz otrzymywać kody rabatowe do wykorzystania na przedsięwzięcia zakupy

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY TYGODNIA

BOGDAN DE BARBARO,

psychiatra, psychoterapeuta

Mamy dziś pandemię nienawiści, pandemię głupoty i pandemię postprawdy. A energia koronawirusa te trzy pandemie wzmacnia.

„Zwierciadło”

KATARZYNA DOWBOR, dziennikarka

Życie jest stanowczo za krótkie, żeby się martwić i narzekać na to, co widzimy w lustrze.

„Wysokie Obcasy”

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Targowica 2021**
– kto patriota, kto zdrajca?
Politykę zastąpił hejt
- 11 Bardziej głupota niż zdrada**
– rozmowa z prof. Jarosław Porazińskim
- 14 Granica współczucia**
Kto pomaga uchodźcom?
- 18 Na wschodniej granicy nie toczy się żadna wojna, nawet hybrydowa**
– rozmowa z dr. Piotrem Łubińskim
- 25 Czy nie zabraknie leków w aptekach?**
Wszystko zależy od Chin
- 28 Uwaga, dron**
Niebezpieczeństwo na niebie
- 32 Europa w końcu wyraźnie widzi kobiety**
Przełomowa rezolucja
- 34 Wracają**
Pandemiczne migracje z metropolii

KOŚCIÓŁ

- 22 Polscy katolicy zostali sami**
Biskupi dalej robią swoje

ZAGRANICA

- 38 Dzień świstaka po słowacku**
Sytuacja covidowa się zaostrza
- 40 Algorytmy nienawiści**
Demokracja przegrywa z Facebookiem
- 42 Szczyt niczego**
COP26 – nowe obietnice, stare podziały

HISTORIA

- 44 Grynszpan, Goebbels i Bonnet**
Francuskie wsparcie dla Niemiec
- 46 Zdekomunizowany profesor**
Romuald Cebertowicz na cenzurowanym

KULTURA

- 48 Naprawiać świat małymi krokami**
– rozmowa z Tadeuszem Łysiakiem
- 50 Pan tu chyba zostanie na dłużej**
Wspomnienia Jana Suzina
- 53 Kulturalia**
- 66 Mira Smerek-Bielecka**
Światy nierzeczywiste, światy ukryte...

ZDROWIE

- 54 Medyczne biedronki**
– rozmowa z dr. Pawłem Łęgoszem

ZWIERZĘTA

- 58 Czy zwierzęta się boją?**
O życiu emocjonalnym fauny

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Bez buntu nic się nie zmienia
- 21 Andrzej Romanowski**
Tu jest Polska, a nie Unia
- 31 Roman Kurkiewicz**
Zawracanie świata kijem (prawicowym)
- 37 Tomasz Jastrun**
Cukierek albo psikus
- 57 Wojciech Kuczok**
Polski Wyziwiusz



14
KRAJ

GRANICA WSPÓŁCZUCIA

Kto pomaga uchodźcom?

42
ZAGRANICA



SZCZYT NICZEGO

COP26 – nowe obietnice, stare podziały



NAPRAWIAĆ ŚWIAT MAŁYMI KROKAMI

– rozmowa z Tadeuszem Łysiakiem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER



Dwa miliony Polaków w skrajnym ubóstwie

Skoro za PiS są dwa miliony w skrajnej biedzie, to ile mogłoby być za rządów neoliberalistów, skoro klasyk twierdził: pieniędzy nie ma i nie będzie? No i okazuje się, że za tej wstrętnej „komuny” był mniejszy stopień ubóstwa (i to po zrujnowaniu gospodarki przez solidarnościowe strajki) niż za wspaniałej wolnej Rzeczypospolitej.

Sebastian Wieliczko



Czym dla Polaków jest pojęcie dobra wspólnego?

Bardzo dobre pytanie, godne najmocniejszych głów. Moim zdaniem takie pojęcie od 1989 r. zaczęło umierać, a po roku 2015 zostało dobite. Dobra wspólne dla wszystkich Polaków po prostu dziś już nie istnieje.

Andrzej B. Izdebski

Niestety, Polacy bardzo słabo funkcjonują jako wspólnota. Zwykle konsoliduje ich wspólny wróg. W czasie pokoju wspólnota się rozpada. Nie potrafimy szanować wspólnego dobra, stąd tyle wandalizmu i niedbalstwa wokół. Teraz Polacy w ramach tzw. patriotyzmu gorliwie zwalczają się wzajemnie.

Nina Bartkiewicz

Polak to pewnie jakoś połączy z kapitalizmem, tak żeby przypadkiem sąsiad nie miał za dobrze.

Tomek Murczenko

Jesteśmy „zagrodowi” i nie ma to nic wspólnego ze społeczeństwem – moje jest najważniejsze.

Hanna Kalota

Dobro wspólne w Polsce kończy się tam, gdzie geodeta wskaże. Reszta to „ziemia niczyja”. Widać to najlepiej po hałdach śmieci w lasach i nie tylko.

Piotr Ch.

Dla Polaka „wspólne” zawsze oznaczało „niczyje”, więc można było sobie zabrać (czyli ukraść).

Jarosław Ogarek

Dworczyk – gorący kartofel władzy

Akurat to, że Dworczyk skłócił lewicę z platformersami, było niezamierzonym prezentem dla lewicy. Okazało się, że lewica to nie lokaj PO i to Platforma wyszła na kompletnych politycznych debili i socjopatów. W PiS są ludzie, którzy zapewnią tej partii długie utrzymanie się u władzy, gdyby jednak w przyszłych wyborach PiS ją straciło, to koalicję PO-Konfederacja-Polska 2050 (ewentualnie jeszcze PSL, jeśli przekroczy próg wyborczy) czeka wojna na wyniszczenie z pisowcami.

Jeśli lewica porzuci marzenie o jak najszybszym powrocie do władzy i skupi się na odtwarzaniu własnej ideowej pozycji (nawet w wersji niewielkiego, ale o stałym poparciu wyborców, bloku politycznego), może zyskać rolę jęczyczka u wagi i będzie to pozycja silniejsza od tej, którą uzyskaliśmy, gdyby chwilowo chwyciła stery władzy.

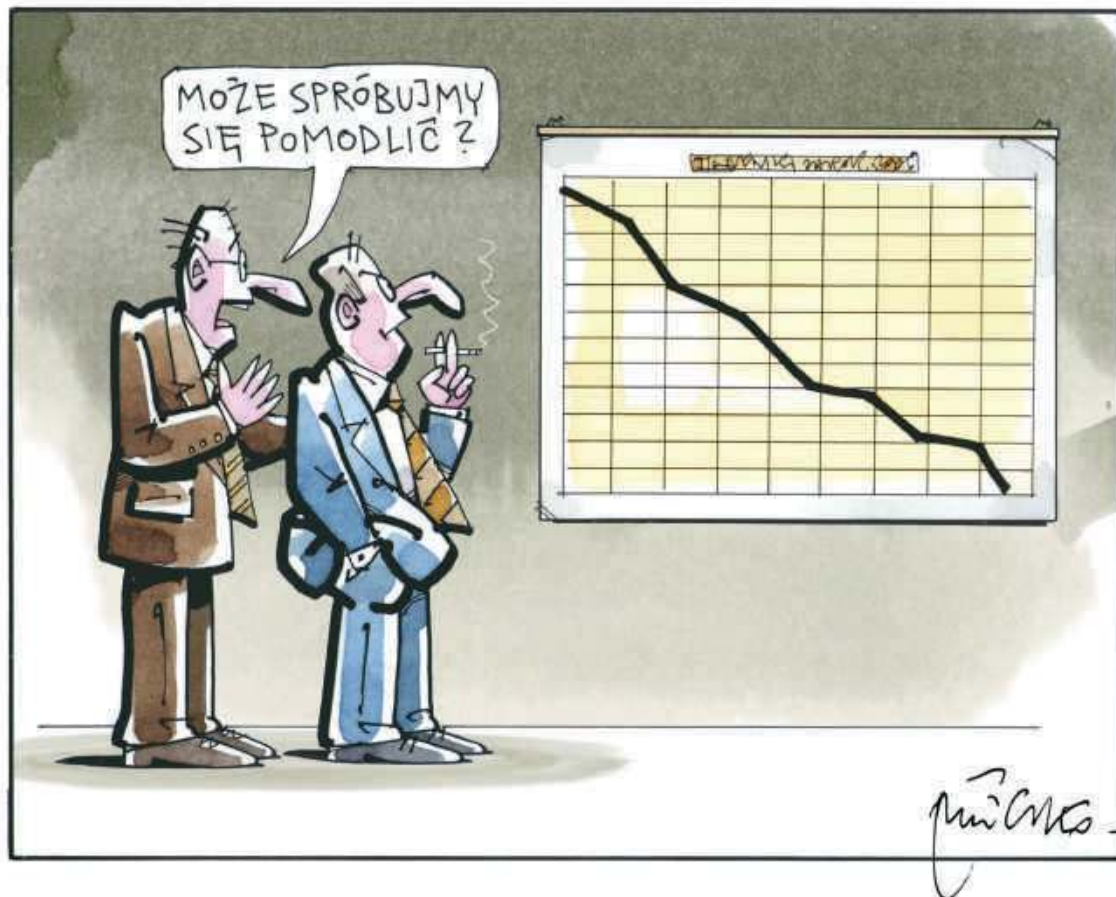
Olaf Nowaczyk



ZDJĘCIE TYGODNIA



Pierwsze papryki wyhodowane na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Zaczęły rosnąć w lipcu tego roku, pod koniec października były gotowe do zerwania.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Adam Glapiński jest uważany za jednego z najgorszych szefów banków centralnych w Europie?

PROF. STANISŁAW FLEJTERSKI,
*ekonomista, Wyższa Szkoła Bankowa
w Poznaniu*

Szczegółnej roli wiarygodnego i budzącego zaufanie banku centralnego dla stanu finansów i gospodarki nie sposób przecenić. Społeczną i konstytucyjną odpowiedzialność NBP, w tym Rady Polityki Pieniężnej z prezesem na czele, dobrze oddaje motto: „Dbamy o wartość polskiego pieniądza”. Kanonem jest niezależność banków centralnych od władzy politycznej. Oczywiście NBP nie jest samotną wyspą, dbając przede wszystkim o realizację celu inflacyjnego, powinien inteligentnie wspierać politykę gospodarczą rządu. Informacje dotyczące poziomu inflacji w ostatnich miesiącach są mocno niepokojące, podobnie jak pozycja prezesa NBP w najnowszym rankingu „Global Finance”. To tylko ranking, ale przy okazji ostrzeżenie. Polityka pieniężna jest trudnym rzemiosłem, ale i sztuką; wiele zależy od tego, czy decyzje podejmowane są na czas. Znam od lat wartościowe publikacje prof. Adama Glapińskiego z zakresu historii i metodologii ekonomii, tym bardziej więc jestem zaskoczony i zmartwiony jego niektórymi nabrzmiałymi

publicystycznymi i politycznymi komentarzami jako prezesa NBP. Warto wyciągać wnioski z doświadczeń i zrobić wszystko, aby okiełznać hydrę inflacji – zjawisko o licznych negatywnych konsekwencjach.

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Ponieważ nie dba o niezależność swojej instytucji ani o siłę polskiej waluty, tylko jest na usługach partii rządzącej. Prezes banku, który udaje, że nie ma inflacji, który ustala stopy procentowe na takim poziomie, żeby nie pokazywać rozmiarów zadłużenia państwa wygenerowanego przez PiS – dba o interesy rządu, a nie obywateli. Na szczęście w Radzie Polityki Pieniężnej zasiada trochę myślących osób, co wymusza na prezesie Glapińskim nieco inne decyzje i lepsze dopasowanie stóp procentowych do rzeczywistego poziomu inflacji, co leży zwłaszcza w interesie najbardziej potrzebujących. Za kilka lat polityka prezesa NBP, przede wszystkim szybkie drukowanie pieniędzy, które nie mają pokrycia, wygeneruje bardzo poważny kryzys finansowy, dlatego uważam jego kadencję za najgorszą z tych, które znam.

JAN J. ZYGMUNTOWSKI,
*ekonomista, współprzewodniczący
Polskiej Sieci Ekonomii*

Nie znam metodyki niedawno ogłoszonego rankingu prezesów banków centralnych, ale Glapińskiego zdecydowanie jest za co krytykować. Pierwsza sprawa – rolę NBP jest stabilizowanie oczekiwań, tymczasem wykonuje on dziwne, nagłe ruchy, niezrozumiałe w kontekście wcześniejszych komunikatów. Drugim poważnym zarzutem jest celowe zaniżanie wartości złotego – zwiększające zyski eksporterów, ale także koszty importu paliw czy transportu morskiego, co przekłada się na podwyżki cen większości produktów konsumpcyjnych. Trzecim zarzutem jest podnoszenie stóp procentowych, niemające sensu, gdyż polityka pieniężna nie ma wpływu na obecną inflację, jedynym efektem jest wzrost kosztów kredytów. Czwartym zarzut – nie widać żadnego zaangażowania Glapińskiego rolą banku centralnego w kontekście zmian klimatu, tymczasem już za cztery-pięć lat mogą one być najważniejszym czynnikiem kształtującym cenę złotego.

Not. Michał Sobczyk

Targowica 2021

– kto patriota, kto zdrajca?

Politykę zastąpił hejt. Logiki w tym nie ma.
Głupek zrównywany jest z mędrcom

Robert Walenciak

„PiS ustami posta (Janusza) Kowalskiego wskazuje 2027 r. jako datę referendum w sprawie wyjścia Polski z Unii. Tak wygląda zdrada stanu”, napisał na Twitterze lider PO Donald Tusk.

Już chwilę potem odpowiedziała posłanka PiS Joanna Lichocka: „Dla znaczącej części Polaków zdrada stanu ma współcześnie twarz Donalda Tuska. Tak właśnie ona wygląda – mniej więcej od czasu Smoleńska”.

Konferencja Ambasadorów RP, zrzeszająca byłych ambasadorów, w swoim stanowisku napisała m.in., że „sytuacja na granicy z Białorusią staje się dla Polski haniebna: zaczyna spełniać znamiona zbrodni przeciwko ludzkości”.

Od razu odpowiedział ambasadorom znany piśmowski intelektualista, minister Przemysław Czarnek: „To są ludzie, którzy absolutnie nie reprezentują interesu państwa i narodu polskiego”. I dalej: „Mamy taką okoliczność i sytuację dzisiaj, w której przyrównujemy tego rodzaju postawy do Targowicy. Ja chcę powiedzieć, że przyrównywanie tego rodzaju postaw do Targowicy jest szarganiem dobrego imienia ludzi Targowicy. Bo oni coś jeszcze mieli na myśli, jakiś interes – choćby prywatnie pojmowany, ale jednak narodowy i polski”.

Takich czasów dożyliśmy – debatę polityczną zastąpiły krótkie hasła, jak wbijane gwoździe. W Sejmie posłowie PiS stają naprzeciw tych z PO, jedni drugich wskazują palcem i krzyczą: „Precz z komuną! Precz z komuną!”. Albo: „Targowica! Targowica!”.

I wszystko jasne. Najprościej komuś zarzucić, że jest zdrajcą, agentem, że jest na cudzym żołądce. To



Obie strony politycznego sporu nazywają się nawzajem zdrajcami. Demonstracja w obronie obecności Polski w Unii Europejskiej. Gdańsk, 10 października 2021 r.

jest jak bomba atomowa – bo ze zdrajcą nie trzeba rozmawiać, jego miejsce jest przed plutonem egzekucyjnym. Ten, kto stoi naprzeciw zdrajcy, nie musi być mądry, pracowity, ba, nie musi być specjalnie uczciwy. Nie musi silić się na jakiegokolwiek argumenty. Ważne, że wskazać „złego”. Już z tego powodu jest lepszy. To także buduje pozycję własnego obozu. My jesteśmy patrioci – oni zdrajcy. Historia, sam Bóg – mówią, że my mamy rację, że nam więcej wolno, a im mniej. Albo i nic.

W demokracjach europejskich debata różnych sił jest czymś oczywistym. Wiedza, kompetencje – są absolutnie nieodzowne. Umiejętność dogadania się to najwyższa sztuka. W Polsce jest inaczej. Ważniejsze, by przeciwnika poniżyć, wykluczyć. Dlatego tak często powtarzane jest słowo targowica. Logiki w tym nie ma, są emocje. Głupek zrównywany jest z mędrcom.

•
Historia targowicy, mówi o tym obok prof. Jarosław Poraziński, jest

bardziej skomplikowana, niż to dziś się przedstawia. Smutno to pisać, ale w swoich czasach nie była czymś szokującym, bo do mocarstw sąsiednich, czy też do ich siły, odwoływały się wszystkie strony konfliktu politycznego w Polsce.

Stanisław August Poniatowski był królem z woli Katarzyny II, rządził Polską dzięki rosyjskim wojskom. Kto mu się sprzeciwiał? Konfederacja barska. Cóż proponowała? Najbardziej reakcyjną wersję katolickiej bigoterii i marzenia o dawnej Polsce, szlacheckiej, z *liberum veto*.

Potem, jeszcze przed Sejmem Wielkim, Poniatowski pielgrzymował do Katarzyny II, by zyskać jej przychylność dla projektowanych zmian. Niczego nie uzyskał. Ale i tak, wbrew carycy, Sejm Wielki zmiany przeprowadził. Wtedy do Petersburga udała się grupa jego przeciwników. Szukali pomocy, by bronić republiki, wolności szlacheckiej, a także – o czym głośno nie mówili – swojej pozycji w państwie.

Najprościej komuś zarzucić, że jest zdrajcą, agentem. To jak bomba atomowa – bo ze zdrajcą nie trzeba rozmawiać, jego miejsce jest przed plutonem egzekucyjnym.

W deklaracji konfederacji targowickiej możemy więc przeczytać: „Sejm dzisiejszy, na niedziel tylko sześć zwołany, przywłaszczywszy sobie władzę prawodawczą na zawsze, połamiał prawa kardynalne, zmiotł wszystkie wolności szlacheckie, a na dniu 3 maja r. 1791 w rewolucję i spisek przemieniwszy się, nową formę rządu, za pomocą mieszczan, ułanów, żołnierzy, narzuconą sukcesję tronu postanowił; królowi od przysięgi, na *pacta conventa* wykonanej, uwolnić się dozwolił, władzę królów rozszerzył, rzeczpospolitą w monarchię zamienił, szlachtę bez posesji od równości i wolności odepchnął (...), w wojnę szkodliwą przeciwko Rosji, sąsiadki naszej najlepszej, najdawniejszej z przyjaciół i sprzymierzeńców naszych, wplątał nas uśiłowal”.

Na co Katarzyna II odpowiedziała: „Zdrowsza część narodu (...) skonfederowała się dla odzyskania praw, które jej wydarte zostały. Przrzekłam jej pomoc i będę się ją starała uczynić skuteczną, o ile mi środki dozwolą”.

Prawda, jakie to wszystko pięknie słowa? W rozmowach mniej oficjalnych jest już inaczej. Do komunikowania się z konfederacją Katarzyna II wyznaczyła specjalnego asystenta, Karla Böhlera. Delegat Katarzyny działał zgodnie z instrukcjami, a jedna z nich zawierała taki opis: „charakter Polaków jest mieszaniną chę-

Polska dzieli się dziś na dwie części: reformatorów i tradycjonalistów. Jedni drugim zarzucają konszachty z obcymi.

pliwości, wykrętności i chytrłości (...), walczyć więc z nimi należy bronią stanowczości, zręczności i roztropnej nieufności”.

Z drugiej strony był Stanisław Szczęsnny Potocki, postać numer 1 w obozie targowiczian. Potocki atakował Stanisława Augusta Poniatowskiego i schlebiał najbiedniejszej szlachcie. Tę taktykę tak tłumaczył wysłannikowi Rosji: „Inaczej (...) przywiązać narodu do Moskwy nie

w obcych językach, co mamy robić! – wołał prezydent Andrzej Duda. No i oczywiście schlebiają uboższemu warstwowi, jak Szczęsny Potocki uboższej szlachcie, powtarzając: nie jesteście gorsi od bogaczy. I może dobrze, że nie mówią obcymi językami, bo najwyższa pora, by to ci inni zaczęli się uczyć polskiego.

Jedni drugim zarzucają konszachty z obcymi. PiS zarzuca to wszystkim swoim wrogom. Aktualnym wrogom. Gdy Kaczyńskiemu w pierwszej połowie lat 90. było nie po drodze z ks. Rydzykiem, wypominał mu, że przekażniki dla swojej stacji radiowej załatwił na Uralu. To miał być dowód na skumanie się Rydzyka ze służbami specjalnymi Rosji. Bo – jak Kaczyński sączył – mają tam bałagan, ale pewnych rzeczy pilnują dokładnie.

Katastrofa smoleńska wyzwoliła w PiS wszystkie możliwe opowieści o ukrzyżowanej Polsce, zdradzie i spisku Tuska z Putinem. Pisowskie media do znudzenia pokazywały rozmowę Tusk-Putin w cztery oczy na moło w Sopocie oraz fotografię Putina z Tuskiem ze Smoleńska i klepały te wszystkie teorie o zamachu, bombie, spisku itd. W tej narracji (użyjmy modnego słowa) zdrajcą ▶

można, jak tylko zwalając na króla całą nienawiść Polaków”. Po jednej stronie był więc król, zepsuty, ulegający cudzoziemskim wpływom, po drugiej – prosta, arcypolska szlachta. Bo szlachcic, jak pisał, „choćby był ubogi i nędzny, gdy czuje wolność, lepszym jest szlachcicem jak bogacz łaskami dworskimi okryci”.

Polska dzieli się dziś na dwie części. Mamy reformatorów i mamy tradycjonalistów. Reformatorzy, tak jak w czasach Sejmu Wielkiego, patrzą na Zachód, tam chcą przeciągnąć Polskę. Tradycjonalisci mówią o Bogu, Kościele, tradycyjnych wartościach, straszą Niemcami (w czasach Sejmu Wielkiego straszono Prusami), zachodnią modą. Nie będą nam mówić

NASZ SKLEP INTERNETOWY
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
ZAPRASZA
 Kupisz w nim wszystkie książki PRZEGLĄDU w wersji papierowej i elektronicznej
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

był premier rządu RP, który spiskował z władzą Rosji.

Szczegóły w tej opowieści – jak na pokładzie Tu-154 znalazła się rzekoma bomba, po co Tusk miałby spiskować – nie miały znaczenia. Ważna była inwektywa kierowana w stronę Tuska i innych liderów jego obozu. Tak narodzili się Komoruski, Radek-zdradek...

Ponieważ kolejne lata przyniosły ochłodzenie stosunków polsko-rosyjskich i zaangażowanie się premiera rządu RP w sprawy Unii Europejskiej, Kaczyński zbudował nową konstrukcję – Tuska pupilka Niemców.

Reformatorzy chcą przeciągnąć Polskę na Zachód. Tradycjonałści mówią o Bogu, Kościele, tradycyjnych wartościach, straszą Niemcami, schlebiają uboższym.

Pisowskie media zaczęły pokazywać dla odmiany jego zdjęcia z Angelą Merkel, zwłaszcza te, gdy niemiecka kanclerz poklepuje go po plecach. Potem, gdy PiS już rządziło, europośtom PO i lewicy zaczęto zarzucać, że nie popierają Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego w Parlamencie Europejskim. Uwagi Janusza Lewandowskiego, Radosława Sikorskiego, Marka Belki i innych, dotyczące rządu PiS, okrzyknięto narodową zdradą. Nową targowicą. Że jak Szczęsny Potocki i jego współnicy pielgrzymowali do Katarzyny II, tak oni pielgrzymują do Berlina i Brukseli. Prosić obcych, by wywierali nacisk na polskie władze. W tej konstrukcji targowica polega już nie na wzywaniu Rosji, lecz na wzywaniu obcych... Obcych, czyli Niemców.

Platforma w propagandowej walce nie pozostaje dłużna. Jej autorzy zbudowali inną narrację. Że to PiS idzie na pasku Rosji, że realizuje jej politykę, być może nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Koncept platformerskiej narracji jest jak z powieści szpiegowskich. Zasada się na konstrukcji, że rosyjskie służby specjalne wprowadziły swoich agentów w otoczenie liderów PiS i ci agenci sterują ich działaniami. Bliscy PO publicyści i dziennikarze podają nawet nazwiska ludzi, którzy mieliby łączyć rosyjskie służby z politykami prawicy. Wskazują też działania, które były

i są inspirowane, bądź wręcz realizowane, przez rosyjskich szpiegów.

Pierwszą z takich akcji była afera podsłuchujących kelnerów. Jej pomysłodawca, Marek Falenta, miał być powiązany nie tylko z wrocławskim CBA (pracowali tam ludzie Mariusza Kamińskiego), ale i z rosyjskimi firmami, stamtąd bowiem sprowadzał do Polski węgiel, którym handlował.

Były też inne działania. Ale ich ujawnianie to bardziej efekt intuicji dziennikarzy niż twardych faktów. Po pierwsze zatem, czystki w polskiej armii. A także nieracjonalne

wydawanie pieniędzy – żeby kupować drogo i nie to, czego polska armia potrzebuje. Po drugie, w sferze dyplomacji, skłócenie Polski z sąsiadami, skłócenie z Unią Europejską, izolacja kraju.

W tej opowieści antyrosyjskie fobie liderów PiS są przedstawiane jako rodzaj gry, kamuflażu. One nie szkodzą Rosji, bo nikt w świecie nie traktuje poważnie zarzutów przeciw niej wychodzących z Warszawy. Z kolei polskie ataki na Unię Europejską,

„Byliśmy być może głupcami, ale na pewno nie zdrajcami”, mówili potem, jednak było już za późno.

Jest jeszcze jeden element łączyący czasy targowicy z obecnymi: miałość elit. W publicystyce targowicy powtarza się naiwna wiara, że „opatrność zesłała nam Katarzynę”. Przekonanie, że caryca da im polityczny prezent i zniknie. Tę naiwność widać będzie chwilę potem, gdy Katarzyna II zarządzi rozwiązanie konfederacji targowickiej, zwołanie sejmiku grodzieńskiego i rozbiór Polski.

Naiwni okazali się również przywódcy obozu reformatorów. Uwierzyli królowi Prus. Po ogłoszeniu Konstytucji 3 maja stracili masę czasu na to, by przygotować się do spodziewanej batalii z Rosją. Warszawa po 3 maja jest pełna optymizmu i publicystyki typu: wszystko pójdzie wyśmienicie, Europa nas podziwia. I na tym zapał się kończy. Nie widać, by liderzy obu stronnictw mieli jakiś szerszy plan. I jedni, i drudzy liczyli, że obce wojska załatwią ich problemy. I jedni, i drudzy woleli za granicą szukać pomocy, wykluczając polsko-polskie porozumienie.

W roku 2021 Polsce obce armie nie grożą. Ale wzajemny stosunek obozów politycznych jest podobny jak przed stuleciami. Nie ma mowy o wspólnych przedsięwzięciach,

**Nie ma mowy o wspólnych przedsięwzięciach, jest walka.
Nie ma mowy o dyskusji, jest strojenie się w patriotyczne szaty. I wymyślanie innym od zdrajców.**

rozbijanie jej jedności, bardzo Moskwie pomagają, bardzo współgrają z jej polityką. Czy to przypadek? – pytają w PO. Dodajmy jeszcze to, że PiS wyciąga Polskę z zachodniej wspólnoty. A efekt tych działań może być jeden – by później, osamotniona, wpadła w strefę wpływów Rosji. Innymi słowy, PiS jest tutaj albo użytecznym idiotą, albo cichym współnikiem Kremla.

A czy kwalifikuje się to do zarzutu targowicy? Takie nieświadome działanie? Jak najbardziej! Przecież targowiczanie też nie sądzili, że wciągając do polskich sporów rosyjskie wojska, wciągają je na 123 lata.

jest walka. Nie ma mowy o dyskusji na temat przyszłości Polski, o tym, jakie wyzwania przed nią stoją – jest strojenie się w patriotyczne szaty. I wymyślanie innym od zdrajców. Nie ma także mowy o normalnych stosunkach z zagranicą. Mamy tu dziwny teatr – to nadymanie się, to płaszczenie, zupełnie bez ładu i składu.

Jest za to, jak pisała caryca Katarzyna II, mieszanina chętności i wykrętności. Tu niewiele się zmieniło. Wszyscy jesteście targowicą.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Bardziej głupota niż zdrada

Polska szlachta, elity, magnateria nie miały zielonego pojęcia, jak działa nowoczesne, zbiurokratyzowane państwo

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. JAROSŁAW PORAZINSKI

– historyk

Rozmawiamy o targowicy, o Sejmie Wielkim. A przecież tak naprawdę wszystko zaczęło się dużo wcześniej. Sejm konwokacyjny, wojna domowa po śmierci Augusta III, konfederacja barska... Już wtedy widzieliśmy podział na dwie Polski.

– Tak to można określić. To, że po każdej elekcji następowały podziały, było sprawą oczywistą. To był jeden z głębszych impulsów skłaniających do działań reformatorów. Zastanawiano się, co zrobić z bezkrólewem i z ingerencją obcych mocarstw w sprawę korony polskiej.

I dlaczego nic z tym nie zrobiono? Dlaczego nie można było tego zmienić?

– Ano nie można było, ponieważ istniał kanon zasad ustrojowych, których zmieniać nikomu nie było wolno. Można to porównać do zasad wiary. O wszystkim można było dyskutować, tylko nie o tym. Było kilka punktów – wolna elekcja, *neminem captivabimus*, czyli zakaz więzienia bez wyroku sądowego, i oczywiście liberum veto – które były traktowane jako żrenica złotej wolności. Te wszystkie zasady znajdowały się w *pacta conventa*, które każdy monarcha musiał zaprzysiąc. A gdyby je naruszył, szlachta mogła zastosować tzw. prawo oporu, czyli wypowiedzieć posłuszeństwo.

I wypowiedziano je, zawiązując konfederację w Barze.

– Konfederacja barska była ostrą reakcją społeczną na wybór Stanisława Augusta Poniatowskiego.



Podczas insurekcji kościuszkowskiej na szubienicach w Warszawie zawisły portrety przywódców konfederacji targowickiej. Obraz Jana Piotra Norblina „Wieszanie zdrajców”.

August III też został wybrany pod presją rosyjską, ale w przypadku Poniatowskiego po raz pierwszy doszło do naruszenia i prawie obalenia zasad ustrojowych.

Chodziło zwłaszcza o przyznanie praw politycznych innowiercom.

– Na życzenie Katarzyny II. Niektórzy historycy uznają, że było to pierwsze antyrosyjskie powstanie w naszych dziejach.

Może więc wszystko zaczęło się właśnie od tej konfederacji?

– Byłbym powściągliwy w łączeniu jej z dalszymi wydarzeniami, z Konstytucją 3 maja. W czasach konfederacji barskiej w obozie prorosyjskim był król, a także cała grupa reformatorów! Na tym polega problem. To oni przecież spowodowali, że gwarantem ustroju Rzeczypospolitej stała się Rosja. Owszem, reformy w Polsce mogły być przeprowadzane, ale wyłącznie za zgodą Katarzyny II i w porozumieniu z nią. I co stało się w dobie Sejmu Wielkiego? Reformatorzy zmienili front. Zaczęli szukać innych możliwości wsparcia z zewnątrz. Padło na Prusy, które zgłosiły, wydawało się, interesującą propozycję.

Pomocy przeciwko Rosji.

– Nadzieje Prus były związane z tym, że będzie można zminimalizować wpływy rosyjskie. Nigdy ▶

Prof. Jarosław Porazinski specjalizuje się w historii nowożytnej Polski i historii powszechnej. Jego badania dotyczą parlamentaryzmu staropolskiego, kultury politycznej. Autor m.in. „Epiphania Poloniae: orientacje i postawy polityczne szlachty polskiej w dobie wielkiej wojny północnej (1702-1710)”, „Staropolska kultura śmiechu. Ludzie – teksty – konteksty”, „Targowica, czyli obrona Rzeczypospolitej”.

► do tego nie doszło, Prusy zdradziły reformatorów.

Dlaczego reformatorzy porzucili Rosję?

– Myślę, że było to spowodowane polityką Rosji i jej ambasadorów. Rzeczpospolita po stłumieniu konfederacji barskiej była *de facto* kondominium zarządzanym przez rosyjskich ambasadorów i przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Rosja pozwalała na reformy, ale nie takie, jakie dokonały się podczas obrad Sejmu Wielkiego.

rozumieli nowoczesność w sposób zupełnie inny – im chodziło przede wszystkim o to, żeby wzmocnić władzę królewską. Co to znaczyło? Żeby król, mówiąc dzisiejszym językiem, stanął na czele władzy wykonawczej. Żeby był odpowiedzialny za władzę wykonawczą. Ale wtedy trzeba by ograniczyć władzę hetmanów, władzę marszałków, władze sędziowskie, sejmiki; tych władz tzw. wykonawczych, jak ktoś policzył, było 16! I każda miała swoją egzekutywę. Reformatorzy chcieli więc to

jest więc to, co działo się później, już po przyjęciu konstytucji. Otóż Sejm dalej pracował, przyjmował rozwiązania. Do 1792 r.

Do czasu targowicy...

– Grono niezadowolonych, Szczesny Potocki, Seweryn Rzewuski, Ksawery Branicki, zwróciło się do dworu rosyjskiego, do Katarzyny II, o pomoc. A ona, po pewnych wahaniach, jej udzieliła. To jest geneza konfederacji targowickiej.

Jakich argumentów targowiczanie używali? Oskarżali reformatorów, że chcą być jakobinami?

– Tak! Uznawano po prostu, że do tego ich reformy mogą doprowadzić, że to zdrada zasad ustrojowych państwa. To jest ta główna przyczyna.

Ale wieszycy widzieli, że państwo jest niesprawne, złe, bezsilne...

– Oni też chcieli zmieniać i reformować. Ale tylko w tym zakresie, który dopuszczały zasady ustrojowe Rzeczypospolitej. Bardzo ciekawy, choć krótki, jest okres, w którym Katarzyna II wymusiła na Poniatowskim akces do konfederacji i targowiczanie zaczęli rządzić. Okazało się, że części wprowadzonych zmian wcale nie zamierzali ruszać. Na przykład wykluczenia szlachty gołoty z sejmików.

Konstytucja 3 maja uznawała, że szlachcic, który nie ma ziemi, nie może brać udziału w sejmiku.

– Czyli wprowadzono cenzus majątkowy. Co zresztą w tamtej Europie nie było niczym nadzwyczajnym.

Wydarzenia w Rzeczypospolitej odbywały się w cieniu rewolucji francuskiej. Obawiano się, że sytuacja w Warszawie pójdzie w tym samym kierunku.

To był przełom.

– Od 1788 r. następuje zmiana. A potem mieliśmy rodzaj szalu reformatorskiego. Wszystko chciano zreformować i wszystko obalić. To nie mogło się podobać Rosji. Ale musimy również pamiętać, że wydarzenia w Rzeczypospolitej odbywały się w cieniu rewolucji francuskiej, która trwała od roku 1789, miała różne etapy i oznaczała delegitymizację dotychczasowego ustroju. Obawiano się więc, że sytuacja w Warszawie pójdzie w tym samym kierunku. Na samym dworze petersburskim, w otoczeniu Katarzyny II, też były różne opcje, co ze sprawą polską zrobić.

Jak przebiegał spór w czasie Sejmu Wielkiego? To był podział na reformatorów i obrońców tradycji?

– To był podział o fundamentalnym znaczeniu. Przecież Sejm naruszył prawa kardynalne, czyli te zasady, na których zawieszony był cały ustrój Rzeczypospolitej. Nie używano wówczas, w tamtej publicystyce, określeń, które my stosujemy: monarchia konstytucyjna, demokracja itd. Wtedy był wybór pomiędzy republiką a monarchią. Tak to nazywano w skrócie.

Co było republiką, a co monarchią?

– Republiką było to, co było dotąd. Czyli monarchia mieszana, z królem, z silnym parlamentem, który kontrolował całą politykę państwa, oraz rozbudowanym samorządem szlacheckim. Plus te wszystkie zasady, które gwarantowały pełną wolność. Natomiast reformatorzy

wszystko ograniczyć i oddać władzę w ręce króla. Chcieli starą Rzeczpospolitą, która była republiką, zmienić w monarchię – tutaj nie dodawano żadnych określeń typu konstytucyjna, dlatego że tworzyłoby to chaos pojęciowy.

Targowiczanie bronili Rzeczypospolitej w takim kształcie, w jakim była. Czy to znaczy, że nie chcieli przeprowadzić żadnych zmian, reform?

– To skomplikowana sprawa. Niektórzy byli dość głęboko zaangażowani w proces reform. Z kolei Szczesny Potocki i Ksawery Branicki to byli wielcy magnaci i jednocześnie pierwsi urzędnicy państwa.

Republiką było to, co było dotąd. Czyli monarchia mieszana, z królem, z silnym parlamentem i rozbudowanym samorządem szlacheckim.

Ograniczenie ich indywidualnych kompetencji i przekazanie ich jakiejś magistraturze, jak to nazywano – dziś powiedzielibyśmy: resortowi – naruszało ich godność i honor. Czynnikiem indywidualny odgrywał tu ważną rolę. Poza tym prace nad ustawą rządową, czyli Konstytucją 3 maja, były prowadzone w tajemnicy, jej przyjęcie dokonało się drogą zamachu stanu. W zasadzie bezprawnie.

To znaczy, że większość stanowili przeciwnicy konstytucji?

– Albo obojętni. Nie wiedzieli, co się dzieje, jakie będą konsekwencje przeprowadzonych zmian. Ważne

A Kościół? Jaka była jego rola?

– Znaczną część elit Rzeczypospolitej, czyli także reformatorów, stanowili ludzie wykształceni, znający języki, znający zagranicę. Mówiąc krótko, to byli przede wszystkim duchowni. Polskie oświecenie było inne niż np. oświecenie we Francji, gdzie nowe tendencje rozwijały się w opozycji do Kościoła. U nas synowie Kościoła włączyli się w dzieło reform. Ich zaangażowanie po tej stronie było ogromne. Dlatego trzeciomajowy zryw nie był wymierzony w Kościół. W konstytucji było wyraźnie powiedziane, że Polska jest

krajem katolickim i odstępstwo od wiary jest zakazane. Tak jak apostazja. W najgorszym wypadku mogła być za to kara śmierci.

A skąd się wzięło błogosławieństwo papieża dla targowicy?

– To jest sprawa, która wchodzi w zakres układów i stosunków międzynarodowych.

Że targowica zatrzymała jakobinów?

– Taka była obowiązująca, w sensie propagandowym, wykładnia. Taka była też wykładnia Rosji. Tworzono zaporę dla radykalizacji mas.

Pisze pan o rzucaniu czernideł w czasach Sejmu Wielkiego.

Co to były te czernidła?

– To były pisma, pamflety. Ogromna publicystyka, ale i utwory o charakterze satyrycznym. Gdy w 1788 r. rozpoczęły się obrady Sejmu Wielkiego, każdy chciał złożyć jakąś propozycję reformatorską. Każdy chciał się popisać. Niektórzy odczytywali swoje mowy, bogatsi je drukowali. W tych polemikach najłatwiej było kogoś zaatakować, przedstawić w najgorszym świetle. Czy to coś nowego? Niespecjalnie. Każdy okres przesilenia, a takimi były zwykle bezkrólewia, obfitował w tego rodzaju wydarzenia. Celem tych wszystkich publikacji było głównie zniszczenie przeciwnika, znieważenie. Nic nowego pod słońcem!

Jakich argumentów używano?

– Główne argumenty były takie jak obecnie – zdrada! Jedni zarzucają drugim zdradę. Nie ma merytorycznej dyskusji.

Na ile targowiczanie byli zdrajcami, a na ile ludźmi, którzy chcieli bronić starego porządku i poruszyli mechanizmy, o których nie mieli pojęcia?

– „Byliśmy może głupcami, ale nie byliśmy zdrajcami” – taki cytat utkwił mi w głowie.

Żeby bronić starego ustroju, w zupełnie dziecinny sposób oddali się w ręce Katarzyny II!

– To jest widoczne na każdym kroku – polska szlachta, elity, magnateria nie miały zielonego pojęcia, jak działa nowoczesne, biurokratyzowane państwo. Monarchia, którą historycy nazywają monarchią oświeconą, opierała się na sprawnej, zawodowej biurokracji. Tego po prostu ci ludzie nie rozumieli. Znakomicie pokazują to pamiętniki

Fryderyka hrabiego Skarbka, który opisywał, jak wyglądał początek rządów pruskich na terenie Wielkopolski. Jak przejmowano majątki polskiej szlachty. Odbывало się to w bardzo prosty sposób – kiedy ustanowiona została administracja pruska, a jeśli chodzi o Pomorze, miało to miejsce już od roku 1772, wprowadzono pruskich urzędników, sądownictwo, banki. One chętnie udzielały pożyczek. Przychodził szlachcic – że potrzebuje pieniędzy. Proszę bardzo, oto pieniądze, pod hipotekę oczywiście... Wcześniej szlachta pożyczala od Żydów. I jak Żyd przyszedł się upomnieć, to go psami poszczuto itd.

Reformatorom chodziło o to, żeby wzmocnić władzę królewską. Żeby król stanął na czele władzy wykonawczej.

A teraz przyjechał urzędnik z banku.

– To też go pogonili. Ale nazajutrz przychodził oddział wojska i zajmował majątek. W ten sposób mnóstwo majątków, jak pisze hrabia Skarbek, zostało przejętych, i to za psi grosz. Życia z nową administracją trzeba było się nauczyć. I z czasem się nauczono...

Dlaczego targowica stała się synonimem zdrady?

– Nie bardzo mogę znaleźć na to racjonalną odpowiedź. Bo w zasadzie trzeba by to pojęcie rozszerzyć na konfederację grodzieńską. Tam dopiero postawiono kropkę nad i! Konfederacja targowicka nie wyrażała zgody na oddzielenie jakiegokolwiek części Rzeczypospolitej, ten warunek stawiano zawsze: że ciało Rzeczypospolitej jest nierozdzielne. Dlatego konfederację targowicką rozwiązano i zawiązano konfederację grodzieńską. Arcyzdrajców!

Nikt nie pamięta konfederacji grodzieńskiej, każdy – targowicką.

– Ta legenda zaczęła się już w czasach powstania kościuszkowskiego. Na targowiczanie, na Szczęsnego Potockiego, spadło wszystko, co mogło. Potem mit targowicy rozwinął się w XIX w. Stworzone zostało imaginarium zdrady. W 1792 r. tego poczucia, że to taka straszna zdrada, nie było.

Gdyby nie było targowicy, Rosja przeprowadziłaby II rozbiór? Czy też członkowie konfederacji wciąż ją w swoje sprawy?

– To było trochę tak jak z I rozbiorem. Skoro Rosja kontrolowała cały kraj, dlaczego niby miała się dzielić tym bogactwem z Prusami i Austrią? Rzecz w tym, że widziała zagrożenie w rewolucyjnej Francji. W związku z tym dla Austrii część Polski miała być nagrodą za zaangażowanie przeciw Francji, a dla Prus – zachętą.

A gdyby delegacja targowiczanie pojechała do Petersburga?

– Jak Katarzyna II traktowała sprawy polskie, ilustruje jedno wydanie. Otóż jeszcze przed Sejmem Wielkim Stanisław August chciał się spotkać z Katarzyną, wytłumaczyć swoje racje, zyskać jej zgodę na

przeprowadzane reformy. Był z nią związany uczuciowo, więc liczył, że uda się ją przekonać. I ruszył na spotkanie z nią, do Kaniowa na Ukrainie. Jechał cztery tygodnie. A rezultat był taki, że ona go przyjęła chłodno, rozmowa trwała 20 minut.

Było krótkie „nie”.

– Rosja miała własne interesy i Katarzyna prowadziła politykę globalną, bardzo przemyślaną, nie było tu miejsca na amatorszczyznę czy porywy serca. Sam przebieg sejmu grodzieńskiego, rozbiorowego, jest klasycznym tego przykładem. Wszystko odbywało się zgodnie z prawem, polskim prawem, w jego majestacie. Że Polacy proszą Rosję, by taskawie wzięła, co chce. Tak oto targowica znalazła się w potrzasku.

Robert Walenciak



Granica współczucia

Kto pomaga uchodźcom?



Paula Leśniewska

Uchodźcom pomagają wolontariusze z grupy Granica. Nz. Klara w rozmowie z imigrantką z Syrii. Kleszczele, 22 października 2021 r.

44 764 – co najmniej tylu uchodźców zginęło, próbując przekroczyć unijne granice od 1993 r. do 1 czerwca 2021 r. według organizacji UNITED Against Refugee Deaths. W przyszłym roku ta lista się wydłuży. Wprawdzie oficjalnie na pograniczu polsko-białoruskim do tej pory życie straciło tylko 10 osób, ale nieoficjalnie mówi się o kilkudziesięciu. A może być jeszcze więcej. W obliczu kryzysu humanitarnego nie każdy jest obojętny. Ludzie oddolnie się organizują, tworzą grupy pomocowe, zwołują protesty, organizują zbiórki. Kto pomaga uchodźcom na granicy?

Mieszkańcy zony

W połowie października na terenie objętym stanem wyjątkowym

rozbiły się zielone światła. W każdym domu, w którym widać ten kolor, uchodźcy mogą znaleźć pomoc – posiłek, suche ubrania, leki, możliwość naładowania telefonu i ogrzania się. Jak mówi burmistrz Michałowa Marek Nazarko, to całkowicie oddolna akcja, do której przyłączyło się wielu mieszkańców pogranicza i on sam. Zielone żarówki świecą również w mediach społecznościowych na awatach ludzi, którzy nie boją się pomóc. To oni opisują swoje przeżycia, dramatyczne spotkania z ludźmi na granicy śmierci, pomoc, zachowanie funkcjonariuszy.

– Już pięć razy osobiście zetknęłam się z uchodźcami. Koło domu, na spacerze z psem. Można powiedzieć, że przypadkiem – mówi Eliza Kowalczyk, mieszkanka Białowieży. – Niedawno widziałam, jak funkcjonariusze

Straży Granicznej złapali trzech młodych uchodźców, którzy chowali się na terenie jednego z białowiejskich kościołów. Myślę, że poszli tam, bo szukali miłosierdzia, pomocy. Niestety, niczego takiego nie znaleźli. Byli przerażeni, grubo ubrani, zdezorietowani. Podeszłam do samochodu policyjnego i zapytałam, czy ci mężczyźni potrzebują czegoś do jedzenia, picia, czy można się z nimi porozumieć i gdzie ich zabiorą. Dowiedziałam się jedynie, że to nie moja sprawa i mam nie przeszkadzać w interwencji. Przepakowali tych mężczyzn do wozu Straży Granicznej i pojechali, nie wiem gdzie, ale na pewno nie w stronę placówki Straży Granicznej.

Niedawno na swoim Facebooku Eliza Kowalczyk opisała, jak przed jej domem Straż Graniczna otoczyła

trójkę uchodźców – kobietę i dwóch mężczyzn. Podeszła do nich z pytaniem, czy potrzebują czegoś do picia, jedzenia. Kobieta natychmiast zerwała się z krzykiem „No Belarus!”, a mężczyzna otworzył stojącą obok torbę turystyczną. W środku było niemowlę. – Cały czas mam je przed oczami. Przez kilka dni czułam się wtedy fizycznie i psychicznie obolała, jakby mnie ktoś pobił – opowiada Eliza Kowalczyk. – Pamiętam, jak jeszcze przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego ktoś poinformował

działająca w lokalnej grupie interwencyjnej. – Jesteśmy stale w pogotowiu, reagujemy na alarmy z informacjami, że są jakieś osoby potrzebujące ratunku w lesie. Codziennie przez granicę przechodzą dziesiątki, jeżeli nie setki osób. My dziennie pomagamy kilkunastu-kilkudziesięciu. Ostatnio ratowaliśmy trzy osoby, które ugrzęzły w bagnie i nie były w stanie samodzielnie się wydostać. W dzień zazwyczaj zgłoszeń jest mniej – najgorsze są noce. W lasach wokół Białowieży są rzeki, bagna, uchodźcy tam się gubią,

– Jeżeli stan osoby zagraża jej życiu, zastanawiamy się nad wezwaniem karetki. Problem w tym, że następnego dnia ci chorzy mogą być już w lesie po drugiej stronie granicy. Uchodźcy są bardzo szybko wypisywani ze szpitali, a zabiera ich stamtąd Straż Graniczna. Zazwyczaj nie mija doba od interwencji, a oni kontaktują się z nami już z białoruskiej strony. Prawdopodobieństwo, że tam umrą, jest ogromne. Telefonu w białoruskim Czerwonym Krzyżu nikt nie odbiera – mówi Ola Gulińska z Grupy Granica.

Rząd nie widzi w tym problemu i konsekwentnie odmawia pomocy medycznej uchodźcom i mieszkańcom pogranicza. Z kwitkiem odesłano nawet prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka, który napisał list z prośbą o wsparcie humanitarne na granicy do ministra spraw wewnętrznych i administracji Mariusza Kamińskiego. Z odpowiedzi szefa MSWiA wynika, że rząd nie jest zainteresowany pomocą ani uchodźcom, ani aktywistom, ani mieszkańcom strefy.

Grupa Granica

Grupa Granica to koalicja kilkunastu organizacji pozarządowych, które od wielu lat działają na rzecz uchodźców i uchodźczyń. Teraz, w obliczu kryzysu humanitarnego na granicy, aktywiści połączyli siły. W skład grupy wchodzi: Stowarzyszenie Nomada, Stowarzyszenie Interwencji Prawnej, Stowarzyszenie Homo Faber, Polskie Forum Migracyjne, Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Salam Lab, Dom Otwarty, Centrum Pomocy Prawnej im. Haliny Nieć, Chlebem

Kobieta zerwała się z krzykiem „No Belarus!”, a mężczyzna otworzył torbę turystyczną. W środku było niemowlę.

mnie, że Straż Graniczna zatrzymała w okolicy przystanku autobusowego przy kościele grupę czarnoskórych uchodźców. Była wśród nich kilkuletnia dziewczynka, już wtedy ubrana w zimową kurtkę i wielką czapkę, a przecież było jeszcze lato. Do piersi przyciskała lalkę i płakała. Starłam się ją pocieszyć, ale co można powiedzieć w takiej sytuacji? Ją też potem przez bardzo długi czas miałam przed oczami.

Jak mówi Eliza Kowalczyk, niektórzy mieszkańcy, widząc uchodźców, od razu dzwonią do Straży Granicznej: – Ludzie są bardzo podzieleni. Niektórzy donoszą, uważają, że uchodźcy to mordercy, terroryści, że przyszedł nas wyrząść. Myślą, że to, co się dzieje na granicy, to kryzys polityczny, a nie humanitarny. Słyszałam, jak pewien mężczyzna opowiadał, że ma już przygotowane w domu noże i siekiery na uchodźców. W takich warunkach trudno jest głośno rozmawiać na temat nieszczęścia tych osób. Ale trudno też trzymać tę traumę w sobie.

Nie wszyscy są negatywnie nastawieni. Wielu mieszkańców pomaga uchodźcom samodzielnie lub dzwoni do jednej z grup interwencyjnych działających wzdłuż granicy. Tworzą je zwykli niezwykli mieszkańcy strefy, którzy oddolnie zorganizowali się w grupy pomocowe. Dokąd jechać i co ze sobą zabrać, mówią im aktywiści Grupy Granica, którzy uruchomili telefon alarmowy dla uchodźców.

– Nas jest ok. 30 osób, działamy na terenie Białowieży – mówi Joanna Łapińska, mieszkanka pogranicza

są przemoczeni. Dajemy im jeść, pić, suche ubrania, koce termiczne. A potem jest już różnie – jeżeli ktoś wyraża chęć, by przyjechała karetka, wzywamy ją. Jeżeli ktoś chce iść dalej, po prostu odchodzi. Nic więcej zrobić nie możemy – przyznaje Joanna Łapińska.

Niestety, przyjazd państwowej karetki wiąże się z interwencją Straży Granicznej. Niektórzy uchodźcy tak panicznie boją się funkcjonariuszy, że mimo bardzo złego stanu zdrowia nie chcą, by wzywać pomoc. Najczęściej w obliczu trudnej decyzji stoją ludzie, którzy im pomagają – mieszkańcy lub aktywiści Grupy Granica, rozmawiający z uchodźcami przez telefon. – My nie jesteśmy odpowiednio wykwalifikowani, żeby stwierdzić, czy stan zdrowia osoby, którą znajdujemy w lesie, zagraża jej życiu czy nie. Gdyby byli tutaj ratownicy z Medyków na Granicy, byłiby w stanie na bieżąco

Czasem to, że ktoś po prostu nie zamknie stodoły na noc, może uratować uchodźcom życie.

oceniać sytuację, czy ktoś wymaga pobytu w szpitalu, czy tylko doraźnej pomocy. Nie musielibyśmy ciągle ściągać karetki z całym specjalistycznym sprzętem, który może być bardziej potrzebny w innych miejscach powiatu. Bo w naszym powiecie są tylko dwie karetki. I one przy dużym wzroście zakażeń będą musiały jeździć i do chorych na COVID-19, i do osób znalezionych w lesie, bo Medycy na Granicy nie mogą się tutaj prze-dostać – podkreśla Joanna Łapińska.

i Solą, uchodźcy.info, Testigo Documentary, Kuchnia Konfliktu, Strefa Wolności, RATS Agency oraz niezależni aktywiści, prawnicy i badacze. Byli przy granicy jeszcze przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego i są tam nadal, choć teraz już nie mogą dotrzeć do miejsc, gdzie pomoc jest najbardziej potrzebna.

– Jesteśmy w stanie pomóc niewielkiemu odsetkowi osób, które znajdują się obecnie na pograniczu polsko-białoruskim – przyznaje Ola

► Gulińska. – Nie wiemy tak naprawdę, ilu uchodźców błąka się po tych lasach, natomiast dostajemy dużo telefonów od ludzi uwięzionych na samej Białorusi albo na pograniczu białorusko-litewskim i to są bardzo trudne dla nas sytuacje, bo nie jesteśmy w stanie im pomóc. Jako Grupa Granica przyjmujemy zgłoszenia od uchodźców, wysłuchujemy ich historii, mówimy mieszkańcom strefy, gdzie ludzie potrzebują pomocy, i przygotowujemy materiały ratunkowe. Bardzo mocno współpracujemy z oddziałami PCK w przygranicznych miejscowościach i mieszkańcy stamtąd mogą brać ciepłą odzież dla uchodźców, a także pakiety z żywnością i kocami termicznymi.

Oprócz tego aktywiści z Grupy Granica monitorują losy uchodźców, pomagają im prawnie, zdają relację, jak wygląda prawdziwy kryzys humanitarny, i edukują metodą od domu do domu. Wielu starszych ludzi, którzy mieszkają blisko granicy strefy stanu wyjątkowego, o push-backach,

że pogranicze polsko-białoruskie to ok. 400 km. Jesteśmy cały czas w ruchu. Nasza grupa dostaje codziennie od kilkunastu do trzydziestu kilku telefonów od ludzi błakających się w lesie. Nieraz uchodźcy żyją w lesie przez wiele dni, niektórzy są po kilku push-backach. Na granicy białoruscy funkcjonariusze ich biją i zmuszają do ponownego przejścia na polską stronę. Z każdym kolejnym push-backiem te osoby są w coraz gorszym stanie fizycznym i psychicznym. Nie widzą nadziei na wydostanie się z sytuacji, w której się znalazły.

Jak opowiada Ola Gulińska, wiele osób mówi nawet, że chciałoby wrócić do swojego kraju, byleby ktoś pomógł im wydostać się z tej pułapki. – Mają dość łapanek i wywożenia. Z dnia na dzień sytuacja na granicy staje się coraz gorsza. Dzwoni do nas coraz więcej osób po ciężkich urazach, z połamanyimi żebrami, pobitych. Mówią, że zrobili im to funkcjonariusze białoruscy, ale też polscy. Często nie potrafią zidentyfikować,

z żywnością. Są też tacy, którzy nie pozwalają. W tych rejonach wiele osób ma w rodzinie pograniczników, więc obecny kryzys humanitarny dzieli nie tylko społeczeństwo, ale również rodziny. Mieszkańcy zostali postawieni w bardzo trudnej sytuacji i muszą w niej żyć.

– Podczas niewielu interwencji i zazwyczaj wtedy, gdy na miejscu obecny jest nasz prawnik, udaje się wszcząć procedurę azylową – dodaje aktywistka. – Takie osoby trafiają do ośrodka strzeżonego Straży Granicznej. Od lat pracujemy z uchodźcami i zawsze uważaliśmy, że tego typu placówki nie są miejscami przyjaznymi ludziom, a szczególnie dzieciom. Panuje tam reżim zbliżony do więziennego. Ale teraz, jak ktoś trafia do ośrodka strzeżonego, jesteśmy niesamowicie szczęśliwi. To oznacza, że ci ludzie przeżyją. Sami jesteśmy przerażeni tym, jak zmieniło się nasze podejście.

Jak mówi Ola Gulińska, niektórzy uchodźcy przebywający teraz w lasach na granicy przyjechali na Białoruś już kilka tygodni temu. Są wśród nich osoby z krajów arabskojęzycznych, z Afryki Środkowej, z Azji Centralnej. – Niestety, w krajach ogarniętych kryzysem ciągle otwierane są białoruskie biura podróży, które organizują wyjazdy „do Europy”. Nasze informacje o tym, jak wygląda sytuacja na polskim pograniczu, nie wszędzie docierają. Z drugiej strony ludzie mają różne motywacje do wyjazdu. Często zostają postawieni przed dramatycznym wyborem. Dzwonią do nas i mówią: „Jestem ciężko chory, w moim kraju i tak nikt mnie nie będzie leczył. W jaki sposób mogę dojechać do Europy?”. Odpowiadamy wtedy, żeby nie decydowali się na szlak białoruski. To są trudne sytuacje – my możemy tylko dokładnie przedstawić to, co dzieje się na naszej granicy, ale nie możemy zdecydować za tych ludzi, czy większym zagrożeniem jest dla nich np. życie w ich rodzinnej Syrii, czy przedzieranie się przez granicę polsko-białoruską. Wiele osób jest zdesperowanych. Często dostajemy odpowiedzi: „I tak nie będzie mi gorzej, niż jest mi teraz w moim kraju”.

Stan Wyjątkowego Współczucia

I w internecie, i na ulicach miast wiele osób nadal spotyka się, by

Niektórzy funkcjonariusze pozwalają dać uchodźcom pakiet z żywnością. Są też tacy, którzy nie pozwalają.

czyli przymusowych wywózkach uchodźców na granicę polsko-białoruską, dowiedziało się nie z telewizji, ale właśnie od aktywistów. – W tym momencie ta wiedza jest już dużo bardziej powszechna, jednak nadal trzeba przekonywać niektórych, żeby nie bali się pomóc, jeżeli ktoś o tę pomoc prosi. To wstrząsające, że musimy ludziom tłumaczyć, że danie komuś wody nie jest przestępstwem – mówi Ola Gulińska. – Ci starsi ludzie po prostu się boją, boją się wszystkich obcych, nie tylko cudzoziemców. Staramy się rozmawiać tak, żeby pokazać im, że uchodźcy to też ludzie. To straszne, co mówię, ale niestety bywa to potrzebne. Czasem to, że ktoś po prostu nie zamknie stodoły na noc, może uratować uchodźcom życie.

Żeby pomagać na granicy, aktywiści musieli ograniczyć działania, które od lat prowadzili na rzecz uchodźców w Polsce. Ola Gulińska: – Nasza praca tutaj odbywa się kosztem innych cudzoziemców, ale nie mamy wyjścia. W tym momencie na wschodzie działa kilkudziesięciu aktywistów. Niedużo, biorąc pod uwagę,

czy to było wojsko, czy Straż Graniczna – pobili ich „ludzie w mundurach”. Pobili i okradli. Wiele osób ma zapalenie płuc, są w różnych stadiach hipotermii – wylicza aktywistka.

Niewiele osób ma szczęście złożyć wniosek o ochronę międzynarodową. Od 26 października sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała – teraz Straż Graniczna ma prawo od razu po zatrzymaniu uchodźców po przekroczeniu granicy zewnętrznej UE wydać nakaz niezwłocznego opuszczenia terytorium Polski. Jak mówi rzeczniczka SG ppor. Anna Michalska, w ciągu pierwszych dwóch dni obowiązywania nowych przepisów wydano 63 takie decyzje.

Ola Gulińska: – Dostanie możliwości wnioskowania o ochronę międzynarodową to loteria. Często, gdy mówimy pogranicznikom, że łapanie przez nich osoby chcą się ubiegać o ochronę, słyszymy odpowiedzi w stylu „A, to może nie dzisiaj”. Nigdy nie widziałam sytuacji, żeby funkcjonariusze puścili uchodźców, natomiast czasem niektórzy pozwalają dać im w ostatniej chwili pakiet

protestować przeciwko decyzjom rządu dotyczącym uchodźców. 23 października pod placówką Straży Granicznej w Michałowie odbył się protest „Matki na Granicę. Miejsce dzieci nie jest w lesie!”, na którym pojawiły się aktywistki i były pierwsze damy: Jolanta Kwaśniewska i Anna Komorowska. Agaty Dudy zabrakło, choć zaproszenie, wbrew jej tłumaczeniom, zostało dostarczone i do niej.

Od tego protestu grupa Stan Wyjątkowego Współczucia, czyli Monika Tomaszewska, Agata Kluczevska, Asia Szustopol z 16-miesięczną córeczką Różą, a także Filip Lisowski i Jędrzej Derouiche, którzy kręcą film dokumentalny o pokojowym marszu-proteście, rozpoczęła wędrówkę wzdłuż granicy terenów objętych stanem wyjątkowym.

– Chciałyśmy nagłośnić to, co dzieje się na granicy. Idąc, solidaryzujemy się i z ludźmi zagubionymi w lasach, i z aktywistami, którzy robią wspaniałą robotę, pomagając im. Po drodze spotykamy różne osoby, przeważnie miejscowych, z którymi rozmawiamy i przekonujemy do pomocy

uchodźcom. Dajemy im ulotki Grupy Granica, na których jest napisane, jak to robić. Nocujemy u miejscowych i z reguły ludzie przyjmują nas z otwartymi ramionami i wielką życzliwością. Cieszą się, że nagłaśniamy tę sytuację. Czasem spotykamy się z przykrymi słowami – w Teremiskach jedna z mieszkanki krzyczała na nas,

Wiele osób ma w rodzinie pograniczników, więc obecny kryzys humanitarny dzieli nie tylko społeczeństwo, ale i rodziny.

że chętnie strzelałaby do aktywistów. Trochę nas to zdołowało, ale w następnej miejscowości ludzie byli już bardzo przyjaźni – relacjonuje Monika Tomaszewska.

Zazwyczaj w ciągu jednego dnia grupa przechodzi ok. 18 km, ich rekord to 25 km. Kończą, gdy zapada zmrok. Jak mówi Monika Tomaszewska, czasem gubią się w ciemnych lasach i w tych chwilach najbardziej współczują uchodźcom. – Żądamy dopuszczenia do uwięzionych w lesie ludzi wszelkiej pomocy humanitarnej.

Do człowieka bezbronnego i głodującego – podkreśla. – Do dzieci i osób starszych. Do kobiet. Kobiety w lesie tracą ciężar, bo nie dopuszcza się do nich lekarzy. Znany jest przypadek ciężarnej kobiety przerzuconej ponad drutami kolczastymi na granicy, w wyniku czego ona również straciła dziecko. Nie zgadzamy się na takie okropne

traktowanie człowieka – człowieka, który ucieka przed wojną. To jest jakiś koszmar. Idziemy, bo chcemy mówić o tym wszystkim, dawać świadectwo, że coś takiego się dzieje, i wyrazić naszą niezgodę. Marzymy o tym, żeby było nas więcej, żeby ludzie masowo przyjechali na granicę – może wtedy władza by się ugięła. Pomoc jest legalna. Protest jest legalny. Nie bójcie się podać ręki człowiekowi w potrzebie.

Paula Leśniewska

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

Kraków **MAŁOPOLSKA**

XIV FESTIWAL TWÓRCZOŚCI KOROWÓD
7–20.11.2021

7–15.11.2021
GŁOSOWANIE ONLINE!
 na najlepszą polską piosenkę
KONKURSU „PIOSENKARNIA”

18.11.2021, g. 19:00
Recital zespołu OREADA
ONLINE

20.11.2021, sobota, g. 19:00
KONCERT GALOWY
„Od słowa do słowa” Nowohuckie Centrum Kultury
 Wystąpią: Andrzej Poniedziałki, Andrzej Garczarek
 oraz laureaci: Zuza Wiśniewska, Olek Różanek. Gospodyni wieczoru – Anna Treter

WWW.PIOSENKARNIA.PL

organizacja: Fundacja Piosenkarstwa im. Jolanty
organizacja: MAŁOPOLSKA
organizacja: Kraków
organizacja: za'ks
organizacja: SAMP
organizacja: BACONFAC
organizacja: P
organizacja: naScenie.info

Rozmawia Marcin Ogdowski

Kim są osoby, które usiłują dostać się do Polski przez Białoruś?

– Łączy je jedno: trafiają do Europy w ramach akcji zorganizowanej przez służby Aleksandra Łukaszenki. To białoruska KGB zwozi tych ludzi z różnych miejsc świata i odstawia pod naszą granicę. Pochodzą z Iraku, Afganistanu, krajów Afryki Północnej. **Są migrantami ekonomicznymi? Uchodźcami wojennymi?**

– Nie każdy przyjeżdżający z obszaru objętego konfliktem zbrojnym to uchodźca. By uzyskać taki status, trzeba – w Polsce przed Urzędem ds. Cudzoziemców – udowodnić, że obawy przed prześladowaniem z powodu rasy, religii, poglądów czy pochodzenia społecznego są uzasadnione. Że pobyt poza granicami państwa, którego jest się obywatelem, wynika z tych obaw i że to one są powodem niekorzystania z ochrony własnego kraju. W przypadku osób pozbawionych obywatelstwa procedura jest podobna i dotyczy kraju dawnego stałego zamieszkania.

Ale my tym ludziom nawet nie dajemy takiej szansy...

– Niewiele możemy więc o nich powiedzieć – poza tym, że uciekają przed wojną i/lub biedą. Z doniesień medialnych wiadomo, że są pośród nich Afgańczycy, którzy wcześniej współpracowali z NATO, a dziś grozi im zemsta talibów.

Są też Syryjczycy.

– Przy całym okrucieństwie tamtejszej wojny trudno nie dostrzec, że sytuacja się ustabilizowała. Członkowie etnicznych i religijnych społeczności są tam, pośród swoich, względnie bezpieczni. W przypadku Libańczyków i mieszkańców Afryki mówimy w zasadzie o migrantach ekonomicznych.

Wielu chciałoby złożyć wniosek o ochronę międzynarodową.

– A my każdą taką osobę powinniśmy sprawdzić. I w ramach procedury administracyjnej przyznać status uchodźcy bądź nie, zgodzić się na jakąś formę pobytu czasowego lub nie. Albo stwierdzić, że dana osoba nie spełnia kryteriów, i odesłać ją do kraju pochodzenia.

Kosztowne...

– Ale takie obowiązki wynikają choćby z faktu, że jesteśmy częścią

Na wschodniej granicy nie toczy się żadna wojna, nawet hybrydowa

Jedyne rozwiązanie to umiędzynarodowienie problemu z wykorzystaniem możliwości NATO i Unii Europejskiej



DR PIOTR ŁUBIŃSKI

– adiunkt w Instytucie Nauk o Bezpieczeństwie Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Specjalizuje się w międzynarodowym prawie humanitarnym i karnym, w kontekście współczesnych konfliktów zbrojnych, pomocy rozwojowej i rekonyliacji. Obecnie pisze książkę „International Humanitarian Law and Hybrid Warfare” (Międzynarodowe prawo humanitarne a wojna hybrydowa) dla wydawnictwa Routledge.

strefy Schengen. Od dawna doceniamy korzyści, ale bądźmy również świadomi, że istnieją koszty tego rozwiązania. A Europa pozostaje atrakcyjnym miejscem dla nielegalnej migracji – i to raczej się nie zmieni. Bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz jeszcze większej presji migracyjnej na nasze granice.

Czy na wschodniej już doszło do spektakularnej eskalacji

zjawiska, do czego usiłuje przekonać nas rząd?

– Z pewnością nie jest to wielki kryzys. Z takim mieliśmy do czynienia sześć lat temu, gdy w granicach Unii pojawił się ponad milion migrantów.

Skoro nie wielki kryzys, to pewnie też nie wojna?

– Wiele osób i instytucji używa tego sformułowania. Dziennikarze, Komisja Europejska, nasz rząd. Ale w rozumieniu prawa międzynarodowego na polsko-białoruskiej granicy nie toczy się wojna. Nie dochodzi do starcia co najmniej dwóch państw.

I dlatego do słowa wojna dodawany jest przymiotnik hybrydowa. Jak prawo definiuje to zjawisko?

– Nie ma powszechnie uznanej prawnej definicji wojny hybrydowej. Ale w każdej z kilkunastu teorii zakłada się synergii wynikającą z jednoczesnego użycia sił – od kosmosu, przez cyberprzestrzeń (w tym *social media*), po działania kinetyczne. Na granicy Polski i Białorusi toczy się specyficzna rozgrywka z efektywnym i efektywnym wykorzystaniem kilku elementów wojny hybrydowej. Dochodzi do manipulacji opinią publiczną, prawem międzynarodowym i prawami człowieka. W moim przekonaniu jest to *hybrid threat*, zagrożenie hybrydowe, zjawisko zdecydowanie poniżej progu konfliktu zbrojnego.

Kiedy weszlibyśmy na wyższy poziom?

– Gdyby np. doszło do próby przekroczenia polskiej granicy przez uzbrojone bandy, działające z inspiracji władz Białorusi. Gdyby się okazało, że jakieś skupisko migrantów



Grupa irackich Kurdów zatrzymanych przez Straż Graniczną w lesie koło Hajnówki, 14 października 2021 r.

znajduje tu zastosowania. Natomiast Polska jest stroną Europejskiej konwencji praw człowieka. Założenie wynikające z orzeczenia Soering przeciwko Wielkiej Brytanii i wielu innych jest proste: skoro znajdujesz się w rękach urzędnika europejskiego, obejmuje cię jurysdykcja państwa, którego ów urzędnik jest przedstawicielem. Za zdrowie cudzoziemca osadzonego w polskim więzieniu odpowiada Polska. Taliba złapanego przez naszych żołnierzy w Afganistanie obejmowała polska jurysdykcja. I analogicznie sprawy mają się w stosunku do pojmanych na granicy migrantów – z chwilą przejścia przez strażników granicznych nabywają prawo do ochrony ze strony państwa polskiego.

Czyli *de facto* łamiemy jedną z najważniejszych konwencji?

– Nie tylko *de facto*, ale również *de iure*. Praktyka push-backów (wypychania za granicę) przy obecnym orzecznictwie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka jest po prostu niezgodna z prawem.

Co nam grozi jako państwu?

– Już to przerabialiśmy w przypadku Abu Zubajdy i Al-Nashiriego, terrorystów przetrzymywanych i torturowanych w Kiejkutach. Fakt, że

jest nie luźną grupą, ale zorganizowaną strukturą z określonym celem militarnym lub terrorystycznym.

Czy to możliwe?

– Nie wydaje mi się.

Powołanie się zatem przez Polskę na art. 5 traktatu północnoatlantyckiego, mówiący o kolektywnej obronie, nie wchodzi w grę?

– W tym momencie absolutnie nie. Natomiast fakt, że nie ma podstaw do przywołania art. 5, wcale nie znaczy, że NATO jest bezużyteczne. W Tallinie funkcjonuje natowskie centrum wyspecjalizowane w zwalczaniu zagrożeń hybrydowych. Litwini wczesnym latem, gdy tylko zaczęły się problemy na ich granicy z Białorusią, wezwali natowski CHST (ang. Counter Hybrid Support Team – Zespół do Zwalczania Zagrożeń Hybrydowych) na pomoc.

A dlaczego myśmy tego nie zrobili?

– To pytanie do rządu, choć przyznam, że nie rozumiem tego braku motywacji. Polska zaprosiła na granicę wyłącznie przedstawiciela Fronteksu, unijnej agencji zajmującej się ochroną zewnętrznych granic UE. Tymczasem na problem trzeba patrzeć całościowo, z wykorzystaniem możliwości, jakie daje zarówno NATO, jak i Unia Europejska. Tak zrobili Litwini i przy wsparciu Europy zbudowali całą infrastrukturę do „obsługi” kryzysu – mur, miasteczka namiotowe, odpowiednie zaplecze medyczne. W efekcie na granicy litewsko-białoruskiej nie dochodzi do tak dramatycznych sytuacji.

A u nas owszem, bo próbujemy radzić sobie sami?

– Istotą zwalczania zagrożeń hybrydowych jest współpraca z sojusznikami. Korzyści organizacyjne i finansowe są oczywiste, ale jest także kwestia wizerunkowa. Proszę zobaczyć, jak łatwo wepchnąć kij w szprychy Unii i NATO, zaprezentować Polskę i Polaków – manipulując przekazem – w negatywnym świetle. W praktyce jest tak, że jak już dostaniesz się do któregoś z krajów UE, to możesz swobodnie podróżować po całej strefie. Niekontrolowany

Na granicy Polski i Białorusi dochodzi do manipulacji opinią publiczną, prawem międzynarodowym i prawami człowieka.

przeptyw migrantów to z kolei niebezpieczne zjawisko. Polska zatem występuje dziś w interesie całej UE, tymczasem część mediów i opinii publicznej – u nas i na Zachodzie – twierdzi, że walczymy z bezbronnymi uchodźcami. Sami się prosimy, by w opisie kryzysu dominowała szkodliwa dla naszych interesów narracja Łukaszenki.

Ale przecież walczymy. Niedawno prezydent podpisał ustawę umożliwiającą wyrzucanie z kraju osób, którym udało się tu dostać. To działanie, zdaje się, nie tylko wbrew zapisom umowy z Schengen, ale też niezgodne z prawem humanitarne.

– Nie mamy do czynienia z wojną, więc prawo humanitarne nie

oddaliśmy obiekt Amerykanom, nie znosił jurysdykcji państwa polskiego. Odpowiedzialność finansowa rządu kilkudziesięciu tysięcy euro może się wydawać symboliczna, ale strat wizerunkowych nie sposób oszacować. Wypychając ludzi przez granicę, łamiemy co najmniej dwa prawa chronione przez EKPC. Jeżeli poddany push-backowi człowiek umrze w lesie, naruszamy prawo do życia. Jeśli będzie cierpiał – bity przez Białorusinów czy marznący w głuszy – to mamy do czynienia z torturami i niehumanitarnym traktowaniem na skutek decyzji polskiego urzędnika. W związku z tym art. 2 i 3 konwencji będą stanowiły podstawę do sądenia Polski przed ETPC.

► **To wymiar instytucjonalny, a co z indywidualnym? Czy da się doprowadzić do oskarżenia i skazania konkretnego funkcjonariusza SG lub żołnierza?**

– Nie sądzę. Odpowiedzialność ponosi państwo.

A na gruncie krajowym?

– Jeśli na skutek decyzji urzędnika państwowego umiera kilka osób, sprawą mógłby się zająć zwykły sąd karny. Generalnie łatwiej dochodzić sprawiedliwości w kraju. Sądownictwo międzynarodowe zarezerwowane jest dla najpoważniejszych naruszeń prawa międzynarodowego. Ale proszę zwrócić uwagę na inny aspekt: sądownictwo konkretnych funkcjonariuszy może istotnie wpłynąć na trwałość formacji mundurowych. Aparat urzędniczo-wojskowy opiera

Pchnie ludzi do wędrówki do Polski przez Ukrainę.

– Też tak uważam. I obawiam się skali negatywnego wpływu tego zjawiska na stosunki polsko-ukraińskie. Szybko pojawią się pretensje do Ukrainy, że nie potrafi chronić własnych granic.

I skończy się na kolejnym płocie, tym razem na granicy polsko-ukraińskiej.

– 535 km. Koszty będą ogromne. Wybudowanie muru na 180 km granicy z Białorusią ma pochłonąć 1,6 mld zł.

Do tego dojdą koszty kolejnego stanu wyjątkowego, tym razem wzdłuż granicy południowo-wschodniej.

– Z tym stanem wyjątkowym jest trochę tak jak ze strzelaniem z armaty do wróbla.

Jeżeli poddany push-backowi człowiek umrze w lesie, naruszymy prawo do życia. Jeśli będzie cierpiał, mamy do czynienia z torturami i niehumanitarnym traktowaniem.

się na zaufaniu. Żołnierze, policjanci czy strażnicy graniczni nie mogą wątpić w zgodność z prawem wydawanych im poleceń. Nie mogą zakładać, że grożą im sankcje za wykonanie jakiegokolwiek rozkazu. Bo jeśli tak będzie, wszystko się posypie.

To czy można chociaż ukarać Białorusi?

– Oczywiście! Aż dziw bierze, że tego nie robimy. Działania Białorusi powodują szkody i koszty po stronie polskiej. Są intencjonalne, co łatwo dowiedzieć. Wystawiamy więc Mińskowi rachunki za każdą podejmowaną na granicy procedurę. Odpowiedzmy sankcjami, pamiętając, że najdotkliwsze wynikną ze wspólnego działania większej liczby państw. Przekonajmy więc Unię. Utrata możliwości eksportu potasu, zamrożenie aktywów finansowych, wpisywanie kolejnych osób na listę niepożądanych gości. Metod jest mnóstwo, a na razie żadna nie została wykorzystana. No i jest Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. To, co robi Mińsk, wyczerpuje znamiona przemytu ludzi.

Na efekty działań MTS poczekamy kilka lat. Szybciej wybudujemy na granicy mur.

– Powinniśmy zacząć go stawiać tak jak Litwini – latem.

Pis go potrzebuje. Łukaszenka, pędząc ludzi ku granicy, odwraca uwagę od twardego kursu, jaki obrał po szeszciorocznych wyborach i protestach. Nasi rządzący grają z kolei antyimigrancką kartą, bo już kiedyś się sprawdziła. „Zrobimy wszystko, by nie wpuścić ich do Polski”, mówią.

– Kryzys do ogarnięcia na poziomie kilku powiatów urósł do rangi wielkiego, wręcz strategicznego zagrożenia państwa polskiego. Czy jest ono rzeczywiście tak słabe, że trzeba się bać 20 tys. ludzi? Zamiast straszyć – ich i nas – lepiej pójść na szeroką współpracę z Fronteksem, z UE. Przy ich wsparciu postawić płot, kilka miasteczek namiotowych. Z użyciem europejskich baz danych sprawdzić wszystkich, którzy do nas dotrą. Odeśłać tylko tych, którzy stanowią zagrożenie. Wystawić Białorusi rachunki i jednocześnie tworzyć międzynarodową presję na Mińsk. Niech na granicę przyjadą europarlamentarzyści, międzynarodowi obserwatorzy...

Media?

– Oczywiście! Prezydent Łukaszenka udzielił niedawno prawie godzinnego wywiadu CNN. Który z naszych urzędników państwowych najwyższego szczebla miał takie audytoryum, miejsce, gdzie mógłby

przedstawić polski punkt widzenia w sprawie kryzysu na granicy? Transparentność w zwalczaniu zagrożeń hybrydowych jest absolutnie kluczowa. Wszystkie działania związane z takim atakiem są bowiem podane w sosie głębokiej dezinformacji. Po stronie atakowanej rodzi to konieczność walki z fejkami, która tylko wtedy będzie skuteczna, jeśli włączą się w nią niezależne media. Jeśli ich ustalenia będą współgrały z tym, co mówi rząd, wspólnie zostanie zbudowana wiarygodność oficjalnego przekazu.

Tej na razie brakuje. Fakt, że nie wiemy, co się dzieje przy granicy, wśród wielu osób pogłębia nieufność do państwa polskiego.

– I o to właśnie chodzi naszym adwersarzom.

Rosjanom też?

– Chyba nikt, kto choć trochę orientuje się w geopolityce, nie ma złudzeń – Łukaszenka jest pionkiem w rękach Moskwy. A strategicznym celem Rosji jest destabilizacja filarów europejskiego porządku: NATO i Unii Europejskiej.

Czyli Kreml mógłby z dnia na dzień wyhamować migracyjną presję na naszej granicy?

– Jasne, tylko po co? To jest przypadek podobny do wraku tupolewa. Nieodwołanie go Polsce sprzyja mieszaniną w naszej polityce wewnętrznej.

Sami moglibyśmy coś zrobić.

Na przykład wysłać misję do Iraku i na miejscu tłumaczyć ludziom, że nie warto wyruszać w podróż do Europy.

– Prózne wysiłki, zresztą podejmowane już przez Litwinów. Po pierwsze, musiałaby to być akcja we współpracy z irackim rządem, a temu nie ufa znaczna część obywateli Iraku. Po drugie, Irak czy Afganistan nie funkcjonują tak jak Polska. Tam *gros* ludzi przez całe życie nie opuszcza swoich miejscowości. Gdy taki ktoś, namówiony przez pośrednika do wyjazdu, zobaczy na lotnisku w Kabulu czy Bagdadzie billboard z odpowiednią informacją, myśli pan, że zrezygnuje? Gdy wydał już te kilka tysięcy euro czy dolarów, stanowiących znaczną część życiowych oszczędności? Nie tędy droga. Jedyne rozwiązanie to umiędzynarodowienie problemu.

Marcin Ogowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tu jest Polska, a nie Unia

Paralelnie do wydanej przed laty książki Janusza Ta-zbira „Dzieje polskiej tolerancji” powinna dziś poja-wić się książka „Dzieje polskiej nietolerancji”. Zna-lazłoby się w niej i spalenie na stosie (w roku 1539 na Małym Rynku w Krakowie) staruszki Katarzyny Weiglowej za odstępstwo od katolicyzmu, i podpalenie przez polskie wojsko w roku 1656 „gniazda heretyków”, Leszna (wraz z bezcennymi rękopisami uchodzącego wtedy z miasta Jana Amosa Komeńskiego), i wygnanie dwa lata później braci polskich (wśród nich jednego z najwybitniejszych ówczesnych poetów, Zbigniewa Morsztyna), i ścięcie w 1689 r. na Rynku Starego Miasta w Warszawie Kazimie-rza Łyszczyńskiego za ateizm, i podobne ścięcie w roku 1724 w Toruniu burmistrza i dziewięciu rajców za nieza-pobieżenie antykatolickiemu tumultowi... Długa to lista – daleka od kompletności. Gdy Europa zmierzała do tole-rancji, Polska stawiała się oazą fanatyzmu.

Zarówno Pierwsza, jak Druga i Trzecia Rzeczpospo-lita nadawały religii katolickiej status uprzywilejowany. A tym samym otwierały wrota państwu wyznaniowemu. Że nie zawsze przechodzono przez te wrota, to już za-sługa „porządnej niedbałości naszej”... Niemniej jednak wiek XVII widział obwołanie Matki Boskiej Królową Koro-ny Polskiej, a XXI – ruch na rzecz intronizacji Jezusa na Króla Polski. Przez ostatnie cztery stulecia ciągnie się nić polskiej od-mienności, egzotyki, dziwaczności, cudaczności. Johanna Schopen-hauer, matka wielkiego filozofa, za-pamiętała z gdańskiego dzieciństwa „malowniczy i wspaniały strój narodowy Polaków”. Co znaczy, że w XVIII-wiecznym Gdańsku byliśmy uznawani za obcych. W czasie odsieczy wiedeńskiej musieliśmy opa-sywać się słomianymi powróżkami. Co znaczy, że w „na-rodowym” ubiorze niczym nie różniliśmy się od Turków.

A jednak – jak widać choćby z tego przykładu – Pol-ska, ten dziwny kraj ni to z Zachodu, ni ze Wschodu, ni z Europy, ni z Azji, potrafiła bronić cywilizacji europejskiej. Dziś z tej obrony został już tylko drut kolczasty na granicy z Białorusią. A z polskiego nieprzystawania do Europy wła-dze zrobiły program – co samo w sobie jest ewenemen-tem. Postawiły też władze na izolacjonizm – co w naszym położeniu geopolitycznym jest samo w sobie zabójcze. Tymczasem nawet zaborcy (w tym Rosja uwłaszczająca chłopów) dokonywali awansu cywilizacyjnego swoich poddanych. Ale pisowska władza dokonuje regresu: zamy-ka Polaków w narodowym getcie, konfliktuje ich z niemal wszystkimi już sąsiadami, skazuje na status raczej plemie-nia niż narodu, bo przecież natura nie znosi próżni. Czy znów, jak w XVIII w., ockniemy się jako Irokezi?

PiS – to nie wypadek przy pracy, jak wciąż zdaje się sądzić opozycja. PiS – to Polska właśnie. Zbyt długo ide-alizowaliśmy swoją przeszłość, zbyt długo piętnowaliśmy tych, co starali się mówić prawdę, by dziś nie wziąć się na lep fałszywych proroków bredzących o patriotyzmie i suwerenności. Ogromna większość narodu chce polskiej obecności w Unii? Ależ to dlatego, że Unia jest gigantycz-nym bankomatem – gdyby było inaczej, PiS nie brylowa-łoby w sondażach. Nad tym, co sami moglibyśmy dać Unii, w ogóle się nie zastanawiamy. Działamy odwrotnie: maniacko pielęgnujemy własną odrębność, niepowtarzal-ność, wyższość... Bartosz Kownacki, wiceminister obrony narodowej, informuje, że to od Polaków Francuzi przejęli używanie widelca. Arkady Rzegocki, ambasador RP, uda-je się do królowej Elżbiety II w kontuszu. Beata Szydło, premier rządu, wyprowadza z gabinetu flagę Unii Euro-pejskiej, deklamując, że „polska flaga jest najpiękniejsza”. „Tu jest Polska, a nie Unia!”, krzyczy marszałek Sejmu Elżbieta Witek. Druga osoba w państwie nie wie, że Pol-ska jest częścią Unii. Skądinąd to ta pani, która o Katyniu dowiadywała się z książek przedwojennych.

Czas to wreszcie powiedzieć: Polska ze swym pro-actwem i ignorancją, z kompleksami i agresywnością, z bagażem fanatycznego katolicyzmu, z martyrologią typu „wybili, panie, za wolność wybili” nie pasuje do Unii Europejskiej. Jedyne, co dziś tam robi, to para-liżuje jej działania. Polska stała się szkodliwa dla Europy, a polskie wyjście z Unii byłoby dla niej ulgą.

Lecz może stałoby się szansą dla Polaków? Bo gdy któ-regoś dnia wszystkie już polskie media będą pisowskie, gdy rządzący zmienią nam hymn narodowy, a na polskim godle umieszczą krzyż, gdy rozszaleje się cenzura i zape-łnią się cele więzienne – wówczas raz jeszcze się okaże, że została nam tylko Europa. Ta sama „lewacka” Europa, na którą kiedyś napluliśmy i którą tak nieopatrnie porzu-ciliśmy. Ale Europa nie będzie już mogła nam pomóc. Może tylko przysyłać paczki żywnościowe. Choć i to nie jest pewne, bo jak tu pomagać niewdzięcznikom?

Nie, nie życzę nikomu polexitu. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki. Jednak z polskich dziejów war-to wyciągać wnioski – inne niż te służące nieustannemu krzepieniu serc. Dziś przeżywamy jeden z największych zakrętów w naszej historii. Ciekawe, jacy z niego wyjdzie-my. „Narodowi i kobiecie nie wybaczają się owej chwili nieopatrności, kiedy lada awanturnik może na nich do-puścić się gwałtu”, powiada stary Marks.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Polscy katolicy zostali sami

Biskupi pojechali, posłuchali, co miał do powiedzenia papież Franciszek – i dalej robią swoje

Kazimierz Bem,
Jarosław Makowski

Stefan Kisielewski jest autorem znanego bon motu, który na potrzeby opisanego stanu Kościoła katolickiego w Polsce można sparafrazować tak: problemem nie jest nawet to, że biskupi zrobili z Kościoła cyrk – problemem jest to, że obecne przedstawienie im się bardzo podoba.

Polska nie jest pępkiem Kościoła

Przed tradycyjną wizytą *Ad limina Apostolorum* polskich biskupów wielu komentatorów popuściło wodze fantazji; marzyło im się europejskie Chile – papież zmusi idących w zaparte pysznych biskupów kryjących seksualnych zwyrodnialców

Franciszek nie ma ani ochoty, ani czasu zajmować się Polską.

do podania się *in gremio* do dymisji. W Polsce – gdzie episkopat jest tak zblatowany z rządem, że nazywa się go często ePiSkopatem, kolejni biskupi nie tylko okazują się bezradni w walce z pedofilią swoich księży, ale wręcz ją sabotują (kazuśki księdza Andrzeja Dymera), a zaufanie do kleru jest równie nikłe jak zaufanie do wicepremiera ds. bezpieczeństwa Jarosława Kaczyńskiego – wydawało się, że papież za interweniując, pogrozi, a może nawet wymusi dymisję.

Byliśmy jednymi z nielicznych, którzy się nie łudzili. Pamiętaliśmy, że przypadek chilijski, choć mocny, był i jest wyjątkiem, a wynikał głównie z tego, że tamtejsi biskupi okłamali papieża Franciszka, który poręczył za seksualnego drapieżcę bp. Juana Barros. I potem tego żałował, przepraszał publicznie: „Popęniłem poważne błędy w ocenie

i rozeznaniu sytuacji, zwłaszcza z powodu braku wiarygodnych i ważonych informacji. Przepraszam wszystkich, których uraziłem”. Stąd te dymisje. Ale zauważmy, że już wstrząsający raport o skali tuszowania pedofili w Kościele Francji – 216 tys. ofiar w ciągu 70 lat, jak ustaliła Niezależna Komisja ds. Nadużyć w Kościele – nie skłonił Franciszka do podobnych kroków. Dlaczego inaczej miałoby być w Polsce?

Prócz tej watykańskiej polityki pobłażliwości wobec biskupów kryjących pedofili, którą doskonale wyczuli polscy książęta Kościoła, są inne racje, które sprawiają, że Franciszek obchodzi się z polskim episkopatem jak z niezbyt świeżym jajkiem. Po pierwsze, obecny biskup Rzymu nie ma ani ochoty, ani czasu zajmować się Polską. Jan Paweł II przyzwyczaił nas, że rodzimy Kościół jest

oczkiem w głowie Watykanu, ale to się zmieniło. Więcej uwagi poświęcał nam Benedykt XVI, natomiast Franciszek wykazuje daleko idącą powściągliwość. Trochę na zasadzie, że wciąż żywe jest tu dziedzictwo papieża Wojtyły, z którym obecny biskup Rzymu nie ma zamiaru walczyć ani jakoś go zmieniać. Znamienna jest nieobecność Franciszka w Polsce, poza jedyną wizytą, odziedziczoną zresztą po poprzedniku. Dla Polaków może to być bolesne, ale przestali być pępkiem Kościoła katolickiego na świecie.

Po drugie, co nam może się wydawać szokujące, papież Franciszek jest zwolennikiem decentralizacji, a mówiąc językiem kościelnym – synodalności. Lokalne Kościoły powinny same rozwiązywać swoje problemy, a nie oglądać się na Rzym. Sęk w tym, że polski Kościół zawsze patrzył w kierunku Rzymu, gdyż to

Jan Paweł II był jego liderem. I to on nim *de facto* zarządzał. Teraz mamy sytuację paradoksalną: wierni domagają się interwencji Franciszka, gdy widzą kręactwa biskupów choćby w sprawie krycia pedofilów w su-tannach. Nasi biskupi zaś popierają Franciszka, mówiąc, że my tu sobie sami swoje kłopoty załatwimy i nasze podwórko posprzątam. Jak im to idzie, wszyscy doskonale widzimy.

Korporacyjna lojalność

Co jeszcze podpowiada, że nasi biskupi miło spędzili czas w Rzymie? Fakt, że są lojalni wobec siebie. Jak mówi nam jeden z księży, „opór materii jest tak duży wobec zmian, które proponuje Franciszek, że papież nie będzie chciał iść na otwartą konfrontację”. Zgoda, że w ostatnim czasie w Kongregacji Nauki Wiary negatywnymi bohaterami, na których Watykan nakładał symboliczne kary, byli nasi hierarchowie, m.in. abp Sławoj Leszek Głódź, abp Marian Gołębiewski, abp Wiktor Skworec, bp Stefan Regmunt, bp Stanisław Napierała, bp Tadeusz Rakoczy, bp Jan Tyrawa czy zmarły niedawno bp Edward Janiak. Ba, wciąż kilka spraw dotyczących tuszowania pedofilii przez kolejnych hierarchów czeka na rozstrzygnięcie. Ale nie ma co kryć, że pod względem skali wykorzystania seksualnego i tuszowania skandali pedofilskich polski episkopat nie wyróżnia się jakoś szczególnie na tle całego Kościoła. Natomiast, choć przez długie lata utrzymywano inaczej, potwierdziło się przekonanie, że i u nas zbudowano kulturę milczenia oraz przyzwolenia na seksualne nadużycia.

Krótko: Franciszek chętnie nakłada symboliczne kary na polskich hierarchów – szczególnie tych, którzy przechodzą na emeryturę – ale wobec ich solidarności i lojalności korporacyjnej nie zaryzykuje konfliktu. Poza tym, nawet gdyby chciał, nie ma kim obecnych biskupów zastąpić.



Na spotkaniu z papieżem Franciszkiem humory dopisywały. Polscy hierarchowie w Watykanie nie posypywali głów popiołem.

Przykład bp. Mirosława Milewskiego z Płocka pokazuje, że młodsze pokolenie może być równie problematyczne co starsze: znany z konserwatywnych i homofobicznych wypowiedzi hierarcha uczył się angielskiego, mieszkając w jednopokojowym mieszkaniu pewnej niezamężnej Polki w Anglii. Lekcje musiały być superintensywne, bo ta na czas ich trwania wyprawiła swoją matkę do Polski, a biskup miał problemy z trafieniem do kościoła parafialnego.

Nie po to ktoś zostaje papieżem, by go potem zamartwiać złymi wiadomościami. Gdyby Franciszek chciał poznać prawdziwy obraz polskiego Kościoła, do kosza powinien wyrzucić dokumenty, które kładą mu na biurku pracownicy Stolicy Apostolskiej, i zrobić sobie zwykłą prasówkę dotyczącą polskiego Kościoła. Albo przeczytać apel polskich katolików, którzy pisali do niego, zamieszczając swój tekst również we włoskim dzienniku „La Repubblica”:

nie są pedofilami, są skazani „jakby na śmierć cywilną (...). Jest on usuwany z urzędu, popada w infamię i zostaje jakby unicestwiony przez media!”. A przecież gdyby taki biskup molestował, miałby *carte blanche*! Pozbawiony poczucia przyzwoitości hierarcha o prawdziwych ofiarach nie wspomniał – był zbyt załamany losem kolegi po biskupim fachu, najślawniejszego softysa wśród biskupów, Sławoja Leszka Głódzia, którego papież skazał na tortury emerytury z generalską pensją w wybudowanym z niejasnych źródeł pałacu. Dobry humor nie opuszczał też abp. Wacława Depa, który swój pobyt w Watykanie komentował tak: „Biskupi nie pojechali »na dywanik«, to były oczekiwania mediów”. I dodawał, że „walka z pedofilią wśród duchownych nie jest dla Kościoła priorytetem”. Sądząc po dokonaniach jego kolegów, metropolita częstochowski powiedział najprawdziwszą prawdę.

Najdalej w bagatelizowaniu potrzeby zmiany kursu polskiego Kościoła poszedł abp Marek Jędraszewski, który z zadowoloną miną mówił, że papież nie tylko ich nie besztął, ale wręcz chwalił i mówił, że „Kościół w Polsce jest płucami, którymi oddycha cały Kościół” ▶

Papież chętnie nakłada symboliczne kary na polskich hierarchów, ale nie zaryzykuje konfliktu.

I ostatnia sprawa: w Watykanie wciąż jest wystarczająco dużo ludzi, którzy dbają o to, żeby żadnemu polskiemu biskupowi nie spadł włos z głowy. To przede wszystkim owoc długiego pontyfikatu Jana Pawła II. Watykańscy urzędnicy pracujący w poszczególnych kongregacjach zazwyczaj swoje stanowiska i kariery zawdzięczają papieżowi Wojtyłce oraz niegdysiejszej szarej eminencji Rzymu, kard. Stanisławowi Dziwiszowi. To oni dbają też, by do Franciszka dotarły tylko te wiadomości, które dotrzeć powinny.

„Błagamy Cię! Spójrz z troską na Kościół w Polsce, gdzie zostały potwierdzone przypadki pedofilii, a lojalność wobec instytucji jest ślepa i głucha, ważniejsza od dobra ofiar”.

I odśpiewali „Barkę”

Nie dziwi więc, że abp Stanisław Gądecki z typowym dla siebie zerowym wyczuciem nastrojów społecznych wypominał podobno papieżowi, że „księża pedofile mają *carte blanche*”, po czym skomlał, że biskupi, którzy ich kryli, ale sami

► europejski” – chyba chodziło mu o płuca covidowe. Jeśli wierzyć polskiemu biskupom, spotkanie z Franciszkiem przypominało spotkania wojewódzkich sekretarzy PZPR z I sekretarzem, bo postanowiono, że „na-leży wzmóc”, gratulowano sukcesów „w budowaniu” i tylko zamiast „Międzynarodówki” odśpiewano „Barkę”, by uczcić św. Jana Pawła II.

Ironizujemy, ale przypominamy: już wcześniej napisaliśmy, że biskupi spędzą w Rzymie miło czas i włos im z głowy nie spadnie. Może nawet mieli chwilę, by spotkać się z byłym nuncjuszem abp. Józefem Kowalczykiem, któremu prawie wszyscy zawdzięczają pioski biskupie oraz to, że kolejne skandale ani wybryki nie nadwyrężają papieskiej uwagi. A nawet, gdy papież nakazuje zbadanie spraw, wyroki są łagodne, momentami wręcz obraźliwe dla ofiar, albo ustalenia komisji są tajne i pozostają kpina z powszechnej wiedzy,

przekracza 10% – i chodzi o parafie wiejskie. W parafiach miejskich zapewne spustoszenie po pandemii i latach „dobrej zmiany”, która dla biskupów okazała się cenniejsza niż Dobra Nowina, jest jeszcze większe. Dla porównania – jeszcze dwa lata temu było to nieco powyżej 20%. W polskich metropoliach trwa rytuał posyłania brzdąców na katechezę, szczególnie do pierwszej komunii. Ale znamienne, że gdy tylko dzieci zaczynają rozumieć, co katecheci i katechetki próbują im przekazać, masowo wypisują się z narodo-wo-katolickiej indoktrynacji. Znów góruje Łódź, ale podobny *exodus* dzieciaków z lekcji religii widać w Warszawie, Poznaniu, Trójmieście, Szczecinie, a nawet Krakowie. Liczba nastolatków na religii przypomina liczbę chodzących na mszę. Według badania Pew z 2020 r. polska młodzież jest najszybciej laicyzującą się i ateizującą młodzieżą na świecie.

gdyby nigdy nie braciszkwowie są zajęci umywaniem rąk i tuszowaniem działalności kolegi (podobno już byłego), misjonarza w Kamerunie, któremu prasa zarzuca brak troski o powierzone mu dzieci, niejasne transakcje finansowe, a nawet niewyjaśnione okoliczności śmierci jednego z wychowanków. Dominikanie przeprowadzili wizytację, ale jej wyniki utajili. Zapewne z pokory i skromności.

Duszpasterstwo wojskowe (żeby było sprawiedliwie, także ewangelickie i prawosławne) okazało się zupełnie zbędne i nie ukształtowało ani jednego chrześcijańskiego sumienia, co widać na granicy z Białorusią. Za to kolejni kapelani i biskupi połowi mówią z ambony językiem PiS, ofiary widząc w żołnierzach przemocujących ciężarną kobietę przez drut kolczasty jak worek z ziemniakami.

O stosunku wiernych do swoich pasterzy świadczy reakcja na orędzie opublikowane przez jednego z biskupów po powrocie z Watykanu. Komentarze pod nim były tak krytyczne i dosadne, że wyłączono możliwość

komentowania wystąpienia arcybiskupa szczecińskiego.

Co na to biskupi? Etatyzują coraz większą liczbę księży jako kapelanów i katechetów, skarżą się, że nowy polski nieład PiS daje im za mało pieniędzy i... No właśnie: nic. Okazuje się, że ci wychowankowie Jana Pawła II i jego nominaci nie mają żadnej, ale to żadnej wizji ratowania Kościoła, który dostownie pali się z każdej strony. Nieobecni w czasie pandemii, wynurzyli tylko głowy, żeby podziękować za *de facto* całkowity zakaz aborcji wprowadzony rękoma Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej. Z płonącego budynku polskiego Kościoła słychać, jak biskupi śpiewają niczym ich ukochani kibole: „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało!”.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że katolicy zostali sami – bez liderów i duszpasterzy. Bo trudno oczekiwać, że polski Kościół naprawią i staną się duchowymi przywódcami biskupi, którzy ponoszą odpowiedzialność za największy jego kryzys po 1989 r.

Kazimierz Bem,
Jarosław Makowski

Niektóre wiejskie parafie diecezji łódzkiej poinformowały, że w 2021 r. liczba wiernych na niedzielnej mszy ledwo przekracza 10%.

tak jak słynne śledztwo w sprawie abp. Wiktora Skworca, który nie tylko krył księdza pedofila, przenosząc go z parafii do parafii, lecz także ma na koncie współpracę z PRL-owską Służbą Bezpieczeństwa. Biskupi pojechali, posłuchali, co miał do powiedzenia Franciszek – i dalej robią swoje. Widać jak na dłoni, że naiwny jest ten, kto oczekuje od hierarchów refleksji i jakichkolwiek zmian. O przyzwoitości nie wspominając.

Katolicy głosują nogami

Ale czy my się nie czepiamy? Może Kościół w Polsce jest rzeczywiście w dobrej kondycji i z zazdrością patrzą na niego Kościoły w Europie? Może ławy kościelne są pełne, do seminariów młodzi ludzie walą drzwiami i oknami, a zaufanie do biskupów jest na poziomie zaufania Najświętszej Panience? Biskupi mają strategię duszpasterskie rozpisane na lata? Zderzamy zatem dobre samopoczucie naszych hierarchów z czymś tak niewygodnym jak fakty.

Niektóre parafie diecezji łódzkiej poinformowały, że w 2021 r. liczba wiernych na niedzielnej mszy ledwo

W tym roku seminaria duchowne w Elblągu, Bydgoszczy, Łowiczu czy nawet w Drohiczyźnie nie przyjęły żadnego kandydata. To świadczy o radykalnym kryzysie. A przecież Polska miała być kopalnią powołań. Właśnie my mieliśmy rechrystianizować Europę, a nasze „technika duchowlane” miały wysyłać nowych ewangelizatorów w świat i nawracać Europę. W tym mateczniku Jana Pawła II, Krakowie, gdzie z „cywilizacją śmierci” i kolejnymi „ideologiami” walczy postępujący się nienawistnym językiem abp Jędraszewski, do seminarium zgłosiło się aż czterech kandydatów. A ponieważ znana jest jeszcze z Poznania „troska”, jaką nad nimi sprawuje ten ulubieniec polskiej prawicy, nie jest powiedziane, że wszyscy skończą seminarium. W innych diecezjach dzieje się podobnie.

Moralna zgnilizna dopadła również zakony, które – jak sądziliśmy – miały być „wyspą katolickiej przyzwoitości”. Będący bohaterami wielkiego skandalu dominikanie wszystko zrzucili na zmarłego prowincjała o. Macieja Ziębę. Po głośnym raporcie nikt nie podał się do dymisji, nikogo nie odwołano. Obecnie jak

CZY NIE ZABRAKNIJE LEKÓW W APTEKACH?

Ok. 80% surowców wykorzystywanych przez europejski przemysł farmaceutyczny pochodzi z Chin i Indii. 30 lat temu było to 20%

Beata Igielska

W Azji farmaceutyki wytwarza się tanio, bo chiński rząd dotował produkcję farmaceutyczną, która i tak była tam tańsza niż w Europie. W ten sposób doszło do monopolizacji rynku przez Azjatów. Teraz skutkiem może być brak leków, ponieważ może zabraknąć aktywnych składników farmaceutycznych (API) i substancji pomocniczych. Przez Chiny przetacza się bowiem kryzys energetyczny. Poruszenie skrzydła motyla w dalekiej Azji może wywołać tsunami lekowe w Polsce – pacjenci mogą zostać bez leków, nawet tych ratujących życie.

Na rynku API panuje bardzo duża konkurencja: to 3 tys. firm i 5,5 tys. zakładów produkcyjnych na całym świecie, z tego większość w rejonie Azji i Pacyfiku (Indie i Chiny). Globalny przemysł API jest bardzo rozdrobniony. 13 dużych firm ma tylko 4,45% udziału w rynku. Pozostałe 95,55% należy do wielu graczy.

Nie bij muchy, która siedzi na głowie tygrysa

Indie importują z Chin ok. 70% surowca do produkcji farmaceutycznej, lecz próbują się uniezależnić. Przewiduje to program inwestycyjny premiera Narendry Modiego. Jego założenia mówią o uniezależnieniu się od Chin w produkcji API za trzy-cztery lata, a poza tym o rozpoczęciu eksportu na cały świat, co osłabi chińską dominację na rynkach zagranicznych. Chiny więc bronią się, stosując nawet dumping. Indie są głównym eksporterem substancji do produkcji atorwastatyny – leku zaliczanego do grupy statyn, pomagających normalizować stężenie lipidów we krwi. Chińczycy obniżyli zatem ceny tych substancji o 30%, chcąc w ten sposób wyeliminować Hindusów z rynku.

Fabryka koncernu Bayer w Qidongu w prowincji Jiangsu we wschodnich Chinach.



Już ta gra pokazuje, że odbudowa produkcji API w Europie nie będzie łatwa, bo Chińczycy będą kusić bardzo zaniżonymi cenami substancji czynnych. Konieczne będzie podjęcie decyzji strategicznej i powiedzenie sobie jasno, że produkcja w Unii Europejskiej nie będzie opłacalna cenowo. To właśnie będzie koszt bezpieczeństwa lekowego.

– Chiny walczą z kryzysem energetycznym. Na nowy samochód czy iPhone'a można czekać rok, ale nie na lek potrzebny natychmiast – mówi Krzysztof Kopeć, prezes Krajowych Producentów Leków.

W październiku br. w ponad połowie chińskich prowincji zredukowano dostawy prądu i część fabryk ograniczyła produkcję. Racjonalizację dostaw prądu jest spowodowane m.in. administracyjnym utrzymaniem niskich cen energii przy gwałtownie rosnących kosztach jej produkcji. Około dwóch trzecich energii wytwarzanej w Chinach pochodzi z węgla, a jego cena tylko

we wrześniu br. wzrosła tam o 40%. Jeszcze kilka lat temu Chińczycy sprowadzali ponad połowę węgla z Australii – dziś jest ograniczenie, a w praktyce zakaz importu z tego kraju. Relacje między Chinami a Australią nie należą do najłatwiejszych. To Australijczycy wystąpili z wnioskiem o śledztwo w sprawie pochodzenia koronawirusa. Chiny wzmacniają własnych producentów węgla i szukają alternatyw dla jego dostaw w Indonezji, Mongolii i Rosji.

– Ponadto Chiny chcą sprostać założeniom polityki klimatycznej. W 2060 r. planują osiągnąć neutralność klimatyczną, ale emisja dwutlenku węgla wciąż rośnie. Według oficjalnej narracji rządu centralnego chińskie prowincje, chcąc sprostać rocznym planom, muszą ograniczać dostawy prądu, żeby zamknąć ten rok z zaplanowanym wynikiem – wyjaśnia Radosław Pyffel, ekspert ds. Azji i polityki międzynarodowej. – Koszty produkcji substancji czynnych w Chinach wzrastają nie tylko

z powodów związanych z ochroną środowiska. Chińczycy mają już dość bycia najsłabszą siłą produkcyjną, nie chcą tego. Zwracają się więc ku Afryce. Tam wyprowadzają produkcję butów, garniturów, ubrań. A wszystko, co dzieje się w Chinach, ma wpływ na cały świat. Grozi brakiem komponentów do produkcji różnych dóbr, a także wzrostem ich cen – dodaje.

Przerwy w dostawach elektryczności równają się problemom z produkcją przemysłową. Za chwilę może się okazać, że nie kupimy prezentów pod choinkę *Made in China*. W dodatku rwą się łańcuchy dostaw. Większą zapobiegliwość wykazali się Koreańczycy, którzy mają własne komponenty do produkcji leków i surowce.

Jeśli chodzi o leki, Chiny zawsze były uznawane za dobrego partnera, ale czy w tej sytuacji nadal będą w stanie wywiązywać się z umów? Komponentów do wytwarzania farmaceutyków już zaczyna brakować, co tylko pokazuje, że monopol nigdy nie jest zdrowy ani dobry. Monopolista podnosi ceny, sprzedaje temu, kto da więcej. Czy Polska będzie w stanie przelicytować konkurentów? To jasne, że Chińczycy najpierw zapewnią dostęp do leków swoim obywatelom, a potem tym, którzy zapłacą najwięcej.

Jeżeli nie przyznajesz się do błędu, popełniasz kolejny

Dlatego aż 70% Polaków czułoby się bezpieczniej, gdyby leki były produkowane w kraju, wynika z badania

„Opinie Polaków na temat rynku farmaceutycznego” przygotowanego dla Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego – Krajowych Producentów Leków przez Civitta Polska i Attention Marketing. W świetle tego badania Polacy dobrane oceniają jakość polskich leków. Tu można mieć zastrzeżenie do badania, bo ilu z nas ma świadomość, kto jest producentem leku, ilu też umie ocenić jego jakość? Niemniej jednak 64% badanych uważa, że krajowych leków powinno być na naszym rynku najwięcej.

Uzależnianie bezpieczeństwa lekowego Polaków od kogokolwiek jest strategią błędną i naiwną.

Ponad połowa respondentów doświadczyła sytuacji, w której nie znalazła w aptece przepisanego przez lekarza preparatu. Ludzie boją się więc powtórki. Może dlatego rodzi się coś w rodzaju patriotyzmu, że nasze jest dobre, wybierzmy polskie, nie zagraniczne? Może rzeczywiście to polskie leki powinny być szeroko reprezentowane na półkach aptecznych?

Rzecz jasna, patriotyzm zderza się tu z ekonomią. Za tym, że ktoś sięga po polski lek, a nie po preparat produkowany np. w USA, przemawia zazwyczaj niższa cena. Natomiast rzeczywiście co bardziej świadomi Polacy woleliby uciec od leków z Azji. To również pokazuje badanie. Polacy uważają ponadto, że rozwój

farmacji daje nowe miejsca pracy. Są za tym, by rozwijać rodzime firmy farmaceutyczne, dać im wsparcie ze strony rządu. Deklarują, że czuliby się bezpieczniej, gdyby większość leków była produkowana w Polsce.

Rząd powinien zatem wspierać budowanie bezpieczeństwa lekowego. Pandemia dobitnie pokazała, jakie to ważne. Nawet paracetamol, dostępny w każdym kiosku, stał się przez moment rarytasem. Tymczasem brak leków na serce, astmę czy antybiotyków może mieć tragiczne skutki. W przypadku chorób prze-

wlekłych wystarczy dwa tygodnie przerwy w terapii i dochodzi do pogłębienia choroby, a nawet śmierci.

Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków, przypomina, że na cukrzycę w Polsce choruje 3 mln osób, z tego 90% cierpi na cukrzycę typu drugiego. Pacjent dotknięty tym schorzeniem do końca życia musi przyjmować leki doustne oraz insulinę, podstawowy lek ratujący życie, ile je umożliwiają. Bez nich rozwiną się bowiem powikłania, takie jak zawały serca, udary, utrata wzroku, amputacje kończyn. Leków cukrzycowych nie można odstawić.

– Dwa lata temu metformina była zanieczyszczona substancją rakotwórczą. Pacjenci odstawili lek, bo bali się. Efekty były straszne. Na początku pandemii bali się, że zabraknie insuliny. Na forach internetowych pisali: mam zapas na dwa miesiące, przez te dwa miesiące będę żył. Dziś widzimy, że ten strach był na wyrost – mówi Śliwińska. – To dlatego dziś ludzie chcą, aby polski przemysł farmaceutyczny był wspierany. To zapewni bezpieczeństwo. Mało tego, Polska powinna wytwarzać leki innowacyjne, żeby doganiać świat. Udział leków krajowych w rynku leków maleje, bo to azjatyccy producenci mają ceny preferencyjne.

– Pacjenci kardiologiczni stosują wiele różnych terapii, także na schorzenia towarzyszące. Jeśli do niepokojów o dostęp do specjalistów dołączy strach o dostępność stale przyjmowanych leków, nie dziwi,

LEKCJA Z PANDEMII

W badaniu przeprowadzonym przez Teva Pharmaceuticals w II kwartale 2021 r. zebrano opinie 3 tys. pacjentów z Francji, Niemiec, Holandii, Hiszpanii, Chorwacji i Czech. Wszyscy cierpieli na jedno lub więcej schorzeń przewlekłych, które wymagają regularnego przyjmowania leków. Niemal trzy czwarte (73%) uważa, że przemysł farmaceutyczny ma strategiczne znaczenie dla Europy w okresie wychodzenia z pandemii, ponieważ może zapewnić stabilność i niezawodność dostaw leków. Zdaniem 59% sektor farmaceutyczny jest kluczowy w zabezpieczeniu autonomii i suwerenności Europy w zakresie dostępności leków o krytycznym znaczeniu. 85% pacjentów uważa sektor farmaceutyczny za kluczowy wżywieniu gospodarczym. Jako główne korzyści wynikające z promowania produkcji leków w Europie pacjenci wymieniali tworzenie miejsc pracy i wspieranie lokalnej gospodarki (57%), a tuż za nimi – pragnienie lepszego dostępu do podstawowych leków i zmniejszenie uzależnienia od dostaw zagranicznych (56%). Ponadto ponad 70% europejskich pacjentów chciałoby, aby Europa była równie konkurencyjna jak inne regiony świata, i oczekuje, że ich rząd podejmie działania na rzecz realizacji tego celu. Również 71% Polaków uważa, że polski rząd powinien wspierać rozwój przemysłu farmaceutycznego w Polsce.

że kondycja fizyczna i psychiczna pacjentów wydaje się zagrożona – zwraca uwagę Agnieszka Wołczenko, prezes Stowarzyszenia Ecoserce.

Dobry królik ma trzy nory

Od 2011 r. resort zdrowia obniżył ceny krajowych leków o 26% i są one dziś najniższe w UE. – W tym samym czasie koszty produkcji w Polsce wzrosły kilkukrotnie, np. te związane z utylizacją odpadów – o 150%. Do tego trzeba doliczyć wzrost kosztów energii, wody, surowców do produkcji leków i wynagrodzeń pracowników. Poza tym inflacja od tego czasu wyniosła ok. 15% – wskazuje Katarzyna Dubno, wiceprezes Krajowych Producentów Leków.

Decyzje o refundacji są podejmowane co trzy lata. – Co trzy lata więc komisja przy ministrze zdrowia oczekuje obniżek. Jaki produkt jest tak systematycznie potaniany? Jeśli jedna czwarta leków byłaby wytwarzana w Polsce, byłibyśmy bardziej odporni na kryzysy i zachwiania w łańcuchach dostaw – dowodzi Barbara Jagielak, wiceprezes zarządu Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego oraz dyrektor ds. relacji zewnętrznych grupy Polpharma. – W latach 90. XX w. każdy Polak sięgający po aspirynę chciał, żeby była z Niemiec. Dziś raczej warto podkreślać na opakowaniu, że lek jest wyprodukowany w Polsce, bo rośnie akceptacja dla krajowych leków, zaufanie do nich. Są polskie insuliny. Zresztą Polska jako pierwsza produkowała insulinę po jej odkryciu – zapewnia Barbara Jagielak.

Radosław Pyffel: – Uzależnianie bezpieczeństwa lekowego Polaków od kogokolwiek jest strategią błędną i naiwną, a argument niższej czy niskiej ceny bardzo krótkowzroczny. Biznes, zwłaszcza w Chinach, to z jednej strony jak najlepsza odpowiedź na potrzeby klienta, z drugiej zaś wykorzystanie do maksimum sprzyjającej sytuacji w zgodzie z własnym interesem. Jeśli dany kraj nie postępuje w zgodzie z chińską maksymą „dobry królik ma trzy nory” i pozbawia się długoterminowych alternatyw w imię krótkoterminowych zysków, powinien mieć pretensje przede wszystkim do siebie.

– Przypomnę, że insuliny były produkowane w Polsce. Kilka lat temu

Bioton trafił w ręce chińskie, bo ktoś nie dostrzegł niebezpieczeństwa – dodaje Krzysztof Kopeć. – Unia już rozpoczęła kampanię, żeby produkcję substancji czynnych przenieść do Europy. Bo koszty środowiskowe do nas wrócą. Nawet z Afryki. Znowu nie będzie dywersyfikacji. Dlatego najbezpieczniej będzie produkować w Europie. A Polska już nie jest tak

Produkcja w Unii Europejskiej nie będzie opłacalna cenowo. To koszt bezpieczeństwa lekowego.

biednym krajem, gdzie tylko niska cena się liczy. Apelujemy, żeby brać pod uwagę bezpieczeństwo długofalowe. Jeśli nie będzie tanich chińskich butów, będzie przykro, ale przeżyjemy. Bez leków może to się nie udać. Dlatego polskich producentów leków trzeba wesprzeć natychmiast. Nigdy nie będziemy konkurencyjni cenowo wobec dostawców z Azji. Trzeba więc się zastanowić, czy jesteśmy w stanie ponieść koszt bezpieczeństwa lekowego. To jest decyzja systemowa. Chodzi o zmianę finansowania leków produkowanych w UE i w Polsce.

We Francji uruchomiono projekt EuroAPI, który ma uniezależnić Europę od dostaw substancji aktywnych pochodzących z innych regionów świata. Inicjatorem jest koncern

Sanofi. Wytwarzanie ma się odbywać w sześciu europejskich zakładach produkcyjnych: we Frankfurt Chemistry i włoskim Brindisi, w brytyjskim Haverhill, w Saint-Aubin-lès-Elbeuf i Vertolaye we Francji oraz w budapesteskim Újpeście. Sanofi stawia na ok. 200 API. Do tego chce wykorzystać swoją rozległą sieć handlową obejmującą ponad 80 krajów. Euro-

API ma zatrudniać 3,2 tys. wykwalifikowanych pracowników i będzie mieć główną siedzibę we Francji.

Włoski klaster mający produkować API zostanie dofinansowany w formie grantu miliardem euro, a AstraZeneca chce przeznaczyć na to 365 mld dol. Również Polska ma potencjał, aby rozwijać produkcję substancji czynnych i leków u siebie.

Na koniec warto przypomnieć, że UE zadbała o bezpieczeństwo żywnościowe, tworząc rozmaite systemy wsparcia dla rolników. Szkoda, że nikt nie pomyślał, że takie same mechanizmy rządzą także rynkiem leków. Oby nie było za późno na refleksję.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Śródtytuły to chińskie przysłowia

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

HANIA,
żyje dzięki
Dawcy szpiku

MICHAŁ,
Dawca szpiku

**BEZ WZGLĘDU
NA DYSTANS,
ŁĄCZĄ NAS GENY**

ZOSTAŃ DAWCĄ SZPIKU **ZAMÓW PAKIET NA DKMS.PL**

UWAGA, DRON



Prywatna spółka wycofała się z obsługi aplikacji do zgłaszania przelotów dronów. Może to zagrozić bezpieczeństwu na niebie

Marek Czarkowski

Nad naszymi głowami lata dziś ponad 150 tys. dronów, wkrótce będzie ich 200 tys. Większość to niewielkie, ważące do 250 g urządzenia, których właściciele nie muszą przechodzić specjalnego szkolenia. Sterowane za pomocą aplikacji na smartfony, kupowane często jako prezenty komunijne i traktowane jak zabawki, służą do amatorskiego filmowania lub robienia zdjęć z powietrza.

Drony profesjonalne, ważące nawet dziesiątki kilogramów, transportują niewielkie ładunki na terenie miast, stosowane są przez policję do kontroli ruchu drogowego, strzegą granic przed imigrantami, badają stan trakcji energetycznych, latem obserwują tereny leśne, szukając źródeł pożarów, monitorują poziom zanieczyszczenia środowiska, dostarczają sushi, piwo i lody... Niemalże każdego dnia wymyślane są dla nich nowe zastosowania.

By pilotować takie urządzenia, należy zarejestrować się na stronie

Urzędu Lotnictwa Cywilnego i w zależności od wagi drona i jego wyposażenia zapoznać się z przepisami lub ukończyć kurs w jednej z blisko stu działających w Polsce szkół operatorów dronów i zdać egzamin. Zgodnie z prawem każdy lot bezałogowca powinien być wcześniej zgłoszony w Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej, która także sprawuje nadzór i kontrolę nad przestrzenią powietrzną w naszym kraju. Bez jej zgody wykorzystanie drona, zwłaszcza dużego, będzie złamaniem prawa.

Tymczasem w sieci bez trudu znajdziemy filmy, na których widać unoszące się nad pasami startowymi lotnisk bezałogowce. To bardzo poważne zagrożenie. Z kolei na początku października br. w mieście Zhengzhou w chińskiej prowincji Henan w trakcie pokazu światła z wykorzystaniem małych dronów na głowy widzów zaczęły spadać setki tych aparatów. Na szczęście nikt nie ucierpiał. Jak potem się okazało, zawiodło oprogramowanie. W 2018 r. w Hongkongu podczas podobnego pokazu z nieba spadło 46 dronów.

Nad naszymi głowami lata dziś ponad 150 tys. dronów.

Podejrzewano, że ktoś użył aparatury zakłócającej ich funkcjonowanie.

Dotychczas w Polsce nie dochodziło do tak poważnych incydentów, choć teraz może to się zmienić.

Unikatowa aplikacja

Najnowszy problem związany jest właśnie z Polską Agencją Żeglugi Powietrznej. 23 października br. na swojej stronie internetowej warszawska spółka Droneradar poinformowała użytkowników, że wstrzymuje rozwój i utrzymanie aplikacji o tej samej nazwie, zintegrowanej z systemem PansaUTM, gdyż nie ma możliwości dalszego finansowania projektu. Komunikat podpisał prezes spółki Paweł Korzec.

Było to dużym zaskoczeniem, gdyż Droneradar jest integralną częścią zarządzanego przez PAŻP systemu koordynacji lotów dronów o nazwie PansaUTM. To pierwsze i unikatowe w skali europejskiej certyfikowane rozwiązanie wykorzystywane przez służby ruchu lotniczego. Świata zaprezentowano je w 2019 r., a uruchomienie w pełni funkcjonalnej wersji nastąpiło na początku marca 2020 r. w strefach kontrolowanych lotnisk w Poznaniu, Bydgoszczy i Modlinie.

PansaUTM to cyfrowa koordynacja lotów bezałogowców połączona z zarządzaniem wnioskami oraz zgodami na loty w polskiej przestrzeni powietrznej. Tworzą ją rozwiązania opracowane przez Polską Agencję

PRADZIADEK DRONA

Mało kto wie, że na pomysł wykorzystania drewnianego modelu samolotu, napędzanego miniaturowym silniczkiem spalinowym, z doczepioną amatorską kamerą filmową, wpadli już w 1967 r. w czasie wojny sześciodniowej Izraelczycy. Z jego pomocą dokonali rozpoznania ukrytych stanowisk artylerii egipskiej na Synaju. Do dziś ten kraj jest liderem, jeśli chodzi o projektowanie, budowę i wykorzystanie wojskowych bezałogowców.

Żegluga Powietrznej, wspomniana już aplikacja Droneradar oraz część systemowa współautorstwa firmy Hawk-e.

Należy podkreślić, że międzynarodowa ocena stworzonego nad Wisłą systemu była, i nadal jest, bardzo wysoka. Dlatego nie bez podstaw pojawiły się opinie, że system PansaUTM może się stać towarem eksportowym.

Amerykańska spółka Dedrone na swojej stronie internetowej, www.dedrone.com, prezentuje mapę naszego globu, na której zaznaczone są incydenty z udziałem bezzałogowców. W Europie najczęściej

Poszło o pieniądze

Reakcja Polskiej Agencji Żegluga Powietrznej była natychmiastowa. Tego samego dnia wydano oświadczenie, w którym zapewniono, że aplikacja Droneradar pozostaje narzędziem zintegrowanym z systemem PansaUTM, a po prostu zakończyła się umowa na świadczenie przez spółkę Droneradar usługi utrzymania systemu.

Obie strony zachowują milczenie. Nie powstrzymało to burzy komentarzy w internecie. Najczęściej pytano o przyczyny zerwania współpracy, zwłaszcza że w przeszłości

rozpoczął w roku 2014. Rok później gotowa była pierwsza wersja programu. W listopadzie 2017 r. Polska Agencja Żegluga Powietrznej oficjalnie uznała Droneradar i rekomendowała ją operatorom bezzałogowców. Prace integracyjne trwały cały rok 2018, a system w pełni funkcjonalny stał się dopiero w marcu 2020 r.

Nie wiadomo, co się stanie, jeśli Droneradar ulegnie awarii. Kto będzie odpowiedzialny za naprawę aplikacji i co z użytkownikami, którzy, jeśli będą chcieli zgłosić lot dronem w agencji, będą musieli do niej się dodzwonić. Pamiętajmy, w Polsce jest już ponad 150 tys. dronów. Tysiące ich właścicieli korzystają z Droneradaru. Należy się liczyć z setkami incydentów zagrażających bezpieczeństwu ruchu lotniczego.

Byłoby to poważnym ciosem dla reputacji PAŻP, która szczyci się dziś wysokim profesjonalizmem i skutecznością. Wszak w Polsce nie dochodzi do takich zdarzeń z udziałem dronów jak np. w okolicach Portu Lotniczego Londyn-Heathrow. W styczniu 2019 r. na godzinę trzeba było zamknąć to największe brytyjskie lotnisko, gdyż w pobliżu jego pasów startowych zaobserwowano drona. I nie sposób było ustalić, skąd się tam wziął.

We wrześniu tego samego roku aktywiści próbowali zakłócić działalność Heathrow, wypuszczając niewielkie, zabawkowe bezzałogowce. ▶

dochodzi do nich w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Na terenie Polski nie zaznaczono ani jednego takiego przypadku.

W czym tkwi tajemnica? W aplikacji Droneradar. Pozwala ona m.in. na sprawdzenie wykonania lotu dronem zgodnie z przepisami w danym miejscu i czasie. Wizualizuje strefy geograficzne, pozwala na oznaczenie na mapie miejsca i czasu wykonania lotu, umożliwia dostęp do informacji o wszelkiej aktywności lotniczej w danym rejonie oraz informacji o aktualnym stanie pogody. Jest to ogromne ułatwienie dla osób, które nie mają w pełni profesjonalnej wiedzy lotniczej.

I najważniejsze – Droneradar ułatwia komunikację ze służbami ruchu lotniczego. Za pośrednictwem aplikacji pilot drona może je poinformować o planowanym przelocie i uzyskać zgodę. W sytuacji awaryjnej zaś służby mogą mu nakazać natychmiastowe zakończenie lotu jego aparatem. Nie trzeba wyjaśniać, że ma to duże znaczenie zwłaszcza w pobliżu lotnisk.

W naszym kraju jest 15 portów lotniczych i 14 regionalnych lotnisk, plus lotniska wojskowe. Ograniczenia lotów bezzałogowców dotyczą też obszarów miejskich, terenów przemysłowych, sieci energetycznych itp. Dlatego perspektywa wyłączenia tak przydatnego narzędzia przeraża wielu użytkowników.

PAŻP wielokrotnie chwaliła aplikację i jej autorów. Zastanawiano się, czy jeśli agencja postanowi samodzielnie rozwijać aplikację, to nie pojawi się kwestia praw autorskich. Dziś autorem, wydawcą i administratorem aplikacji jest spółka z o.o. o nazwie dlapilota.pl, co dodatkowo komplikuje sytuację.

Pisano, że stworzenie od podstaw oprogramowania tej klasy będzie wymagało czasu i niemałych pieniędzy. Paweł Korzec prace nad aplikacją





WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL

RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ. WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

- Prasa brytyjska pisała, że „drony wózków lotnisk to plaga”. A jeśli wierzyć wspomnianej już mapie spółki Dedrone, pod tym względem na Wyspach niewiele się zmieniło.

Mimo że ruch lotniczy w Polsce nie wrócił do wielkości sprzed pandemii, nikt nie chce, by był zakłócany z powodu bezzałogowców, nad

Skrzypczak podał się do dymisji, a rząd izraelski zakazał swoim flagowym koncernom zbrojeniowym robienia interesów nad Wisłą. Przynajmniej na jakiś czas.

Budowę dronów, które można by zaoferować wojsku, interesuje się też kilka polskich firm. Najpoważniejszą jest gliwicka spółka

już się sprawdziły w działaniach bojowych w Libii, Górkim Karabachu i Syrii. Fakt, że ich konstruktor, absolwent Massachusetts Institute of Technology, Selçuk Bayraktar jest mężem Sümeyye Erdoğan, najmłodszej córki prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğan, zapewne nie miał w tej sprawie najmniejszego znaczenia.

Plany na papierze

Dlaczego nasza armia szukała nowoczesnych dronów za granicą? Jakkolwiek gorzko to zabrzmi, nasz przemysł zbrojeniowy, nasi naukowcy i informatycy nie są dziś w stanie zaprojektować, zbudować i wyposażać nowoczesnego dużego drona bojowego.

Trudno sobie wyobrazić, by jakaś rodzima firma zechciała wziąć na siebie ciężar produkcji bezzałogowca o wadze ponad tony i zasięgu, powiedzmy, 300 km. I by jeszcze był on niezawodny, tani i prosty w obsłudze. Przy czym kluczowym i najdroższym elementem byłoby stworzenie oprogramowania, które poradziłoby sobie w każdych warunkach.

Wszystkie liczące się gospodarki i armie świata inwestują w systemy bezzałogowców. Jedne modele stają się większe, lepiej uzbrojone i trudniej wykrywalne, o zasięgu tysięcy kilometrów. Drugie mają być tanie, produkowane w tysiącach egzemplarzy i zaprogramowane, by działać jako uzbrojone roje.

Szacowano, że do roku 2026 będziemy produkowali w Polsce drony i oprogramowanie do nich o wartości ponad 3 mld zł. Korzyści dla gospodarki wynikające z ich zastosowań sięgną zaś ponad 400 mld zł. Od roku 2017 r. Ministerstwo Infrastruktury wspólnie z Polskim Funduszem Rozwoju realizuje Projekt Flagowy Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju pod nazwą Żwirko i Wigura, którego celem jest wspieranie rozwoju zastosowań tych aparatów w gospodarce.

Szkoda, że wszystkie dotychczasowe doświadczenia nie są zbyt zachęcające. Dlatego zajęcie się przez Najwyższą Izbę Kontroli szczegółami realizacji tego programu jest tylko kwestią czasu. Ale to już inna historia.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Nasz przemysł zbrojeniowy, nasi naukowcy i informatycy nie są dziś w stanie zaprojektować, zbudować i wyposażać nowoczesnego dużego drona bojowego.

wykorzystaniem których nikt nie ma kontroli. Albo, co gorsza, by przestały latać te urządzenia, które wykonują ważne społecznie zadania.

Oczywiście gdy nie wiadomo, o co chodzi, na pewno chodzi o pieniądze. Uspokajające zapewnienia kierownictwa PAŻP mogą nie wystarczyć. Wolno jedynie mieć nadzieję, że strony dojdą do porozumienia. Co ciekawe, w tym przypadku może się okazać, że niewielka spółka skłoni do ustępstw poważną rządową agencję.

Dronie bojowy! Gdzie jesteś?

Nie tylko cywile zmagają się z dronami. Przed nie mniejszym wyzwaniem stoi Wojsko Polskie. Nasza armia w przeszłości chciała kupić izraelskie drony, lecz skończyło się skandalem. W listopadzie 2013 r. media ujawniły treść listu, który gen. Waldemar Skrzypczak, ówczesny podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, wysłał do dyrektora generalnego w resorcie obrony Izraela, gen. Shmai Avielego. Wynikało z niego, że faworytem w rywalizacji na dostawę dronów dla naszej armii jest spółka Elbit Systems. Rzecz w tym, że o to samo zabiegała inna izraelska spółka – Israel Aerospace Industries. Ostatecznie gen.

Flytronic, wchodząca w skład Grupy WB, największej prywatnej firmy zbrojeniowej w naszym kraju. Oferuje ona dziś systemy FlyEye oraz FT5 (pierwotnie nazwano go FT5 „Łoś” – przyp. aut.), choć w przeszłości pracowano także nad projektem o nazwie „Manta”, o którym dziś jest cicho.

W roku 2015 Grupa WB planowała budowę ciężkiego drona. Miał on powstać na bazie brytyjskiego aparatu WK450 Watchkeeper produkowanego przez firmę Thales UK, która z kolei zbudowała go na bazie izraelskiego drona Hermes 450 firmy Elbit. Wojsko Polskie i tym razem nie wykazało zainteresowania. Podobnie jak w przypadku konstrukcji o nazwie PW100, nad którą pracowała Politechnika Warszawska. Również w planach Polskiej Grupy Zbrojeniowej była budowa dużego bezzałogowca, lecz nigdy nie zaprezentowano nawet modelu tego aparatu.

Dziś Wojsko Polskie dysponuje niewielką liczbą dronów do zastosowań taktycznych, lecz ma ambitne plany. Pod koniec maja br. minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak podpisał z tureckim producentem, spółką Baykar, wartą około miliarda złotych umowę na dostawę 24 bezzałogowców Bayraktar TB2, które

NAGRODY ZA POPULARYZACJĘ RATOWNICTWA

Red. Anna Cieplińska z Radia Katowice oraz Robert Borkowski publikujący w PRZEGŁADZIE otrzymali medale „Za zasługi dla WOPR”. Kapituła Śląskiego Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego uhonorowała w ten sposób autorów za popularyzację ratownictwa i propagowanie bezpieczeństwa turystyki i rekreacji nad wodą. Medale wręczono podczas WOPR-owego zakończenia sezonu letniego w bazie ratowniczej nad jeziorem Dzieckowice. Nagrodzonym gratulujemy.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zawracanie świata kijkiem (prawicowym)

Wponurym, niekiedy wręcz dramatycznym świecie publicznych zdarzeń, kiedy już nie ma skąd wypatrywać pocieszenia, iskierek radości, grymasu uśmiechu, nadchodzi niekiedy niespodziewany dar losu – prawicowa *à la* inteligencja i jej niezrównane zapasy autotematyzmów, samouwielbienia i braku jakiegokolwiek dystansu do własnych odjechanych konceptów, fantazmatów i projekcji. I ogarnia nas wtedy ów wyzwalający śmiech, który wiruje z każdym prawicowo-rządowo-katolicko-narodowym gestem nabzdyczenia okraszzonego wszystkimi zgonionymi w jedno internetowe miejsce autorytetami i gwiazdami prawobiznesu. Pisointeligencja w pełnej krasie objawiła się w ubiegły czwartek i harcowała przez trzy dni pod dumnym sztandarem „Walka kulturowa w UE. Dostosować się czy walczyć”.

Podzielając zasadniczo punkt widzenia Andrzeja Stankiewicza, który w Onecie przeanalizował wnikliwie i bez złudzeń rzeczywisty wymiar groźby polexitu, coraz częściej forsowanego przez pisowską wierchuszkę, nie mam wątpliwości, że ofensywa się rozpoczęła. „PiS nie pasuje do Unii, a Unia do PiS. Do polexitu może dojść w następnej kadencji rządów PiS, gdy nowy budżet unijny przestanie być tak hojny dla Polski. Ale Kaczyński i całe tabuny oddanych mu separatystów już teraz uruchomili rozpisaną na lata operację zmiany świadomości Polaków. Mamy pokochać polexit”, napisał Stankiewicz. I widać, że PiS zamierza pokochać tenże polexit nie tylko sercem (polskim, rzecz jasna), ale i rozumem.

Taka konferencja, w takim składzie, z takim doбором listków figowych (m.in. Maciej Gdula, Antoni Dudek, Jan Śpiewak) ma na lata zapłodnić Polskę antyunijną, ma zohydzić Europę, epitetami marksizmu powszechniejszego niż w stalinowskim ZSRR nasączyć wszelkie spory i kwestie, w których PiS stanęło do walki z Unią. Wezwano więc umysły najtęższe polszczyzną narodowo-patriotyczną, konserwatywno-faszyzującą, homofobiczną i mizoginiczną. Gdyby wróg miał skomponować ten kwiat zatrutej pisowskiej paproci propagandowej – nie zrobiłby tego lepiej. Któż zwołał ten bogoojczyźniany *dream team*, jak nie Jaki? Patryk Jaki. Ten Patryk Jaki. Czytajmy zatem: „Cancel culture” – Ryszard Legutko; „Cancel culture i wolność słowa w XXI wieku. Co wolno napisać?” – Marek Jurek, ks. Bortkiewicz, Kwaśniewski za Ordo Iuris, ks. Oko, pan Zych... Tu przerwałem spisywanie, choć z pierwszego dnia czekały mnie jeszcze: pytanie Pawła Lisickiego „Kto fałszuje Jezusa?”, debata o kryzysie chrześcijaństwa, zamartwienia nad ruchem Black Lives Matter – „Czy to ruch wolnościowy, czy uderzający w wolność?”, ale ręka i oko zmartwiały, uwiędły. I jeszcze te nazwiska: Pospieszalski, Chodakiewicz, Karnowski ten, potem tamten, potem znów ten, a na powrót tamten. Organy odmówiły mi współpracy.

Mówię sobie: zwyczajem kultury „kopiuj/wklej” wezmę spis z któregoś pisma patronackiego konferencji, to umysł jakoś to zdzierży, a dłoń odpocznie. I co się okazuje? Oni też odpadli, nikt nie przepisał tego maratonu patriotycznych mózgów, tylko po linii najmniejszego oporu skopiowali obrazek z programu konferencji... Nie dali rady. Nikt. Żadne Frondy, „Sieci”, „Do Rzeczy”, Radio Maryja, Kraków Niezależny. A przecie to ich duma, bukiet profesury, publicystyki, Biuro Propagandy PiS. Za dużo nazwisk, za dużo imion, tytułów. Sama Polska pojawia się w ośmiu nagłówkach. Jest i marksizm, i gender, i marksizm kulturowy... Zagrożenia, walka, szanse. Bitwa trwa już na całego. Oczywiście gdzie to wszystko? W Szpitalu Narodowym, o, przepraszam, to już nie szpital, tylko znowu Stadion Narodowy.

100 tys. ponadmiarowych zgonów Polaków jednak nie zasłużyło na wzmiankę i pogaduszkę. Uchodźcy? He, he, he. Śmierć 30-letniej kobiety, która musiała umrzeć, żeby Przylebska z Pawłowicz mogły tryumfować, bo nie dokonano aborcji płodu, który nie miał żadnych szans na przeżycie. Nie, nie, takie temaciki nie.

W zamian prof. Andrzej Nowak z Uniwersytetu Jagiellońskiego nauczy świat, co ma o Polsce wiedzieć, w wykładzie: „Jaki powinien być dla świata obowiązkowy (!!!) zestaw wiedzy o Polsce” – tego sobie odpuszczę. Egzaminować powinni gromowcy: Haitańczyku, Polinezyjczyku, Australijko! Nie wiesz, kim była siostra Faustyna albo kim jest Wanda Półtawska? Kula w łeb. Niezlomna, polska. Jak się uda wyprodukować, bo z rodzimym przemysłem zbrojeniowym ostatnio krucho.

Świecie, ucz się o Polsce, najważniejszym kraju na globie i w najbliższej kosmicznej okolicy.

Świecie, ucz się o Polsce, najważniejszym kraju na globie i w najbliższej kosmicznej okolicy. Kiedy amerykański historyk Brian Porter-Szűcs pisał książkę „Całkiem zwyczajny kraj. Historia Polski bez martyrologii”, nie mógł wiedzieć, jak bardzo się mylił i błdził. Teraz usłyszysz. I w ogóle takie publikacje chyba nie powinny zaśmiecać ludzkich umysłów. Takie szkalujące rzekomą przeciwnością naszego narodu huzarów i bohaterów, niezłomnych zbieraczy złomu pokoleń. Oni idą w bój, fanfary ryczą, tarabany grzmą, pantery i leopardy grzeją silniki. Pilot z nami nie leci od dawna, spadochrony są zbędnym kaprysem genderowo-gejowskiej zniewieściałej Europy.

Czy to da się leczyć? Nie wiem, ale pieniądze płyną, szeroko, niepowstrzymanie. Propaganda musi kosztować. I kosztuje.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl



EUROPA W KOŃCU WYRAŹNIE WIDZI KOBIETY

Przełomowa rezolucja Parlamentu Europejskiego o wpływie, jaki na kobiety i dzieci ma przemoc ze strony partnera

Anna Stachowiak

Były mąż Doroty, wykształcony, przemity dla sąsiadów, wykańczał ją psychicznie. Bała się go także córka. Po rozstaniu nie chciała z nim zostać, w końcu zaczęła się moczyć. Mówiła mamie, że ojciec dotykał ją w miejsca intymne. Prokuratura sprawę o molestowanie umorzyła, nie dając wiary ani kobiecie, ani jej córce. Sąd zostawił kontakty z nocowaniem. Dziewczynka na widok ojca wpada w panikę. Jest pod opieką psychologa i psychiatry.

Ewa odeszła od partnera, bo pił i bił. Świadkiem awantur był ich 15-letni dziś syn. Nie chce mieć z ojcem nic wspólnego, mówi o nim *per* pan. Sąd ustalił kontakty, ale chłopak nie chce spotykać się z ojcem. Matka płaci wobec tego wysokie kary pieniężne. I zadłuzza się, bo alimentów nie dostaje. Pyta: mam zmuszać moje dziecko do kontaktów z ojcem?

Kaśka walkę o dzieci toczy od czterech lat. Mimo kolejnych dowodów, nagrań, SMS-ów i zeznań

świadków przedstawianych przez kobietę sąd uważa, że ojciec, nawet przemocowy i niestabilny, dzieciom się należy. A ojcu należy się władza rodzicielska. Kobieta została uznana za „alienatorkę”, a to dlatego, że starając się chronić dzieci przed zachowaniami ojca, ogranicza kontakty do minimum. Ostatnio sąd ją ostrzegł, że jeśli dalej będzie „tak robiła”, to dzieci wylądują u ojca.

Takich spraw w Polsce są tysiące. Często dzieje się tak, że sąd rodzinny rozpatruje sprawę niezależnie od toczącego się w innym sądzie postępowania karnego wobec sprawcy przemocy. W wielu pomagają organizacje kobiece, np. Centrum Praw Kobiet czy Feminoteka. I właśnie te działaczki, które na co dzień zajmują się pomocą ofiarom przemocy, w październikowej rezolucji Parlamentu Europejskiego widzą przełom.

Po raz pierwszy w jednym dokumencie unijnym zebrano dane – badania, ekspertyzy, statystyki – które pokazują nie tylko skalę przemocy, ale także jej wpływ na życie zarówno kobiet, jak i dzieci.

Przemoc wobec matki to przemoc wobec dziecka

Pół roku po publikacji raportu WHO na temat globalnej skali przemocy wobec kobiet – co trzecia w wieku 15-49 lat, czyli prawie 852 mln, pada ofiarą przemocy – Parlament Europejski przyjął rezolucję „Wpływ, jaki na kobiety i dzieci wywierają przemoc ze strony partnera oraz prawo pieczy nad dzieckiem”. Ten krok pokazuje, że Unia dostrzega skalę przemocy oraz – przede wszystkim – konieczność wspólnych wysiłków na poziomie instytucjonalnym, by przemoc wobec kobiet, określaną jako „antykobieca ofensywa”, zatrzymać. Porusza też tematy, które do tej pory były albo niedostrzegane, albo przemilczane.

W rezolucji stoi wprost: w dużej mierze przyczyną przemocy są głęboko zakorzenione stereotypy, które wpływają na sposób, w jaki kobiety są traktowane nie tylko przez partnerów, ale także przez instytucje, do których zwracają się o pomoc i ochronę. Podkreśla się, że „wszelkie formy przemocy motywowane płcią

stanowią ekstremalną formę dyskryminacji kobiet i naruszania praw człowieka wynikającą z różnic w traktowaniu kobiet i mężczyzn, które ta przemoc utrwała i wzmacnia”.

W dokumencie mowa jest o tym, że dzieci będące świadkami przemocy wobec matki też są ofiarami tej przemocy, a domyślny dogmat wspólnej pieczy nawet wtedy, gdy występuje przemoc w rodzinie, jest rozwiązaniem anachronicznym i szkodliwym. To nowość, bo choć tak dużo mówi się o dobru dziecka, rozwiązania prawne i praktyka sądowych pozostawiają wiele do życzenia. W rezolucji autorzy piszą wprost: przemoc wobec matki to przemoc wobec dziecka.

Całkowitym *novum* jest zwrócenie uwagi na kryzysy emocjonalne, które przeżywają kobiety będące ofiarami przemocy. Do tej pory wskazywali to wyłącznie eksperci antyprzemocowi i terapeuci, instytucje oczekiwały zaś od kobiet znakomitej kondycji, wszelkie objawy kryzysu psychicznego traktując jako świadectwa słabości. Słabości chętnie wykorzystywanej w przypadku walki sądowej przez drugą stronę. Jeśli kobieta szuka pomocy u psychologa czy psychiatry, by poradzić sobie z traumą, którą przeszła, w sądzie obraca się to przeciwko niej. Dlatego kobiety boją się korzystać z pomocy.

Narzędzie walki o dziecko

To pierwszy dokument tej rangi, który wprost odcina się od obalanej przez środowisko naukowe teorii alienacji rodzicielskiej. Termin ten został ukuty przez obecnie zdyskredytowanego psychiatrę amerykańskiego Richarda Gardniera. W skrócie: teoria zakłada, że matki po rozstaniu fabrykują zarzuty o przemoc czy molestowanie wobec dzieci, by zaburzyć ich więź z ojcem. Gardner w takich przypadkach zalecał powierzenie pieczy ojcu i zerwanie więzi z matką, by „naprawić” relację z ojcem, karząc przy tym matkę. Na całym świecie powstały organizacje rodziców walczących z teoriami Gardniera, a temat coraz częściej przyciąga uwagę instytucji i polityków oraz polityczek. Także w Unii.

Autorzy i autorki rezolucji wskazują, że teoria alienacji rodzicielskiej to istotny element walki o dzieci, którą

stosują w sądzie sprawcy przemocy. Tak było w przypadku Ewy i Kaśki – choć dzieci nie chcą kontaktów z ojcami z powodu przemocy, której ci się dopuszczali, mężczyźni używają argumentu „alienacji”, by oczernić matki przed sądem. W licznych pismach procesowych twierdzą, że to matki nastawiają dzieci przeciwko nim. Sąd nie zadbał o wysłuchanie dzieci, przychylił się do wersji ojców.

Taka strategia bywa skuteczna – na całym świecie znane są przypadki odbierania z tego powodu dzieci matkom. To dlatego świat odchodzi od tej teorii, kolejne ministerstwa w Europie – np. francuskie ministerstwo rodziny – przepraszają za podpieranie się nią; w Polsce natomiast wciąż rośnie jej popularność.

Co trzecia kobieta na świecie w wieku 15-49 lat, czyli prawie 852 mln, pada ofiarą przemocy domowej.

W Sejmie działa nawet powołany w ubiegłym roku zespół parlamentarny ds. przeciwdziałania alienacji rodzicielskiej.

Anna Kupsch ze stowarzyszenia Małe Wielkie Prawo, do której trafiają ofiary przemocy posądzane o alienację, mówi: – Ta rezolucja scala wiele podstawowych przepisów i praw oraz norm w obronie słabszych. Spełnia więc funkcję prawa i mamy nadzieję, że będzie brana pod uwagę także w sprawach cywilnych i rodzinnych.

Dodaje, że szczególnie ważne jest to, że w końcu, po latach bezrefleksyjnego opiewania fałszywych informacji o alienacji rodzicielskiej, dostrzeżono, że to kolejne narzędzie manipulacji. – Zbyt często sprawcy przemocy winą za nią obarczają ofiary. Rezolucja normuje te relacje i odciąża ofiary ze stygmatyzacji, obwiniania za wybory, zachowania oraz naruszanie norm i prawa przez sprawców przemocy – tłumaczy. Ofiary odzyskały głos.

Sprawcę izolować natychmiast

Anita Kucharska-Dziedzic, posłanka Lewicy i szefowa stowarzyszenia BABA, które od 20 lat zajmuje się pomocą kobietom, podkreśla inny aspekt rezolucji: – Bardzo mnie cieszy, że zaakcentowano w niej

znaczenie natychmiastowej izolacji sprawcy. Liczę na to, że nowelizacja senacka opuści teraz zamrażarkę sejmową i będzie procedowana, że ciężka praca senatorów czy przedstawicieli organizacji pozarządowych, Renaty Durdy i moja, nie pójdzie na marne.

Kluczowa jest według niej kompleksowość działań i współdziałanie instytucji, a przede wszystkim – edukacja. – Rozpoznawać przemoc powinni i nauczyciele, i lekarze, powinno rozpoznawać ją państwo w postaci przedstawicieli wielu służb i zawodów. I dzieci na państwo powinny móc liczyć, nawet wbrew woli swoich opiekunów. Dziecko jest bowiem osobą, jego bezpieczeństwo nie powinno być uzależnione od wieku czy sytuacji

osobistej. Dla dzieci ścieżki pomocowe powinny być niezależne od tych dla dorosłych. I to jest jedna z tych kluczowych kwestii podniesionych w rezolucji – mówi polityczka.

Urszula Nowakowska omawiała znaczenie rezolucji w audycji radiowej: „Ta rezolucja to przełom. Zmienia język, jakim do tej pory mówiono o przemocy, prawach kobiet i dzieci, i zawiera wszystko to, o czym my oraz inne organizacje kobiece mówimy od lat. Daje nadzieję kobietom, które w sądach walczą o sprawiedliwość i swoje dzieci, i choć nie jest to obowiązujące prawo, bo tę rolę będzie spełniała dyrektywa unijna, to wskazuje kierunek. Pokazuje, że Unia dostrzega konieczność wspólnej polityki i wysiłku, by chronić kobiety”.

W Polsce to szczególnie istotne. Bo choć na poziomie statystyk nie ma wielkich różnic między Polską a resztą Europy, zaprawiona konserwatyzmem opartym na „tradycyjnych” wartościach mentalność sprawia, że tu problem przemocy instytucjonalnej jest o wiele większy niż choćby w Hiszpanii czy we Francji. W Polsce, która marzy o wprowadzeniu konwencji stambulskiej, kobieta jest często mniej wiarygodna dla prokuratora czy sądu od swojego oprawcy tylko dlatego, że jest kobietą. I dlatego po rezolucji czas na dyrektywę. ■



Wracają

Pandemia sprawiła, że młodzi migrują z metropolii do rodzinnych miast i miasteczek

Anna Stachowiak

Dr Konrad Maj z Uniwersytetu SWPS zaczyna od osobistej refleksji. – To, że młodzi wracają z dużych miast do rodzinnych miejscowości, widzę na zajęciach, które prowadzę ze studentami. Okazuje się,

że z powodu pandemii wiele osób wróciło do miejsc pochodzenia. Co ciekawe, dobrze im tam, być może zostaną i ułożą sobie życie. To bardzo interesujący trend – mówi.

Aleksandra po wielu latach wróciła z Warszawy do Lublina, bo mimo że w stolicy mieszkała ponad dekadę, ma tu i przyjaciół, i pracę, i mieszkanie, dały o sobie znać pandemiczne lęki o bliskich. Chciała być bliżej rodziców. Zdalna praca sprawiła, że w Warszawie nic jej nie trzymało. Swoje mieszkanie na Żoliborzu wynajęła i wróciła na Lubelszczyznę. – Przyzwyczajam się. Życie jest inne, spokojniejsze. Pewnie i możliwości mniej, oferta kulturalna i rozrywkowa jest inna, ale i tak trwa pandemia, więc równie dobrze mogę siedzieć w domu w Lublinie, jak w Warszawie – ocenia. A do rodziców, oboje blisko siedemdziesiątki, ma tylko 10 km.

Pandemiczny strach

Najważniejsza przyczyna tych migracji to strach. O przyszłość, o siebie, o bliskich. Z badań prowadzonych przez psychologów, także w Polsce, wynika, że sytuacja pandemii może być postrzegana jako traumatyczna. Pojawiały się wypowiedzi ekspertów porównujące stres przeżywany i indywidualnie, i kolektywnie, społecznie, do tego z okresu wojny. „Wiele osób zgłasza nasilone objawy psychopatologii, takie jak ciągły lęk, obniżenie nastroju, przewlekłe napięcie. Występowaniu objawów zaburzeń psychicznych sprzyja utrzymujące się negatywne myślenie (ruminowanie). Obecna sytuacja epidemiczna niesie ze sobą zwiększone ryzyko zaburzeń adaptacyjnych i innych zaburzeń emocjonalnych (zespołu stresu pourazowego – PTSD, zaburzeń depresyjnych i lękowych)”, piszą naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego w raporcie wstępnym z kierowanego przez dr hab. Małgorzatę Dragan badania na temat zdrowia psychicznego w czasie pandemii COVID-19. 75% osób określiło pandemię jako „stresujące wydarzenie”.

Ponad połowa badanych (51%) zgłaszała objawy wskazujące na załamanie funkcjonowania i wykonywania codziennych obowiązków. Nasilone objawy depresyjne wystąpiły u 38%. U 62% – stałe odczuwanie lęku lub nadmierne zamartwianie się, w wyraźny sposób wpływające na wiele obszarów funkcjonowania w życiu codziennym. Znaczący odsetek badanych (37%) wykazuje objawy zespołu stresu pourazowego. Zaburzenie to jest następstwem zdarzenia traumatycznego, a więc związanego z zagrożeniem życia i zdrowia. Sytuacja pandemii może być postrzegana jako taki właśnie rodzaj doświadczenia.

Boimy się, a ten strach sprawia, że czujemy się źle.

Bezpiecznie w krainie dzieciństwa

Dr Konrad Maj: – Pierwsza przyczyna tych powrotów to lęk o bliskich i strach o przyszłość. Wszyscy mamy taką tendencję, że chcemy czuć się bezpiecznie, a klimaty, które znamy od dzieciństwa, swojskie,

w dodatku osadzone w mniejszych społecznościach, bliżej rodziny, dają to pocucie.

My możemy troszczyć się o rodziców czy rodzeństwo, oni o nas. W dodatku ludzie są sentymentalni, a w czasach gdy myślimy o zdrowiu, śmierci i przemijaniu więcej niż jeszcze dwa lata temu, wolimy przebywać w środowisku rodzinnym, które znamy od lat, podkreśla ekspert.

Aleksandra: – Jestem po trzydziestce i pewnie jeszcze kilka lat temu traktowałabym taki ruch jako porażkę życiową. Ale epidemia poprzestawiała mi w głowie, skupiłam się na zdrowiu, szukam równowagi.

W mniejszych miejscowościach wszędzie jest bliżej, taniej, łatwiej zrobić zakupy, dojechać do szkoły czy przedszkola.

Nie jest osamotniona w tych odczuciach. Z raportu „Życie codzienne w czasach pandemii”, opublikowanego przez Wydział Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wynika, że u wielu osób nastąpiło przewartościowanie „różnych kwestii w życiu codziennym”. „Kryzys pozwala dostrzec to, co najważniejsze, zbliżyć rodziny do siebie”, piszą naukowcy w rozdziale o tym, co pozytywnego można znaleźć w pandemii.

Jeden z badanych zauważa: „Myślę, że każdy poświęca więcej czasu na refleksje nad światem, nad sobą i nad relacjami z innymi ludźmi. I wszyscy się bardziej starają, by nikogo nie ranić. Zaczynamy bardziej szanować życie, dbać o zdrowie. Zmieniły się priorytety, mimo że kryzys trwa tak niedługo”.

Inny respondent stwierdza: „Izolacja w domu zmusza do zmiany nawyków, myślę, że społeczeństwo odnajdzie w tym dodatkową wartość w postaci mniej konsumpcyjnego stylu życia, spędzania czasu na łonie natury (choć w ograniczonej formie) i w gronie najbliższej rodziny”.

Kolejna osoba mówi: „Obserwuję naprawdę przeróżne aktywności wśród ludzi spotykanych na zewnątrz podczas spaceru. Tak jak wcześniej byłam znudzona ludźmi z mojego otoczenia, nic ciekawego się nie działo – tak teraz mam wrażenie, że jesteśmy wszyscy bardziej... LUDZCY, otwieramy się na siebie, rozmawiamy. Połączył nas w jakiś sposób

ten trudny czas i mimo że wielu ludzi nie widuję, gdyż głównie siedzę w domu, to podczas 30-minutowego spaceru już zauważam zmiany! Obyśmy zachowali to na czas, kiedy wszystko z powrotem ruszy z kopyta, pamiętajmy, że jesteśmy tu razem! Nie zapominając również o naturze, z którą czuję większe połączenie niż kiedykolwiek wcześniej w dużym mieście”.

Do tego dochodzą względy praktyczne: w małych miejscowościach po prostu łatwiej zachować wymagany dystans społeczny. – Zawsze w pandemiach ludzie przenosili się na wieś, szukali nieruchomości z ogródkami albo wyjeżdżali na jakieś wyspy.

Nie trzeba się tłoczyć w komunikacji miejskiej, przepychać w sklepie, stać w kolejkach. Dzisiaj obserwujemy to samo. W dodatku mamy wrażenie, że kiedy jesteśmy bliżej macierzy, możemy szybciej reagować, lepiej pilnować przestrzegania przez bliskich zasad, tych związanych z bezpieczeństwem. Intensywny kontakt z ludźmi w dużych miastach, którego trudno uniknąć w Gdańsku czy Warszawie, dla wielu jest źródłem niepokoju.

W Warszawie płaciłam za przedszkole prywatne 2 tys., tu niecałe 500 zł. Standard opieki jest znakomity.

W mniejszej miejscowości jest inaczej – przypomina psycholog.

Wracają, bo nie ma pracy

Trend powrotów widać na całym świecie. Zwrócił na niego uwagę na łamach „Gazety Wyborczej” Kamil Fejfer, analityk rynku pracy i nierówności społecznych oraz dziennikarz piszący o ekonomii i gospodarce: „Dla części młodych dorosłych pandemia oznaczała również opóźnienie momentu opuszczenia rodzinnego gniazda. (...) Część samodzielnych młodych zmusiła też do powrotu do rodziców. Widać to zarówno u nas, w innych europejskich krajach, jak i w Stanach Zjednoczonych”.

Z danych Eurostatu wynika, że średni wiek opuszczenia rodzinnego domu systematycznie obniżał się w UE, w 2019 r. było to 26,2 roku.

Ten trend załamał się z początkiem pandemii. W Polsce w 2019 r. średni wiek usamodzielnienia się wyniósł 27,4, a w 2020 r. – już 28,1 roku. Podobne zjawisko zaobserwowali badacze amerykańscy, a jak opisuje Fejfer, Pew Research Center tekst na ten temat tytułuje: „Po raz pierwszy od Wielkiego Kryzysu większość młodych dorosłych w Stanach Zjednoczonych żyje ze swoimi rodzicami”.

Powodem tych małych migracji najczęściej były względy ekonomiczne, pisze analityk. Duża część młodych pracowała w usługach, czyli branży, która w czasie kolejnych lockdownów była narażona na ogromne straty. W części – zamknięta. Młodzi znaleźli się w trudnej sytuacji finansowej, bo jak wynająć mieszkanie i żyć przy braku dostępu do dochodu albo ze znacznie mniejszym niż dotychczas?

Daniel wrócił do Olsztyna. Nie chciał, bronił się, ale nie miał wyjścia. Podczas pierwszego lockdownu stracił pracę w restauracji. Szukał innej – bezskutecznie. Przez miesiąc jeździł jako kurier, ale nie dawał rady fizycznie. Do rodziców wrócił, gdy skończyły mu się pieniądze. Znalazł pracę w lokalnej restauracji. Z pocutem, że w razie kolejnego lockdownu, utraty pracy czy choroby ma gdzie spać i co jeść.

Względy praktyczne odgrywają ogromną rolę: w mniejszych miejscowościach wszędzie jest bliżej, taniej, łatwiej zrobić zakupy, dojechać do szkoły czy przedszkola. – W dodatku ludzie się znają, a my z zasady lepiej się czujemy w sytuacjach, kiedy nie jesteśmy anonimowi. Przeżywanie potencjalnej choroby w obcym środowisku jest trudne – mówi dr Maj.

Tych, którzy mogą pracować zdalnie, można uznać za szczęściarzy, bo ich sytuacja jest relatywnie komfortowa. Nie tylko ze względów bezpieczeństwa. Mogą pracować i zarabiać w dużym mieście, a wydawać pieniądze – i żyć – w mniejszej miejscowości.

Kaśka wróciła ze stolicy do Rzeszowa: – W Warszawie płaciłam za przedszkole prywatne 2 tys. zł, tu niecałe 500 zł. Standard

► pieki jest znakomity. W dodatku do przedszkola w linii prostej mam 500 m. Na miejscu są dziadkowie, więc w razie choroby córki łatwiej mi się zorganizować. Lekarze są tańsi i mają krótsze terminy, a dojazd gdziekolwiek nie oznacza stania przez godzinę w korku. Z jednego końca miasta na drugi mogę przejechać w 20 minut, jeśli mam taką potrzebę. W dodatku, zarabiając w Warszawie, mogę coś sobie odłożyć.

Michał wrócił na wieś, do rodziców. Pracuje jako kierowca: – Wy najmowałem mieszkanie w Zamościu, studiowałem w Lublinie. Już w pandemii zacząłem pracować jako kierowca, więc, co oczywiste, często wyjeżdżam. Nie opłacało mi się utrzymywać mieszkania za tysiąc złotych z hakiem, z którego korzystam przez kilka dni w miesiącu. Wróciłem do rodziców i układ jest optymalny – mam gdzie spać, mogę spędzać czas z rodzicami, ale jednocześnie nikt sobie nie przeszkadza. Dzięki temu mogę oszczędzać na własne mieszkanie.

Prowincja nie boli

Na pytanie, czy nie uwiera go, że wrócił na prowincję, Michał odpowiada: – W ogóle. Mam święty spokój, oszczędzam, a jak chcę się ukulturalnić, to do Lublina mam 150 km. No i internet.

Dr Konrad Maj zwraca uwagę na to samo: – Przeprowadzamy się, wracamy, a jednocześnie nie mamy poczucia, że za karę wyładowaliśmy na prowincji i cofamy się w rozwoju, bo ciągle jesteśmy w kontakcie z naszym wielkomiejskim światem.

Psycholog dodaje, że w pewnym sensie to opowieść także o nim: – Choć mieszkam pod Warszawą, od wybuchu pandemii rzadko bywam w mieście. Ostatnio potrzebuję rehabilitacji w związku z problemami z kolanem i muszę powiedzieć, że chociaż

W małych miejscowościach łatwiej zachować wymagany dystans społeczny.

mam abonament w dużej warszawskiej klinice, korzystam z małego gabinetu w sąsiedniej miejscowości. Nie muszę dojeżdżać, a i stosunek do pacjenta jest inny. Kameralnie, miło, pani w recepcji wita mnie po imieniu. Bez tłumy i kolejki. Myślę, że coraz więcej ludzi to docenia.

Dr Maj wskazuje też inny aspekt tych migracji: małe miasta zaczynają odżywać. Tkanka społeczna się odbudowuje, gospodarka staje na nogi – bo ci młodzi, którzy wracają, a nie pracują zdalnie, muszą coś robić. Zatrudniają się więc w lokalnych restauracjach, biurach, usługach albo otwierają własne biznesy. Z dużego miasta przywieźli pewną

innowacyjność, energię, pomysły. I realizują je na miejscu. Analogicznie wygląda sytuacja z powrotem ludzi z emigracji z Zachodu – tam się dorabiali, uczyli, rozwijali, a teraz chcą ten kapitał spożytkować w Polsce. A przy okazji schować się w swojskości. – Z punktu widzenia i społecznego, i gospodarczego to moim zdaniem fajna zmiana – ocenia naukowiec.

– Na razie trudno przewidzieć, czy kiedy pandemia się skończy, ten trend się utrzyma czy załamię. Być może po zakończeniu kryzysu nastąpi

powrót młodych do dużych miast, zobaczymy – mówi dr Maj. I dodaje, by spróbować, póki ten proces trwa, odnaleźć się w nim, bo jest pozytywny z różnych powodów.

Wiele wskazuje, że przeprowadzki młodych Polaków z powrotem w rodzinne strony, które opuścili, wyjeżdżając na studia czy do pracy, mogą być trwałe. Bo wracający na nowo odkrywają swoje miasta, zakładają firmy i rodziny. A wtedy przeniesienie się i przyzwyczajenie do szybkiego życia w wielkim mieście jest trudniej.

Według dr. Konrada Maja pandemiczne powroty mają jeszcze jeden wymiar: kiedyś ludzie latali pod palmy, teraz wędrują po Roztoczu i zwiedzają Jurę Krakowsko-Częstochowską. – Dalekie podróże stały się trudniejsze niż wcześniej i wiążą się nie tylko z dodatkowymi formalnościami, ale i z dużym lękiem. Zadajemy sobie pytania: czy to bezpieczne? Co będzie, jeśli zachoruję z daleka od domu? – mówi psycholog, dodając, że zmianę widać w mediach społecznościowych. Coraz więcej pojawia się weekendowych fotorelacji z polskich krain i miast; przed pandemią ludzie wrzucali obrazki z Majorki i Gran Canarii, teraz są to zdjęcia z Bydgoszczy, Poznania czy Krakowa.

– Przechodzimy na poziom lokalny – podsumowuje dr Maj. – Kawiarnie, restauracje, parki zaczynają tam wypełniać się ludźmi. Z drugiej strony wielkie miasta się odkorkowują, co z kolei wpływa na polepszenie się jakości życia w nich.

Anna Stachowiak



FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę (FDDS)
od 13 lat prowadzi 116 111
– telefon zaufania dla dzieci i młodzieży.

W tym czasie konsultanci odebrali ponad
1,4 miliona połączeń z wołaniem o pomoc.

Fundacja ponownie nie otrzymała dofinansowania na prowadzenie telefonu.
Ministerstwo Zdrowia unieważniło konkurs, bez podania przyczyny.

Telefon 116 111 potrzebuje Twojej pomocy!
Wejdź na: wspierajtelefon.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Cukierek albo psikus

Wczasie obiadu pod Antosiem załamało się stare, przedwojenne krzesło z dawnego gabinetu mojego ojca. Wyłamały mu się przednie nogi. To na nim ojciec siedział przez kilkadziesiąt lat przy starym biurku, a siedząc na tym twardym i niewygodnym krześle, napisał wszystkie swoje książki. Pamiętam z dzieciństwa, jak popisywał się siłą i podnosił krzesło z podłogi za jedną nogę, by mi zaimponować. To krzesło teraz jakby uklekło na dwie nogi i umarło. Bardzo mnie to zasmuciło. Nasi bliscy po śmierci żyją też w przedmiotach; gdy one odchodzą, oni umierają powtórnie

Szczyt klimatyczny w Glasgow, wszystko, co ustalono bez Chin i Rosji, zdaje się niewystarczające. Jakiś czas temu zabrałem do szkoły Antosia mojego przyjaciela Krzysia z Kanady, emerytowanego nauczyciela szkół w Toronto, teraz podróżnika. Opowiadał uczniom o swoich podróżach. Mówił też o zmianach klimatu, lekceważąc problem, powiedział, że to bywa cykliczne i że nie powinniśmy popadać w przerażenie. Zatrwożyło mnie, że to powiedział, i zaprotestowałem. Jeżeli nie będziemy przerażeni, nic nie zwojujemy, nie ograniczymy wystarczająco emisji dwutlenku węgla. A teraz nie jesteśmy przerażeni, bo katastrofy powodowane przez zmiany klimatyczne nie mają jeszcze wymiaru apokaliptycznego. Gdy ich skala stanie się wielka, będzie już za późno, więc bez przerażenia teraz, nie damy rady zapobiec apokalipsie, gdyż nie będzie odpowiedniej mobilizacji i gotowości, by poświęcić wygodne życie dla przyszłych pokoleń. Ocieplenie klimatu jest nawet znacznie gorsze od PiS, trudno w to uwierzyć, ale tak jest.

W Sejmie odbyło się pierwsze czytanie obywatelskiego projektu ustawy, określanego przez jego autorów jako „Stop LGBT”. Przerażające, faszystowskie wystąpienia posłów PiS. I słowa wiceministra edukacji i nauki Tomasza Rzymkowskiego. „Niewątpliwie LGBT jest to ideologia podyktowana jakąś kolejną mutacją marksizmu, próbą konfliktowania na pewnym gruncie. (...) Marksizm w czystej postaci to była walka klas, nazizm to była walka ras, a tutaj mamy walkę na tle seksualnym”. Tak, wrogiem PiS i polskiego narodu jest seks, podobnie jak jest wrogiem fundamentalistów islamskich. Kompleks seksualny leży u źródeł myślenia polskiej prawicy, ale również Kościoła. Szaleństwo tkwi też w tym, że duchowni powszechnie molestują dzieci, a liczni cnotliwi prawnicy, jak podejrzewam, biegają w nocy do agencji towarzyskich.

W Halloween zawieźliśmy nasze dzieci do Marcysia, ich przyjaciela. Byli tam inni jego koledzy i poprzebierani chodzili po domach, wołając: „Cukierek albo psikus”. Wrócili bardzo z siebie zadowoleni, niosąc kilka toreb słodkich łupów. To święto, które przerabia smutek śmierci na zabawę, na żarty, na cukierki, już bardzo mocno zakorzeniło się w Polsce. Znajoma nauczycielka angielskiego z Siedlec pisze mi, że kiedy mówi dzieciom o tej irlandzkiej, brytyjskiej i amerykańskiej tradycji, dzieci wołają, że słyszały od księdza, że to czczenie szatana i że to święto pogańskie, ale aż płoną im oczy, by się w ten dzień też bawić. Kościół w tej walce nie ma żadnych szans. A dzieci przecież zbierają tylko cukierki, a nie pieniądze, jak to robią księża, chodząc po domach, więc nie jest to dla Kościoła konkurencja. Nie ma co się tak denerwować.

Festiwal poetycki w Sieradzu, jestem po raz pierwszy w tym mieście, 40-tysięcznym, więc średniej wielkości, raczej małym niż dużym. Niedawno rewitalizowany rynek został niestety zupełnie zamurowany. Ale i tak wygląda nieźle. Kilka imprez naraz w zabytkowym Teatrze

Ocieplenie klimatu jest nawet znacznie gorsze od PiS, trudno w to uwierzyć, ale tak jest.

Miejskim, ładna, duża sala, ale miasto nigdy nie miało swojego zespołu teatralnego. W budynku była kiedyś ujeżdżalnia ogierów pocztowych. Występy, turniej recytatorski dla dzieci, spektakle, zespół SUSZ z Suwałk śpiewa Leśmiana i Cwietajewą, turniej jednego wiersza dla dorosłych i mój występ autorski. Grupa poetów zjechała z całej Polski. Biorą udział w turnieju poetyckim. To ciekawe zjawisko, o którym nie wiedziałem, taka turystyka poetycka. Jest wiele małych imprez poetyckich w Polsce, jest gdzie jeździć. Poeci drugiej i trzeciej ligi, przepraszam za sportowe porównanie, spotykają się w domach kultury i w bibliotekach, wymieniają się tomikami jak znaczkami, biorą udział w konkursach, jest poza tym życie towarzyskie, jest poczucie przynależności do elitarnej grupy. Ale wiersze, które nagrodziliśmy, były dobre. Z Teatru Miejskiego przenieśliśmy się na jedzenie i picie do pobliskiej biblioteki. Jej zwiedzanie o północy. Poruszają mnie książki śpiące na regałach. W tej bibliotece śpi ich 150 tys. Miasto książek.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Dzień świstaka po słowacku

Sytuacja covidowa na Słowacji niebezpiecznie przypomina tę z zimy sprzed roku

Łukasz Grzesiczak

W czwartek 4 listopada słowackie ministerstwo zdrowia poinformowało o 6713 nowych potwierdzonych zakażeniach COVID-19. To najwyższy dzienny przyrost na Słowacji od początku pandemii. Resort zdrowia ogłosił, że kolejnych 116 zakażonych trafiło do szpitali, tego dnia w szpitalach z powodu koronawirusa przebywało 1890 pacjentów, z czego niemal 80% nie było w pełni zaszczepionych. 179 osób potrzebowało wsparcia respiratora. Niektóre szpitale, podobnie jak w Czechach, wstrzymały przyjmowanie pacjentów na planowane zabiegi. Zmarły kolejne 34 osoby, od początku pandemii na Słowacji covid ma na koncie 13 146 ofiar śmiertelnych.

Tyle liczby, które pewnie niewiele mówią bez porównania. W Polsce zatem, mającej niemal siedmiokrotnie więcej mieszkańców (Słowacja ma 5,44 mln obywateli), tego samego dnia odnotowano 15 515 nowych przypadków COVID-19. Te dane pokazują, że Słowacy testują skuteczniej lub sytuacja u nich jest o wiele bardziej dramatyczna. Za tą drugą hipotezą przemawiają inne dane. W Polsce w analogicznym czasie w szpitalach przebywało 8595 pacjentów covidowych, a pod respiratorami leżało 713 chorych. To zestawienie pokazuje, że sytuacja u naszych sąsiadów jest zdecydowanie trudniejsza, choć śmiertelność z powodu covidu na 100 tys. obywateli jest podobna.

Dane ze Słowacji przypominają sytuację sprzed roku. Różnica w tym, że teraz to szczepionki zastępują masowe testowanie, które miało być wówczas sposobem na zdławienie pandemii. Przynajmniej teoretycznie. Słowacja jest bowiem w ogonie państw UE, jeśli chodzi o szczepienia. Według oficjalnych danych Komisji Europejskiej z 4 listopada w pełni zaszczepionych jest na Słowacji 53,1%



Masowe testowanie miało być sposobem na zdławienie pandemii na Słowacji. Nz. punkt wykonywania testów w Bratysławie.

pełnoletnich mieszkańców. Gorzej jest tylko w Rumunii (39,6%) i Bułgarii (26,4%).

Déjà vu można odczuć, kiedy patrzy się także na sposób wprowadzania kolejnych obostrzeń. Administracyjnie Słowacja podzielona jest na 79 okresów, które możemy przyrównać do polskich powiatów. Obostrzenia zatem wprowadzane są na poziomie powiatów i różnią się

zagrożenia (czarna), gdzie sytuacja covidowa jest najtrudniejsza.

W strefie czarnej znajdują się 24 powiaty. Najgorzej jest na północy i wschodzie, niemal wszystkie powiaty graniczące z Polską i Ukrainą są czarne. Zwłaszcza w powiecie Stará Ľubovňa (w pobliżu Piwnicznej-Zdroju), gdzie na przełomie października i listopada co 77. mieszkaniec miał potwierdzony pozytywny test

Najgorzej jest na północy i wschodzie kraju, niemal wszystkie powiaty graniczące z Polską i Ukrainą są w czarnej strefie.

w zależności od sytuacji covidowej w każdym z nich.

Istnieją cztery poziomy obostrzeń, które obowiązują kolejno w strefie ostrzegawczej (pomarańczowa), pierwszego stopnia zagrożenia (czerwona), drugiego stopnia zagrożenia (bordowa) i trzeciego stopnia

na obecność koronawirusa. W 39 powiatach ogłoszono drugi (bordowy) stopień zagrożenia. Po osiem powiatów jest w strefie czerwonej i pomarańczowej. Najlepsza sytuacja epidemiczna (pomarańczowa strefa ostrzegawcza) jest w Bratysławie oraz w miejscowościach

Galanta, Šaľa i Komárno. Ta ostatnia, w większości zamieszkiwana przez Węgrów, znajduje się na słowacko-węgierskim pograniczu i wraz z węgierskim miastem Komárom stanowi podobnie jak Cieszyn i Český Těšín przykład dwumieścia, czyli organizmu, który w przeszłości został podzielony między dwa państwa z powodów politycznych.

2,5 mln zaszczepionych Słowaków jest szantażowanych przez tych, którzy zaszczepić się nie chcą.

Najsurowsze obostrzenia funkcjonują w strefie czarnej. By zrozumieć skalę problemu, należy pamiętać, że dotyczą one 30% wszystkich powiatów i poza jednym wyjątkiem spotkają się z nimi Polacy tuż po przekroczeniu polsko-słowackiej granicy. W strefie czarnej zamknięte są kluby fitness, aquaparki, restauracje serwują jedynie dania na wynos, a miejsca noclegowe są niedostępne dla turystów. Zakazane są także uroczystości weselne. Kościoły są otwarte, ale bp Marián Chovanec, który odpowiada za diecezję bańskobystrzycką (środkowa Słowacja), wydał dyspensę od obowiązku uczestnictwa wiernych w mszach w strefie czarnej. Jego decyzja obowiązuje wiernych od 3 listopada do odwołania. Dla wszystkich Słowaków w czarnej strefie w pomieszczeniach zamkniętych obowiązkowa jest maseczka FFP2 (podobnie jak w Czechach), na powietrzu wystarczy zwykła maseczka.

Te ograniczenia dotyczą wszystkich, także tych, którzy są w pełni zaszczepieni, przeszli covid, czy mają negatywny wynik testu na obecność koronawirusa. Takie rozwiązanie budzi sprzeciw wielu Słowaków. Protestuje branża turystyczna. Szef słowackiego Związku Ruchu Turystycznego Marek Harbulák zwraca uwagę, że 2,5 mln zaszczepionych Słowaków jest szantażowanych przez tych, którzy zaszczepić się nie chcą. Jego zdaniem ograniczenia dla zaszczepionych w strefie czarnej to strzał w kolano, osoby zaszczepione wybiorą bowiem ośrodki narciarskie i świąteczny wypoczynek poza Słowacją, na czym stracą słowaccy przedsiębiorcy i pracownicy.

Dyskusja na ten temat toczy się w rządzie. Słowacki minister zdrowia

Vladimír Lengvarský wydaje się zwolennikiem różnicowania obostrzeń w strefie czarnej dla osób zaszczepionych i reszty. Podobnego zdania jest premier Eduard Heger. Jednak rząd jest między młotem a kowadłem. Z jednej strony, musi wskazać konkretne korzyści dla zaszczepionych, które mogłyby zachęcić kolejnych Słowaków do szczepień. Z drugiej,

na Słowacji daleko do odporności populacyjnej, sytuacja covidowa jest poważna, dlatego rządzący są bardzo ostrożni. Boją się także popularyzacji i w Polsce zarzutów „segregacji sanitarnej”. To o tyle dziwne, że w przypadku stref pomarańczowej, czerwonej i bordowej takie różniczenia między zaszczepionymi a niezaszczepionymi istnieją. Słowacy co tydzień publikują informacje, do jakiej strefy należy dany powiat, dlatego przed wyjazdem warto sprawdzić aktualne dane na oficjalnej stronie słowackiego resortu zdrowia: www.health.gov.sk.

Polacy, którzy myślą o nartach na Słowacji (o ile stoki zostaną w ogóle otwarte) lub o słynącym z pieczonych kasztanów bożonarodzeniowym jarmarku w Bratysławie, muszą

Polacy zaszczepieni przeciw COVID-19 wjeżdżają na Słowację bez problemów.

pamiętać, że obowiązują nowe zasady wjazdu na Słowację dla obywateli Polski. Nasze MSZ informuje, że wszystkie polsko-słowackie przejścia graniczne są otwarte, ale Słowacy wprowadzili wzmożone kontrole, które mogą powodować utrudnienia w płynnym przekraczaniu granicy. Wszyscy Polacy powyżej 12. roku życia wjeżdżający na Słowację muszą, podobnie jak np. w Czechach, wypełnić przed wjazdem specjalny internetowy formularz identyfikacyjny eHranica (można go znaleźć również w języku angielskim na: korona.gov.sk/ehranica/). Na Słowacji niezbędne będzie potwierdzenie dokonania rejestracji.

Osoby, które przybędą samolotem, rejestrują się na stronie www.mindop.sk/covid/ (nie dotyczy osób przylatujących do Bratysławy, Popradu i Koszyc, które stamtąd udają się bezpośrednio do domów poza Słowacją). Warto pamiętać, że Bratysława leży tuż przy granicy z Austrią, a wielu Słowaków mieszka po austriackiej stronie, gdzie nieruchomości bywają tańsze niż w słowackiej stolicy.

Zaszczepieni przeciw COVID-19 Polacy wjeżdżają na Słowację bez żadnych problemów. W tym przypadku Słowacy za zaszczepione uznają osoby, które przyjęły drugą dawkę szczepionki przynajmniej 14 dni przed przyjazdem lub szczepionkę jednodawkową, o ile od szczepienia minęły minimum trzy tygodnie. Warto mieć też na uwadze, że Słowacy za zaszczepione uznają osoby, które przyjęły pierwszą dawkę dwudawkowej szczepionki, a więc w realiach wielu państw nie są w pełni zaszczepione, pod warunkiem że od szczepienia minęły przynajmniej dwa tygodnie, a samo szczepienie miało miejsce w okresie do pół roku od przejścia covidu.

Wyjątki od tej zasady są nieliczne i dotyczą m.in. kierowców zawodowych czy maszynistów, a w przypadku pracowników transgranicznych, uczniów i studentów wystarczy okazanie negatywnego

testu na obecność koronawirusa nie starszego niż siedem dni. Pozostali podlegają dziesięciodniowej kwarantannie w domu lub w hotelu. Można je skrócić po okazaniu negatywnego wyniku testu PCR, który należy wykonać nie wcześniej niż piątego dnia kwarantanny.

Natomiast Polacy, którzy przejeżdżają przez Słowację tranzytem do innego kraju Unii Europejskiej, nie muszą być zaszczepieni ani mieć negatywnego testu, o ile przebywają na Słowacji nie dłużej niż osiem godzin, zatrzymują się jedynie na stacjach benzynowych i podróżują po wyznaczonych trasach.

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

Jakub Dymek

Dziennikarze, eksperci, sygnalistki mówili o tym od lat. Niekontrolowany wzrost potęgi platform cyfrowych w końcu zagrozi demokracji. A gdy to zagrożenie stanie się już widoczne dla wszystkich, najprawdopodobniej będzie za późno. Cyfrowi giganci, podobnie jak banki i fundusze inwestycyjne w czasie kryzysu z 2008 r., okażą się *too big to fail* – zbyt duże, by pozwolić im upaść. Tak się stało. Nie brakuje dziś polityków, którzy bardzo by chcieli ukarać internetowych oligopolistów za kłamstwa i nadużycia. Ale zasięg i wpływ tych platform są tak wielkie, że nie sposób wprowadzić jakiegokolwiek politycznej regulacji internetu, która nie tworzyłaby zagrożeń dla dobra wspólnego czy swobód obywatelskich. Biznes cyfrowych gigantów tak bardzo zrósł się z naszym codziennym życiem, że coraz trudniej wyobrazić sobie inny internet. Choć wiemy, że ten, który urządził nam giganci z Doliny Krzemowej, działa źle i sprzeniewierza się właściwie wszystkim ideałom wolnej, otwartej i wspierającej indywidualną twórczość sieci.

Rzeka skandali

Inżynier danych Frances Haugen ujawniła się 3 października 2021 r., wcześniej przez dwa lata pracowała w dziale Facebooka zajmującym się monitorowaniem dezinformacji. Odkryła, że firma Marka Zuckerberga ma dużo większą wiedzę o problemach, jakie stwarza, niż przyznaje się do tego publicznie. Od dobrych kilku lat wiemy, że decyzje podejmowane przez olbrzymie platformy cyfrowe mają wpływ na nasze życie publiczne: polaryzację polityczną, wiarę w szczepienia i zaufanie do instytucji, a nawet kondycję psychiczną całych społeczeństw.

Sam Facebook wiedział to już lata temu, bo przeprowadził na swoich użytkownikach – odtóżmy na bok etykę takich działań – eksperyment. Okazało się, że ci, którzy wystawieni są na więcej negatywnych i agresywnych treści, sami wlewają do sieci więcej agresji. I odwrotnie. Konkluzje nie były może rewolucyjne w świecie behawiorystyki czy psychologii społecznej, ale tym bardziej zasadne było pytanie: skoro wiedzieli, że tak może

Algorytmy nienawiści

Demokracja przegrywa z potęgą cyfrowych monopolii takich jak Facebook

być, dlaczego przez całe lata nie usunęli z platformy bodźców zachęcających do toksycznych i agresywnych postaw?

Haugen zebrała tysiące stron wewnętrznych notatek, prezentacji i korespondencji pracowników Facebooka, które potwierdzały intuicje i tezy największych krytyków firmy. Najpierw anonimowo przekazała je redakcji dziennika „Wall Street Journal” oraz amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Dokumenty trafiły też do konsorcjum dziennikarzy i redakcji kilkunastu tytułów, by mogli na ich podstawie opracować własne teksty i śledztwa. Potem Haugen – już pod nazwiskiem – wystąpiła w amerykańskim Kongresie i ruszyła do Europy. Czego się dowiedzieliśmy? I czy w ogóle czegoś nowego?

Coś tu nie gra

Facebook – według śledztw opartych na dokumentach Haugen – wiedział o szkodliwości swoich usług dla nastolatków skarżących się na depresję czy problemy z samooceną, ale coraz agresywniej szukał sposobów na poszerzenie swojej bazy użytkowników o najmłodszych. Celebryci i osoby publiczne cieszyli się przywilejami, które pozwalały im na szerzenie dezinformacji i łamanie regulaminu bez konsekwencji, które dotknęłyby zwykłych użytkowników. Firma – choć cieszy się opinią liberalnej i postępowej – nagminnie przekrawała swoją politykę i regulaminy działania pod Trumpa i amerykańską pravicę. Platforma nie nadąża z ograniczeniem wpływu fałszywych i sprzecznych ze stanem wiedzy naukowej teorii antyszczepionkowych i doniesień o COVID-19. Zdecydowana większość wysiłków Facebooka związanych z ograniczeniem mowy nienawiści skupia się na USA



– a reszta świata, w tym kraje, gdzie przemoc polityczna jest na porządku dziennym, na liście priorytetów firmy z Doliny Krzemowej zajmuje dalekie miejsca.

Mało? Jest więcej. Ale Facebook przez swoich rzeczników i ustami założyciela, Marka Zuckerberga, zaprzecza oskarżeniom: „U podstaw wszystkich tych zarzutów leży przekonanie, że przedkładamy zyski nad bezpieczeństwo i samopoczucie naszych użytkowników. To po prostu

nie jest prawda". Firma potrzebowała trzech dób na reakcję na wystąpienia Haugen, również dlatego, że wskutek awarii serwerów wszystkie należące do Facebooka usługi zwyczajnie padły na kilka godzin.

Pośród licznych doniesień prasy na temat globalnych konsekwencji uzależnienia od Facebooka pojawia się – i to nie na marginesie! – bliski nam wątek.

Halo, Dolina Krzemowa, mamy problem

W tekstach, najpierw w „Wall Street Journal”, a potem w „Washington Post”, jest mowa o tym, że politycy z pewnego europejskiego kraju zwracali uwagę badaczom pracującym dla Facebooka na destrukcyjny wpływ algorytmów na debatę publiczną. Zmiana

zaszkodziło to ich komunikacji z wyborcami. Z wyjątkiem przedstawiciela Konfederacji. Paradoksalnie jednak to właśnie dyrektor biura prasowego Konfederacji Tomasz Grabarczyk nazywa problem po imieniu: „algorytm nienawiści”. Przy czym nie ukrywa przed dziennikarzami, że jego partia umiejętnie wpisuje się w narzucone zasady gry.

To, co ujawniają dokumenty i śledztwo dziennikarzy, nie jest zaskoczeniem dla nikogo, kto obserwuje polską debatę publiczną. Nawalanka i prześciganie się w pustych oskarżeniach oraz pompowanie balonu oburzenia jest w naszym życiu publicznym codziennością. Podobnie jak nie są zaskoczeniem doniesienia o wpływie algorytmu na radykalizację czy zdrowie psychiczne, które wypływają ze śledztw „Facebook Papers” i „Facebook Files”. Różnica polega

W ciągu zaledwie kilku lat od momentu, w którym platformy społecznościowe pożarły naszą debatę publiczną, doszło do brexitu, wygranej Trumpa, zalewu sponsorowanej przez wrogów Zachodu propagandy i skoordynowanych kampanii dezinformacyjnych, a zaufanie do demokracji czy nauki niebezpiecznie spadło. W trakcie globalnej pandemii tryumfy święcą teorie spiskowe, a skrzyknięci na platformach społecznościowych demonstranci nieuznający wyniku amerykańskich wyborów wdarli się na waszyngtoński Kapitol. Spór o to, czy i jak bardzo należy za to winić konkretnie Facebook, Twitter czy YouTube, jest jak najbardziej na miejscu. Jedni mogą uważać, że to wyłącznie wina cyfrowych korporacji, drudzy zaś mogą podkreślać, że demokracje mają swoje problemy i wszystkie te zjawiska to tylko symptom głębszego kryzysu.

Ale wiemy też dobrze, że te firmy kłamią. Przy każdej okazji umywają ręce, pozorują skruchę, obiecują poprawę – i niewiele z tym robią. Politycy, którzy chcieliby jednak uregulować platformy cyfrowe, są w kłinczu. Sami na nich polegają, sami często biorą od nich pieniądze, sami nie wyobrażają sobie, jak świat miałby wyglądać bez np. Facebooka. „Jeśli twoja firma jest tak wielka, że nie może podjąć żadnych decyzji, a każda zmiana, jakiej się podejmiesz, zagraża dobru wspólnemu, to znaczy, że twoja firma jest po prostu zbyt wielka”, mówił profesor ekonomii i ekspert od gospodarki cyfrowej Scott Galloway. Ten błyskotliwy bon mot oczywiście się sprawdza. Tylko co zrobić z tą wiedzą? Jeśli nie rozbijemy cyfrowego oligopolu teraz, nie stanie się to być może nigdy.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Użytkownicy wystawieni na więcej negatywnych i agresywnych treści sami wlewają do sieci więcej agresji.

algorytmu w 2018 r., która miała doprowadzić do tego, że dyskusja na Facebooku będzie mniej toksyczna i upolityczniona, wywołała dokładnie odwrotne skutki. Mowa o naszym kraju. „W Polsce rozgorzała społeczna wojna domowa, bo Facebook promował internetowy gniew”, głosił tytuł artykułu opublikowanego przez „Washington Post” 27 października.

Autor cytuje osoby związane z Platformą Obywatelską, Razem czy Konfederacją. Wszystkie mówią mniej więcej to samo. Algorytm, który wynagradzał treści budzące większe emocje (i zachęcał ludzi do klikania w ikonki „gniewu” czy „szoku”), doprowadził do sytuacji, w której najlepszym rozwiązaniem dla partii było nieustanne atakowanie innych i wzbudzanie w swoich wyborcach i sympatykach wściekłości czy oburzenia. Wcześniej – twierdzą cytowane przez „Washington Post” osoby związane z tymi ugrupowaniami – można było prowadzić skutecznie profil partii, mieszając treści pozytywne i negatywne mniej więcej po równo. Po zmianie algorytmu trzeba było „dorzucać do pieca” coraz więcej hejtu. Osoby wypowiadające się w imieniu partii twierdzą, że

na tym, że teraz mamy nie tylko intuicję, ale i dowody na to, że wszystkie te negatywne tendencje były zapisane w kodzie. I że wiele bólczek naszych społeczeństw naprawdę da się prześledzić wstecz do decyzji programistów z Doliny Krzemowej.

Fasada demokracji

Polaryzacja polityczna to tylko jeden z problemów, które dla demokracji liberalnej stworzył internetowy oligopol kilku korporacji. Ale trudno klócić się z tym, że wolne i demokratyczne społeczeństwo nie może funkcjonować bez fundamentów w postaci sfery publicznej, elementarnej wiary w naukę, wolnego przepływu informacji czy zdolności władzy do rozumienia i nadzorowania (przez swoich demokratycznie wybranych przedstawicieli) procesów rynkowych. Media społecznościowe podmyły te fundamenty w każdej z powyższych dziedzin. Społeczeństwo, w którym istnieją osobne prawdy i bańki informacyjne, a prywatne firmy mogą według własnych zasad udzielać prawa głosu politykom lub im je odbierać, może być demokratyczne z nazwy, ale nie w praktyce. To fasada.



Mateusz Mazzini

Szczyt niczego

Politycy w czasie COP26 złożyli sporo nowych obietnic – i odbili się od starych podziałów

O klimacie wciąż nie jest łatwo rozmawiać, może dlatego, że temat ten jak w soczewce skupia w sobie prawie wszystkie płaszczyzny politycznych nierówności, frustracji, niezadowolenia. W dyskusji o wyzzeniach, które w celu wspólnej walki z katastrofą klimatyczną muszą ponieść zwłaszcza kraje słabiej rozwinięte, odbijają się echa kolonialnej opresji, neoliberalnego imperializmu, przewagi bogatej Północy nad ubogim globalnym Południem. Nawet jeśli został osiągnięty konsensus co do ogólnego kierunku, w którym podążać ma międzynarodowa społeczność, wciąż brakuje go co do szczegółów planu, jak tę drogę pokonać. Zależność ta czasem wygląda wręcz na odwrotnie proporcjonalną – im bardziej zgadzamy się co do tego, że coś z katastrofą klimatyczną trzeba zrobić, wspólnie i jak najszybciej, tym bardziej różnimy się w tym, co, kto i kiedy zrobić ma konkretnie.

Pod tym akurat względem polityczna część szczytu klimatycznego COP26 w Glasgow niespecjalnie różniła się od poprzednich edycji. Owszem, tym razem nigdzie na horyzoncie zdarzeń nie majaczył Donald Trump, a jego miejsce zajęła najbardziej proekologiczna w historii

klimatyczną zagładą, ale bez niej też nie uda się tego zrobić.

Podobnie ma się sprawa z innymi supermocarstwami: tymi starymi i dopiero wchodzącymi w okres szczytowego wzrostu. Na początku więc *show* skradł premier Indii Narendra Modi, najważniejszy populistyczny lider na planecie, który zapowiedział, że jego kraj jest gotów przejść na gospodarkę w całości zeroemisyjną. To kolejny duży krok naprzód, choć znowu z punktu widzenia sytuacji planetarnej kompletnie niewystarczający. Bo o ile sam fakt, że Indie – kraj, który według prognoz demograficznych ONZ już w 2027 r. będzie najliczniejszy na świecie – deklarują odejście od węgla w swoim miksie energetycznym, jest ważny na poziomie retorycznym, to już ramy czasowe zaproponowane przez Modiego specjalnej nadziei nie dają. Chce on wejść na poziom zerowych emisji do 2070 r., a do tego czasu Indie będą praktycznie

od punktu siedzenia. Dla jednych to znak, że nawet twardogłowy populiści, regularnie gardłujący o wyrównywaniu szans po kolonializmie i suwerenności energetycznej jego kraju, jest w stanie zmienić nastawienie do klimatu. Dla drugich – ostateczny dowód, że walka z globalnym ociepleniem skazana jest na porażkę, skoro jeden z największych trucicieli zamierza porzucić złe nawyki energetyczne dopiero za pół wieku.

Nie inaczej było zresztą z Chinami. Bo o ile Indie to problem przyszłości, o tyle Chiny są nim już dziś. I niespecjalnie tym się przejmują, czego najlepszym dowodem jest fakt, że Xi Jinping do Glasgow się nie pofatygował. Swoje komentarze przesłał na piśmie, chociaż z punktu widzenia decyzyjności szczytu mógł tego w ogóle nie robić. W jego przemówieniu pełno było okrągłych formułek o „potrzebie zrównoważenia wzrostu gospodarczego z dbaniem o środowisko naturalne” i „sprawiedliwszym podziale obowiązków pomiędzy krajami rozwiniętymi i rozwijającymi się”. O swojej gospodarce nie wspominał ani słowem. Nie złożył żadnych nowych deklaracji, nie podał konkretnych liczb ani dat. Utrzymał za to stare – że emisje w Chinach będą rosły tylko do 2030 r., potem zaczną spadać, aż dojdą do zera w 2060 r. Na ostodę dorzucił udział Chin w bodaj najbardziej spektakularnym osiągnięciu politycznej części szczytu, czyli deklaracji powstrzymania wylesiania na świecie do 2030 r. Podpisał ją tak jak ponad 110 liderów innych państw, łącznie odpowiadających za 85% globalnych obszarów leśnych. Zobowiązali się, że do końca bieżącej dekady zatrzymają wycinkę lasów, zwłaszcza nielegalną. Podejmą też wysiłki w celu regeneracji obszarów, które już zostały pozbawione drzew. I choć lista sygnatariuszy wygląda imponująco, to znów popadać w hurraoptymizm wcale nie można.

Walka z globalnym ociepleniem jest skazana na porażkę, skoro jeden z największych trucicieli zamierza porzucić złe nawyki energetyczne dopiero za pół wieku.

delegacja Stanów Zjednoczonych, ale – wbrew nadziejom licznych komentatorów – wielkiego przełomu to nie przyniosło. Joe Biden stanął nawet na scenie i przeprosił świat za działania swojego poprzednika (a raczej brak takowych), co w dziejach amerykańskich sztafet prezydenckich nie zdarza się często, ale globalnych wysiłków w kwestii zatrzymania zmian klimatycznych nie pchnęło to specjalnie do przodu. Co oczywiście nie znaczy, że postawę Bidena i Johna Kerry'ego, specjalnego wystannika amerykańskiego rządu ds. klimatu, należy deprecjonować. Wręcz przeciwnie. Ameryka sama nie uratuje świata przed

na ciągłym kursie wzrostowym. Zarówno jeśli chodzi o populację, jak i w rozwoju gospodarczym. Nieustannie będzie zatem rosnąć zapotrzebowanie na energię, któremu odnawialne źródła mogą nie podołać. A na pewno nie zrobią tego przy obecnym tempie zmian. Indie odpowiedzialne są dzisiaj za produkcję 7% dwutlenku węgla emitowanego rocznie do atmosfery. Ponad 80% miksu energetycznego kraju to wciąż paliwa kopalne, a udział węgla w ostatnich latach tylko w nim rósł – z 40% w 2010 r. do 44% w roku 2020. Ocenia deklaracji Modiego przebiega więc w myśl dobrze znanego powiedzenia, że punkt widzenia zależy



Nie są kompletnie bezpodstawne głosy, które mówią, że światu tego szczytu można było oszczędzić.

Jest w tym gronie również Jair Bolsonaro, obecnie bodaj największy na świecie wróg środowiska naturalnego wśród globalnych przywódców. Zrobił to jednak zdecydowanie z koniunkturalnych pobudek politycznych. W przyszłym roku będzie się ubiegał o reelekcję, od miesięcy jego notowania sondażowe stale spadają, w dodatku senat jego własnego kraju chce go sądzić za „masowe morderstwo” tysięcy Brazylijczyków, którzy zdaniem śledczych zmarli z powodu rządowych zaniechań w strategii pandemicznej. Bez politycznego patrona w postaci Trumpa Bolsonaro nie za bardzo miał wybór – aż tak silny nie jest, żeby być jedynym ważnym graczem, który deklaracji antywycinkowej nie podpisze. Niestety, słowa raczej nie dotrzyma, bo po zredukowaniu niemal do zera budżetu ministerstwa środowiska, rozdawaniu na lewo i prawo koncernom wydobywczym czy meblarskim koncesji na wycinkę i nieprzestrzeganiu ustanowionych przez niego samego limitów wycinki trudno się spodziewać, że nagle obudziło się w nim sumienie i będzie dbał o Amazonię.

Im kraj mniejszy, tym zresztą sceptycyzm większy – to kolejny refren COP26. Wielcy gracze wydają się bardzo zadowoleni ze swoich deklaracji. W tym samym czasie drobne

państwka, zwłaszcza te położone na wyspach, które oceany mogą przykryć nawet w ciągu najbliższej dekady, narzekają, że dość już gadania, czas na działanie. W takim duchu wypowiadali się przywódcy Panamy, Mauritiusa, Seszeli, Trynidadu i Tobago oraz wielu innych krajów. Dobrego humoru wielkim absolutnie to nie zepsuło, co najlepiej zilustrował Boris Johnson, formalnie gospodarz szczytu. Mimo że impreza odbywa się na terytorium jego kraju, przyleciał na nią samolotem. Za co, i słusznie, spotkała go fala krytyki. Johnson oczywiście niespecjalnie się nią przejął, próbował sprzedawać narrację o tym, że jego samolot napędzany jest ekologicznym paliwem, że ślad węglowy wcale nie będzie taki duży. Ci, co chcieli uwierzyć, uwierzyli. A że było ich mało, to dla Johnsona problem niewielki.

W mławie tło globalnych przywódców parafrazujących samych siebie sprzed lat nieźle wpisał się polski premier – głównie dlatego, że zrobił to samo co inni. Do Glasgow przybył powiedzieć to, co rząd Prawa i Sprawiedliwości mówi od lat: że klimat klimatem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie. Podkreślał, że Polska zgadza się z międzynarodowym konsensusem politycznym i naukowym, ale nie może ponosić takich samych kosztów wdrażania

go jak inne kraje. Mówił, że skoro Szwecja czy Francja są lepiej rozwinięte i bardziej zaawansowane w odchodzeniu od paliw kopalnych, powinny wspomóc takie kraje jak nasz. I to bezwarunkowo, a nie za pomocą „szantażu”, za którym stoi Unia Europejska. Czyli, krótko mówiąc, premier zażądał, by zagranica płaciła za polskie działania, a zwłaszcza ich konsekwencje.

Podsumowując, na COP26 nie zaskoczył nikt. Nawet Greta Thunberg, która w trakcie szczytu wyszła do protestujących aktywistów klimatycznych i dała do zrozumienia, że politycy nie biorą klimatycznego problemu na poważnie, że tylko udają, pozorują zaangażowanie. Ona przynajmniej zainteresowała fotoreporterów nową fryzurą. O politykach nawet tego nie dało się powiedzieć.

Do Glasgow zleciał się prawie cały świat w swoim najbardziej prestiżowym politycznie wydaniu – głównie po to, żeby powiedzieć to samo, co mówił od lat, i wylecieć. Nie są więc bezpodstawne głosy, że światu tego szczytu można było oszczędzić. Niewiele on na razie dał poza zwiększonym ruchem lotniczym nad Szkocją. Słabo jak na imprezę, której motywem przewodnim było dążenie do całkowitej zeroemisyjności na naszej planecie.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

**Nowy numer tygodnika „NIE”:
Jaka będzie Polska
rządzona przez koalicję
PiS-u z narodowcami.**



Grynszpan, Goebbels i Bonnet

Według kalkulacji Goebbelsa wsparciem hitlerowskich Niemiec miał się stać francuski minister spraw zagranicznych



Minister Georges Bonnet (z prawej) z marszałkiem Philippe'em Pétainem.

Eugeniusz Guz

Najpierw krótkie *who is who*, bo nie tylko młodzi, lecz i starsze pokolenie może mieć kłopoty z Herszelem Grynszpanem. Nie pamiętano o nim ani w sześciotomowej Encyklopedii PWN, ani w 30-tomowej Wielkiej encyklopedii PWN. Śladu tego nazwiska nie ma również w 30-tomowej polskiej edycji Encyklopedii Britannica. A przecież to jego, 17-letniego polskiego Żyda, śmiertelne strzały do niemieckiego dyplomaty Ernsta vom Ratha, oddane 7 listopada 1938 r. w Paryżu, rozpętały 9 listopada przy goebbelsowskiej reżyserii pogromy antyżydowskie w Trzeciej Rzeszy.

Bilans pogromów na dzień 11 listopada, według obliczeń szefa Służby Bezpieczeństwa Rzeszy Reinharda Heydricha, to zdemolowanie 815 sklepów, podpalenie bądź zniszczenie 29 domów towarowych, 171 budynków mieszkalnych, podpalenie 119 i zdemolowanie 76 synagog. Podpalono też 11 świetlic żydowskich i kaplic cmentarnych. Efekt nocy kryształowej i dni następnych to także 36 zabitych i tyłuż ciężko rannych (niektóre źródła żydowskie wymieniają 91 osób zmasakrowanych śmiertelnie). Aresztowano ok. 20 tys. Żydów, z czego większość trafiła do obozu koncentracyjnego. Na żydowskich Niemców nałożono również obowiązek zebrania 1 mld marek, płatnych w czterech ratach do 15 sierpnia 1939 r. Kwotą obciążono wszystkich Żydów, których



majątek szacowano na 5 tys. marek. Ponieważ Żydzi nie wywiązali się z tej kontrybucji w terminie, karę podwyższono o 25%, inkasując w końcu 1,127 mld. Państwo zarekwirowało także 225 mln marek, które towarzystwa ubezpieczeniowe winne były właścicielom zdemolowanych sklepów.

Grynszpan spadł nazistom jak z nieba, stwarzając doskonały pretekst do brutalnej kampanii antyżydowskiej. Swój czyn motywował chęcią zemsty za upokorzenia, jakich doznała jego rodzina, deportowana

Dokonany przez Herszela Grynszpana zamach na niemieckiego dyplomata Ernsta vom Ratha rozpętał pogromy antyżydowskie w Trzeciej Rzeszy.

z Hanoweru w 1938 r. wraz z ok. 12 tys. polskich Żydów do Zbąszynia.

Nie on jednak, lecz ówczesny francuski minister spraw zagranicznych Georges Bonnet, współdecydujący o wypowiedzeniu Niemcom 3 września 1939 r. wojny, miał się stać według kalkulacji Goebbelsa wsparciem hitlerowskich Niemiec. Dowód tego znalazłem w 20-tomowych intymnych dziennikach Goebbelsa. Wywiad niemiecki, po zajęciu przez Wehrmacht Francji, wytropił w archiwach francuskich kompromitujące Bonneta materiały, których treści Goebbels nie podaje. Grynszpan znalazł się w rękach niemieckiej żandarmerii wojskowej już 18 lipca 1940 r., lecz dopiero 4 lutego 1942 r., a więc po upływie przeszło półtora roku, ujawniono ten fakt niemieckiej opinii publicznej. Przygotowywano bowiem znacznie szersze tło procesu.

Tu zaczyna się nieznana dotychczas sensacyjna sprawa z Bonnetem. Oddajmy głos notatkom Goebbelsa.

„15.11.1941: W Berlinie odbyć ma się wkrótce proces Grynszpana. Diewerge poczynił w tym kierunku

daleko idące przygotowania. Proces ma zostać powiększony do poziomu generalnego aktu oskarżenia przeciwko żydostwu. Były francuski minister spraw zagranicznych Bonnet wyraził gotowość wystąpienia w tym procesie jako świadek i podjęcia bardzo daleko idącego oskarżenia przeciwko międzynarodowemu żydostwu. Przede wszystkim w tym sensie, że żydostwo kategorycznie domagało się od rządu francuskiego wypowiedzenia wojny [Niemcom]. Tego rodzaju deklaracja bardzo nam się przyda. Jeszcze raz konsultuję się z Führerem w sprawie procesu, lecz sądzę, że należy go przekształcić w *politicum* najwyższego stopnia”.

Z uzyskanymi od niemieckich władz bezpieczeństwa dokumentami kompromitującymi Bonneta Goebbels wysłał bowiem do Paryża swojego najbliższego współpracownika, Wolfganga Diewergego, radcę rządowego, SS-Oberführera, wcześniej zastępcę szefa gdańskiej filii Ministerstwa Propagandy Rzeszy, później autora propagandowej książki o sprawie Grynshpana „Zamach przeciwko pokojowi”.

Bonnet uznał Polskę za bezwartościową alternatywę, aktywnie starając się zniechęcić Francję do wypełnienia zobowiązań traktatowych wobec Warszawy.

„13.02.1942: Diewerge wraca z Paryża i szczegółowo referuje mi staną tam sytuację. Rozmawiał z Bonnetem, który gotów jest zeznać przeciwko Żydowi Grynshpanowi w oczekiwaniu wkrótce procesie. Bonnet gotów jest oświadczyć, że był przeciwny wypowiedzeniu Niemcom wojny, lecz rząd francuski został w pewnym sensie poddany przez żydostwo takiemu naciskowi, iż nie był w stanie uniknąć deklaracji wojennej. Chociażby na tym przykładzie można sobie uprzytomnić, jak lekkomyślnie doszło do wybuchu wojny i jak surowo należy ukarać tych, którzy poddali się takiej lekkomyślności”.

Tymczasem Grynshpan, przywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, miał tam status więźnia na prawach specjalnych. Korzystał z licznych udogodnień, nie nosił obozowych łachów, mógł swobodnie się poruszać po terenie

obozu. Nie izolowano go od otoczenia, nie był szykanowany ani bity. W międzyczasie przygotowania do procesu pokomplikowały się, lecz nie z powodu Bonneta. W efekcie Goebbels notuje:

„14.05.1942: Po rozmowie z Ribbentropem odraczamy proces Grynshpana do najbliższej jesieni. Obecnie nie leży w interesie niemieckiej polityki zagranicznej szczególnie silne eksponowanie byłego francuskiego ministra spraw zagranicznych”.

Jeżeli kogoś zaszokowało, że Bonnet uległ tak szybko presji Goebbelsa, w znacznym stopniu wyjaśnienie daje książka brytyjskiego historyka Rogera Moorhouse’a „Polska 1939. Pierwsi przeciwko Hitlerowi” (Znak Horyzont 2019). Oto niektóre opinie Moorhouse’a:

„Chociaż rząd Francji tydzień wcześniej zobowiązał się do wypełnienia zobowiązań sojuszniczych wobec Polski, znaleźli się tacy, którzy nie byli skłonni rzucić wyzwania Niemcom dla zasady; co ważne, należał do nich minister spraw zagranicznych Georges Bonnet.

Francuzi – przede wszystkim Bonnet – desperacko szukali rozwiązania innego niż wojna. (...) Podczas gdy Gamelin miał wpływ na stanowisko wojskowych, najważniejszym czynnikiem politycznym opóźniającym działania był głos ministra spraw zagranicznych w rządzie Daladiera, Georges’a Bonneta. (...) Bonnet uznał Polskę za bezwartościową alternatywę, aktywnie starając się zniechęcić Francję do wypełnienia zobowiązań traktatowych wobec Warszawy. (...) Jako przywódca »stronnictwa pokoju« to właśnie Bonnet był w największym stopniu odpowiedzialny za odwołanie Daladiera od wojny oraz za wynikające z tego francuskie uniki”.

Sądzę, że we francuskiej świadomości historycznej zgoda Bonneta na wsparcie hitlerowskiego procesu jest nieznana bądź została przemilczana. ■

KSIAŻKI

Andrzej Nowak-Arczewski
Przykosa
Znak Horyzont, Kraków 2021

„Reder” jest bohaterem konspiracji, żołnierzem Armii Krajowej, prawą ręką wybitnych dowódców. Po wojnie wspiera działania mające upamiętnić czynny kolegów z partyzantki. „Komar” jest agentem i zdrajcą, współpracuje z Sowietami i Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego PRL. Żyje z wyrokiem śmierci od AK i umiera, unikając zdemaskowania.

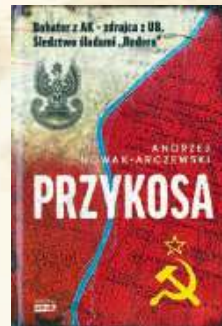
„Reder” i „Komar” to jedna osoba – Dionizy Mędrzycki. Wiele razy pisze własną biografię, zmienia fronty, przeinacza fakty, zdradza przyjaciół, oszukuje nawet swoich bliskich. Wszystko zaczyna się listopadowego dnia 1944 r., gdy Dionizy przepływa Wisłę, by dostać się na radziecką stronę.

Znakomicie napisany reportaż to studium bohaterstwa i zdrady zamkniętych w losach pojedynczego człowieka. Stanowi ważny głos w narracji historycznej, ukazując niezwykle skomplikowaną sytuację Polaków, którym przyszło żyć w czasach okupacji i za żelazną kurtyną.

Irene Gut Opdyke, Jennifer Armstrong
Ratowałam od Zagłady
Wspomnienia
przeł. Maria Makuch
Poradnia K, Warszawa 2021

W chwili wybuchu wojny Irena Gutówna ma 17 lat. Gdy rozpoczyna się likwidacja getta, ukrywa Żydów w piwnicy domu nazistowskiego majora, u którego jest gospodynią. Jej wspomnie-

nia to opowieść o poświęceniu i świadectwo odwagi kobiety, która nie zawahała się przed niczym dla ratowania ludzkiego życia.



Zdekomunizowany profesor

Romuald Cebertowicz, światowej sławy naukowiec, nie zasługuje, by być patronem?

Jakub Woroncow

Zespół Szkół nr 1 w Głownie stracił swojego patrona. Prof. Romuald Adam Cebertowicz został bowiem uznany przez Instytut Pamięci Narodowej za symbol ustroju totalitarnego, a opartą na IPN-owskiej ekspertyzie decyzję wojewody podtrzymał Naczelny Sąd Administracyjny.

Uczeń, żołnierz, student

Romuald Cebertowicz był rodowitym głoŹnianinem, urodził się w 1897 r. w rodzinie naczelnika poczty i prezesa miejscowej straży pożarnej. Gdy w styczniu 1905 r. wybuchł strajk szkolny, którego uczestnicy domagali się bezpłatnego dostępu do edukacji, zniesienia dozoru policyjnego nad szkołami i wprowadzenia języka polskiego do szkół, dołączył do niego ośmioletni Cebertowicz. Dwa lata później trafił do szkoły handlowej w Łowiczu, a gdy wybuchła I wojna światowa, został z całą rodziną wywieziony do Rosji. Do Moskwy przeniesiona na czas wojny została Warszawska Szkoła Realna, w której Cebertowicz zdał w 1917 r. maturę, aby zacząć studia na Wydziale Inżynierii Politechniki Ryskiej również przeniesionej do Moskwy.

W październiku został jednak wcielony do Armii Czerwonej. Udało mu się wrócić w lutym 1919 r. do ojczyzny z matką i siostrami (jego ojciec zmarł). Został pracownikiem Zarządu Miejskiego w Głownie. Chciał dokończyć studia na Politechnice Warszawskiej, ale w 1920 r. trafił do wojska, najpierw do obozu akademickiego w Rembertowie, następnie do Szkoły Podchorążych



Prof. Romuald Cebertowicz w 1960 r.

Artylerii w Poznaniu. Jako artylerzysta wziął udział w powstaniu śląskim. Po zakończeniu walk, w 1923 r., zamieszkał na stałe w Warszawie, by dokończyć studia. Jednocześnie podjął pracę w Głównym Urzędzie Statystycznym, w którym po kilku latach został kierownikiem Biura Kartograficznego.

Droga do świata nauki

W 1935 r. Cebertowicz obronił na Wydziale Dróg i Mostów Politechniki Warszawskiej wysoko ocenioną pracę dyplomową „Projekt drogi wodnej Dniestr-Prut. Kanalizacja Prutu oraz porty rzeczne w Stanisławowie

i Kołomyi”. W listopadzie 1936 r. został inspektorem budowy szkół w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach. A 1 września 1939 r. został zmobilizowany jako podporucznik rezerwy artylerii i otrzymał przydział do obrony przeciwlotniczej fabryki Cegielskiego w Poznaniu.

Wraz z wycofującym się oddziałem przekroczył granicę i 21 września został internowany w Rumunii, skąd uciekł do Francji, gdzie wziął udział w wojnie obronnej na linii Maginota w szeregach 2. Dywizji Strzelców Piechoty gen. Bronisława Prugara-Ketlinga. Po kapitulacji Francji jego oddział przekroczył granicę ze Szwajcarią. Cebertowicz pozostał tam do 1945 r. Był jednym z organizatorów i czynnym uczestnikiem Uniwersytetu Polowego, wykładając statystykę, konstrukcje żelbetowe i fundamentowe. W listopadzie 1941 r. otrzymał posadę asystenta naukowego w Zakładzie Doświadczalnym Bu-

downictwa Wodnego, Hydrologii i Glaciologii Związkowej Wyższej Szkoły Technicznej w Zurychu. Stało się tak za sprawą decyzji władz szwajcarskich, na mocy których żołnierze polscy zostali zatrudnieni w przemyśle i rolnictwie, a także dopuszczeni do studiów. Cebertowicz prowadził badania laboratoryjne nad mechaniką okruchów skalnych i osuszania gruntów za pomocą prądu stałego. Opracował własną metodę elektropetryfikacji – zeskalania podłoża (gruntu) przez działanie polem elektrycznym przy jednoczesnym wprowadzaniu do niego zawieszin cementowych oraz roztworów szkła wodnego i chloru wapnia, nazwaną na jego cześć cebertyacją.

W marcu 1945 r. wyjechał do Anglii, gdzie wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, w szeregi 4. Dywizji Piechoty. Jednostka nie zdążyła jednak wejść do walki.

Twórca cebertyzacji

W styczniu 1946 r. Cebertowicz zdecydował się na powrót do Polski. Zamieszkał w Gdańsku, który w wyniku powojennych zmian granic stał się w 1945 r. polskim miastem. Cebertowicz trafił do Biura Odbudowy Portów na stanowisko referenta oraz do pracy jako adiunkt w Katedrze Hydrauliki, Hydrologii oraz Budowy Zapór, Jazów i Zakładów o Sile Wodnej na Wydziale Inżynierii Lądowej i Wodnej Politechniki Gdańskiej. Organizowana politechnika nie miała za wiele kadr, dlatego pochodzący z Główna adiunkt otrzymał 1 września 1947 r. nominację na zastępcę profesora Katedry Hydrauliki i Hydrologii.

Na Politechnice Gdańskiej Cebertowicz kontynuował badania rozpoczęte w Szwajcarii i wdrażał zdobyte tam doświadczenia na gruncie polskim. Wykładał teorię parcia gruntu i mechanikę okruchów skalnych. Przedstawił pracę doktorską zatytułowaną „Parcie statyczne ziemi” i stworzył Instytut Wodny Politechniki Gdańskiej z Laboratorium Wodnym i Zakładem Mechaniki Okruchów Skalnych. Tak powstał ośrodek

dopiero w 1954 r., a dwa lata później wszedł w skład komitetu wojewódzkiego. W latach 60. był też przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Jego działalność nakierowana była jednak na naukę oraz pracę na rzecz lepszego świata w rzeczywistości komunistycznej. W 1948 r. uratował skarpe pod kościołem św. Anny w Warszawie, zapobiegając jej osunięciu, oraz kolegiatę w Łęczycy. Dzięki jego metodzie zeskalania gruntu uratowano także Krzywą Wieżę

W 1948 r. Cebertowicz uratował skarpe pod kościołem św. Anny w Warszawie, zapobiegając jej osunięciu, oraz kolegiatę w Łęczycy.

w Pizie i egipską świątynię w Abu Simbel. W 1960 r. Cebertowicz był członkiem międzynarodowej misji UNESCO ds. ratowania zabytków w Sudanie. Za jego sprawą i z zastosowaniem jego technologii zbudowano w Polsce również wiele zakładów przemysłowych, w tym portów. Był delegatem na kongresy pokojowe w Wiedniu, Warszawie, Moskwie i Helsinkach. Przewodniczył Prezydium Komitetu Gospodarki Wodnej Międzynarodowego Towarzystwa Mechaniki Gruntów i Fundamentowania, brał udział w pracach Polskiego

Komitetu Frontu Jedności Narodu, po październiku 1956 r. Otrzymywał również odznaczenia. Pozostaje jednak pytanie, czego był symbolem, skoro nie był ważną postacią życia politycznego, za to wybitnym naukowcem ratującym zabytki znane praktycznie całemu światu i budowniczym portów. Czy budowanie lepszej Polski było hańbą, a jedynymi pozytywnymi postaciami tamtego okresu są „żołnierze wyklęci”? Wątpliwości nie miał wojewoda łódzki, który w marcu 2019 r. odebrał głowieniejskiej szkole patrona, powołując

się na ustawę o zakazie propagowania ustrojów totalitarnych. W opinii IPN Cebertowicz jest symbolem komunizmu. Jeszcze we wrześniu tego samego roku na wniosek starostwa zgierskiego zarządzenie wojewody uchylił Wojewódzki Sąd Administracyjny, uznając, że „przywołanie samych faktów historycznych dotyczących danej osoby, w tym jej przynależności i działalności w organizacjach komunistycznych, nie jest wystarczającą podstawą do przyjęcia, że ta osoba symbolizuje komunizm”. Orzeczenia tego nie podzielił jednak Naczelny Sąd Administracyjny. Co ciekawe, poprzedniemu wojewodzie z PiS nie udało się odebrać Cebertowiczowi ulicy w Łodzi.

„Romuald Cebertowicz cieszy się wielkim autorytetem wśród mieszkańców miasta, trudno o osobę, która zgadzałaby się z decyzją NSA. Wielu jest zdenerwowanych na wojewodę. Panuje opinia, że jak PiS przestanie rządzić, patron wróci do szkoły”, mówi dr Tomasz Romanowicz, historyk i mieszkaniec Główna.

W takich okolicznościach wybitny naukowiec został wygumkowany z historii rodzinnego miasta w zasadzie tylko dlatego, że z Zachodu, gdzie robił karierę naukową, postanowił wrócić do zniszczonego przez wojnę kraju i wziąć udział w jego odbudowie. Jak widać, jest to obciążeniem. Pytanie, jak długo.

Dzięki jego metodzie zeskalania gruntu uratowano także Krzywą Wieżę w Pizie i świątynię w Abu Simbel.

badawczy propagujący elektropestryfikację. Za środki zdobyte dzięki opracowanej przez Cebertowicza technologii instytut zbudował halę do badań modelowych i gmach Wydziału Budownictwa Wodnego PG.

Z końcem września 1949 r. Cebertowicz otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego, a w marcu 1954 r. na profesora zwyczajnego (wraz ze stopniem doktora nauk technicznych). Rok wcześniej na bazie Instytutu Wodnego PG powstał z jego inicjatywy Instytut Budownictwa Wodnego PAN, którym kierował do 1957 r. Jednocześnie w 1952 r. został posłem na Sejm wybranym jako bezpartyjny. Do partii wstąpił

Towarzystwa Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej, Komitetu Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk oraz Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Był też założycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Badań Naukowych PAN.

W 1967 r. przeszedł na emeryturę, pozostawał jednak aktywny jako ekspert. Pod koniec lat 70. zamieszkał w Łodzi, gdzie zmarł 14 stycznia 1981 r. Jego grób znajduje się w rodzinnym Głównie.

Naukowiec do dekomunizacji

Romuald Cebertowicz był posłem, należał też do Ogólnopolskiego



TADEUSZ ŁYSIAK

– reżyser

Naprawiać świat małymi krokami

Tak łatwo odrzucamy kogoś tylko dlatego, że nie wpisuje się w powszechnie przyjęte kanony normalności

Rozmawia Artur Zaborski

Tytułowa sukienka z twojego filmu to przedmiot pożądania Julii. Ale chodzi nie o to, że bohaterki nie stać na drogi ciuch, tylko o problem, przed jakim stają osoby niskorostłe, dla których marki odzieżowe nie szują ubrań.

– Sukienka spina historię pewną klamrą. Takie klucze są bardzo potrzebne w krótkich metrażach. Historia może być przemyślana i dojrziała, ale shorty potrzebują motywu przewodniego. Nasza bohaterka poszukiwała ubrania – ładnej sukienki na randkę z nowo poznanym mężczyzną. Dla osób niskiego wzrostu znalezienie ładnego stroju graniczy z cudem. Zazwyczaj dostępne są tylko kolorowe, dziecięce ubrania

z nadrukami. Eleganckich strojów brakuje. Sukienka symbolizuje też próbę dopasowania się, wpisania w kulturowe kanony piękna.

Julia wygląda wystarczająco atrakcyjnie.

– Bohaterce nie była potrzebna konkretna kreacja, aby wyglądać ładnie – mogła ubrać się jakkolwiek. Podświadomie potrzebowała jednak czegoś, co podkreśliłoby jej figurę, bo jest to wpisane w modę i światowe standardy. Nie jest to do końca normalne, że Julka tak bardzo potrzebuje konkretnego ubrania, aby poczuć się dobrze. Te społeczne potrzeby są czasami irracjonalne, ale wciąż ważne, bez względu na to, co je stworzyło.

To o nich chciałeś opowiedzieć?

– Na początku zadałem sobie pytanie, co interesuje mnie w człowieku i w całym świecie, co mnie

szczególnie boli. A tą rzeczą jest fakt, że tak łatwo przychodzi nam odrzucenie drugiej osoby tylko ze względu na to, że nie wpisuje się w powszechnie przyjęte kanony normalności. Powodem często bywa odmienna orientacja seksualna czy kolor skóry. Gdy w internecie natrafiłem na artykuł dotyczący niskorostłych osób, ich ostrzegania przez społeczeństwo i codziennych problemów z tym związanych, stwierdziłem, że jest to genialna metafora emocji, o których chciałem opowiedzieć. A motyw ten jest słabo ograny filmowo. Mieliśmy „Dróżnika” z Peterem Dinklage’em, dzięki któremu w ogóle zaczęliśmy dostrzegać ludzi niskiego wzrostu w kinie. Przewijali się oni także w produkcjach Davida Lyncha i kilku fantastycznych projektach, ale mieli w nich dodać elementy surrealistyczne. Poważnej historii na ich temat próżno szukać.

Osoby niskorostłe są natychmiast identyfikowane przez społeczeństwo. Nie mogą się wtopić w tłum.

– Również z tego powodu taka bohaterka wydała mi się interesująca, ona nie ma możliwości ukrycia się.

Tadeusz Łysiak – (ur. w 1993 r.) absolwent Wydziału Kulturoznawstwa na UW, student reżyserii w Warszawskiej Szkole Filmowej. Jego film „Techno” otrzymał nagrody na festiwalach w Warszawie, Las Vegas i Sulmonie. A najnowszy obraz, „Sukienka”, ma szansę na nominację do Oscara.

Dużo rozmawiałem z Anią Dzieuszycą, szukałem wywiadów, dokumentów, blogów polskich i zagranicznych, a historia zaczynała się budować. Niskie osoby codziennie zderzają się z wyśmianiem, odrzuceniem, ostracyzmem. Ale jest to też opowieść, z którą mogą się identyfikować ludzie odrzuceni z innych powodów, widocznych i niewidocznych.

Wciąż konfrontujemy się z tym, co przedstawiane jest jako ideał, a ten wpędza w kompleksy i skazuje ludzi na samotność.

Z Julką może się utożsamiać każdy. Było to dla mnie bardzo ważne podczas tworzenia filmu, często wspólnie z ekipą rozmawialiśmy o uniwersalnych cechach Julki. Jej postać jest jednocześnie konkretna i ogólna.

W filmie nie ograniczasz się do pokazania niewłaściwych reakcji ludzi, ukazujesz relację Julki z jej przyjaciółką Renatą, która często jest po prostu bezradna i nie wie, jak się zachować, za co trudno ją winić.

– Czasami zachowujemy się jak marionetki, nie wiemy, co nami kieruje. Niektóre uczucia podświadomie ukrywamy, niektóre emocje wykreowane są przez otoczenie, a nie przez nas samych. Codziennie konfrontujemy się z tym, co przedstawiane jest nam jako ideał, a ten z kolei wpędza nas w kompleksy i niepotrzebnie skazuje ludzi na samotność. Jest to dla mnie bardzo przykre zjawisko, dlatego chciałem opowiedzieć o nim w filmie. **Jednocześnie w „Sukienka” nie ma miejsca na litość. Widzowie nie mają żałować Julki, raczej powinni się inspirować jej siłą.**

– Litość byłaby dosyć naiwna i nieciekawa. Może to brzmieć okrutnie, ale po prostu nie o to chodziło w mojej opowieści. Źle się ogląda bohaterów, którzy nie mają w sobie siły – może to być siła fizyczna, psychiczna, jakakolwiek. Ale musi występować, aby postać nas zaciekała. Obejrzałem bardzo wiele filmów krótkometrażowych i zauważyłem, że ich twórcy lubią zasmucać odbiorców. „Sukienka” ma przykre i poważne momenty, ale starałem się wnieść do niej tyle radości, ile było możliwe. Chciałem, by film był zabawny, podnoszący na duchu,

różnorodny emocjonalnie. Produkcje oparte na jednej emocji często są nieprawdziwe, bo życie nie jest czarno-białe. Jeśli trudny film przeplatają szczęśliwe momenty, jest on lepszy i bliższy prawdzie, a przynajmniej takie jest moje zdanie. Dlatego wybór castingowy padł na Dorotę Pomykałę, która jest jedną z moich ulubionych aktorek.

Niestety, bardzo rzadko właściwie wykorzystywaną przez reżyserów. Jej wielki talent polskiemu kinu umyka.

– Wiedziałem, że wcielając się w przyjaciółkę Julii, idealnie stworzy dla widzów klimat, w którym momentalnie będą mogli przejść od śmiechu do łez. Celowo niewłaściwie napisałem dialog – bohaterka wprost zwierza się ze wszystkiego, co leży jej na sercu. Emocje na ekranie powinno się pokazywać, nie wypowiadać. Ale potrzebowałem sceny, która uświadomiłaby widzom, że wszystkie te emocje bohaterka

obalają stereotyp, wedle którego ktoś taki jest automatycznie stłamszony. Zobaczyłem, jak silna i niezależna jest Ania, i bardzo mi się to spodobało. Opowieść o samotnej i zastraszonej bohaterce wybrzmiałaby zupełnie inaczej, zabrakłoby w niej kontrastu, który udało nam się uzyskać. Osoby odrzucone często mają w sobie ogromne pokłady siły i optymizmu, nasze stereotypy na ten temat są wyjątkowo błędne. Podobnie mówi się o osobach cierpiących na depresję. Większość ludzi myśli, że są one permanentnie smutne, co jest nieprawdą. **Twój film osiągnął niesamowite sukcesy – był pokazywany na festiwalach filmowych na całym świecie, zdobył mnóstwo nagród. Widzowie chyba rzeczywiście identyfikują się z Julką.**

– Za film podziękowało mi bardzo wiele osób, choć nie borykają się z identycznym problemem. Dla mnie, młodego filmowca, to wspaniały komplement. Jeśli ktoś mówi, że mój



Sukienka

Niskie osoby codziennie zderzają się z wyśmianiem i ostracyzmem.

zbierała i dusiła w sobie przez wiele lat. Dla każdego z nas przychodzi moment, w którym musimy je z siebie wyrzucić, to naturalne.

W Julkę wciela się Anna Dziedużycka. Wplotłeś jej osobiste doświadczenia?

– Po przeczytaniu scenariusza Ania stwierdziła, że jest on bardzo bliski prawdy. Miała drobne uwagi, z których skorzystałem – zmieniliśmy dialogi opierające się na wyśmiewaniu, bo Ania dobrze wiedziała, jakie sytuacje zdarzają się najczęściej. Chciałem

film był dla niego ważny, jeśli o produkcji można dyskutować – to jest najważniejsze. „Sukienka” nie kończy się zupełnie szczęśliwie, co również było zamierzonym zabiegiem. Nie chciałem pozostawić widza z uczuciem komfortu, ze świadomością, że obejrzał film, ale tak naprawdę wszystko na świecie jest w porządku. Bo przecież nie jest. Zabrzmieć to patetycznie, ale chciałbym, żeby widz po seansie postarał się raczej zbudować szczęśliwe zakończenie we własnym życiu. Spójrzeć inaczej na ludzi, których spotyka, naprawiać świat małymi krokami. Być może kiedyś filmy z happy endem będą prawdziwe i naturalne. Na razie wolałem postawić znak zapytania niż uroczą, lecz nieprawdziwą kropkę. ■

Pan tu chyba zostanie na dłużej

Jan Suzin o początkach pracy w telewizji

Zaczęło się zwyczajnie. W szarobury jesienny dzień, jeden z tych, co to nie wiadomo, czy właśnie się zaczyna, czy właśnie się kończy. Miastoprojekt. Smutna instytucja, zwana przez architektów „centralnym Sing Singiem”. (...) Skończyłem jeden projekt, miałem dostać drugi, kiedy na mojej desce pojawiła się gazeta. Czy był to „Express Wieczorny”, czy „Życie Warszawy”, już dziś naprawdę nie pamiętam. (...)

A inserat, który właśnie czytałem w tej gazecie, brzmiał mniej więcej tak: „Naczelna redakcja programu telewizyjnego ogłasza konkurs na spikera telewizyjnego. Kandydaci powinni...”. I tak dalej, i tak dalej. Telewizja? W Warszawie? Oczywiście nonsens. Przecież to w Polsce nie istnieje. (...) A jednak. Kilka dni później spotkałem w tramwaju niewidzianą od kilku lat znajomą. W trakcie banalnych typowych pytań „jak żyjesz, co robisz” usłyszałem nagle coś, co mnie zelektryzowało.

– Pracuję w telewizji – powiedziała ona.

Nim zdążyłem ją o cokolwiek spytać, musiała wysiadać. Zdążyła mi tylko rzucić:

– Janek, ogłosił konkurs na spikerów, zgłoś się, chybabyś się nam nadał.

I już jej nie było. (Dziewczyna, którą spotkałem wtedy w tramwaju, nazywa się Olga Lipińska). O wszystkim w życiu decydują przypadki. Tu złożyło się ich kilka naraz. I ta dziewczyna, i ta gazeta, i – co może

– Podobno był pan świetny – powiedziała charakteryzatorka. Tak mogłem sprawdzić, jak szybko w telewizji rozchodzą się wieści.

najdziwniejsze – chwilowa przerwa w pracy, dzięki której inż. Jan Suzin potężnie się nudził.

Patrzyłem to przez okno na Ogród Saski, to na pustą rysownicę i licho mi podsunęło myśl o telewizji. Zacząłem sobie pomalutku wyobrażać, jak powinien wyglądać taki poszukiwany „spiker telewizyjny”.

To, że musi mieć bezbłędną dykcję, musi swobodnie poruszać się po bezdrożach języka ojczystego i paru

innych, że powinien mieć raczej niski, sympatyczny i kulturalny *timbre* głosu było jasne dla każdego, kto choć raz w życiu słuchał radia. Ale wygląd? Jak ma u licha wyglądać facet, który przez długie wieczory, miesiące, a nawet lata będzie mi w moim mieszkaniu mówił: „Dobry wieczór”? Ma być wysoki, niski, gruby, chudy, czarny, rudy? A może łysy? Tego właśnie w roku 1955 nie potrafił sobie wyobrazić nikt. I nic zresztą

Mam przyjemność państwa zawiadomić, że telewizja właśnie sprowadziła z Paryża całą serię filmów dla dorosłych.

dziwnego, bo i nikt, poza nieliczną grupką prominentów, nie wiedział nawet, jak wygląda telewizor! I może właśnie dlatego słowo „telewizja” tak mnie zafascynowało. (...)

Był to potężny magnes. I chyba dlatego wystąpiłem zgłoszenie.

W niespodziewanie krótkim czasie przyszło zaproszenie na eliminacje do „Konkursu na spikerów telewizyjnych”. (...)

Już od szatni uderzał gwar przytłumionych rozmów, zapach świetnej ekspresowej kawy i pudru, ponieważ charakterystycznie mieściły się tuż obok kawiarenki. Już prawie byłem w ogródku! (...)

I doczekałem się wreszcie chwili, w której i mnie zaproszono przed oblicze dostojnego jury. Przewodniczył mu Władysław Sheybal, reszty nie znam. Zapamiętałem jedynie zabójczo przystojnego szatyna, o którym ktoś w korytarzu powiedział, że to „młody, ale bardzo zdolny reżyser, Hanuszkiewicz”, ale i to nazwisko nic mi nie mówiło.

Patrzyłem na nich z wielkim szacunkiem, jak na kapłanów wiedzy

tajemnej, ale jednocześnie zupełnie bez tremy, gdyż moje ewentualne szanse wejścia kiedykolwiek w ich grono oceniałem już teraz na zero. Jedyne, co mnie w tej zabawie już tylko interesowało, to studio, które za wszelką cenę chciałem zobaczyć.

Może właśnie dlatego byłem na pełnym luzie. Gawędziliśmy sobie o tym, o owym, miło, kulturalnie, sympatycznie, nawet chyba udał mi się jakiś żart, bo rozstawialiśmy się rozbawieni. Potem padło sakramentalne „zawiadomimy pana pisemnie”, co mnie specjalnie nie uradowało, bo zdanie to w przełożeniu na polski oznacza „żegnaj na wieki”. Ale przeżyłem to po męsku.

Kiedy, idąc śladami Dantego, porzuciłem już wszelką nadzieję, niespodziewanie poczta przyniosła mi drukczek, w którym Naczelna Redakcja Programu Telewizyjnego uprzejmie zawiadamiała, że zostałem zakwalifikowany do drugiego etapu konkursu na spikera – do próby kamerowej w studiu. Tu już rzecz zaczynała wyglądać nieco poważniej. Należało przygotować fragment prozy, poezji i nauczyć się na pamięć załączonych tekstów. Z wierszami od dzieciństwa nie miałem kłopotów, z prozą było nieco gorzej, więc sięgnąłem do mojej ulubionej „Lalki” – trafiłem akurat na opis urody panny Łęckiej i może dlatego do dziś pamiętam, że „panna Łęcka była niepospolicie piękną kobietą”.

Tym razem w kawiarence na placu Wareckim nie było już tłoku. Było zaledwie kilka osób, niektóre grubo uszminkowane. Po wstępnych eliminacjach z 2 tys. kandydatów została jedynie garstka. A więc stało się! Trafiłem do finału! (...) Zaraz też i mnie zaproszono do charakteryzatorki, gdzie wielce sympatyczna pani zaczęła mi nakładać zupełnie nową twarz. Bo w tych grubych warstwach szminki, nieodzownych dla ówczesnych prymitywnych kamer, można



Jan Suzin w studiu TVP, 1969 r.

było wyrzeźbić dosłownie wszystko. I rzeczywiście. Po dość długich zabiegach wyjrzał ku mnie z lustra nie bardzo mi znany, ale za to dość przystojny facet.

– Szkoda, że tylko raz w życiu – powiedziałam do tej miłej pani charakterystyki.

A Marysia Zachwiejowa – bo to ona przecież była – spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie i powiedziała cicho:

– O nie, to nie jest tylko ten jeden raz. Pan tu chyba zostanie na dłużej.

Był to niewątpliwie dobry znak. Ale przecież jeszcze o niczym nie świadczył. Wszedłem do kawiarenki. Od jednego ze stolików podniósł się równie jak ja wyszminkowany „przystojniak”, sympatycznie wyglądający szatyn, i ściskając mi dłoń, powiedział:

– Poznajmy się, jestem Eugeniusz Pach.

A potem już razem oczekiwaliśmy na rozwój wypadków.

Wreszcie nadeszła wielka chwila! Wywołano moje nazwisko. I już za

chwilę miałem po raz pierwszy w życiu wejść do tajemniczego sanktuarium nieznanej sztuki. Do studia.

Studio telewizyjne 1955 r. Tajemnicze pomieszczenie pełne tajemniczych i nieznanych przedmiotów. Atmosfera jak na strychu u babci, a i technika zapewne podobna. Gęstwa kabli, stojaków, dekoracji. I światła. Ogromna ilość światła. Temperatura jak w piekarni. W środku studia dwie kamery – dwa duże pudła z pomalowanej na szaro blachy. W każdej kamerze dwie dziury. Jedna z przodu, na obiektyw, druga z tyłu, na wizjer, w którym – jak się później dowiedziałem – operator widział obraz do góry nogami. (...)

Jurorów ani śladu. Urzędowali tym razem za wielką szybą, gdzieś wysoko, jak się domyśliłem – w reżyserce. Nie było ich ani widać, ani słyszeć, za to oni widzieli i słyszeli wszystko, bo gdy tylko usiadłem przed kamerą, znajomy głos powiedział przez głośnik:

– Dzień dobry panu. – Był to głos Hanuszkiewicza. – Jestem dokładnie za obiektywem stojącej przed panem kamery – skorygował mnie, gdy usiłowałem niezbyt zgrabnie skłonić się w stronę wielkiej szyby pod sufitem. – Co pan dla nas dziś przygotował?

I tak się zaczęło.

Opowiedziałem ze szczegółami o zaletach urody panny Izabeli Łękiej, a przy okazji po raz pierwszy miałem możliwość się przekonać, jak piekielnie trudną sztuką jest mówienie najprostszych choćby tekstów do kamery. Wreszcie, gdy z trudem przebijał się przez zawile meandry jakiegoś wierszyka, odezwał się głośnik. Znowu Hanuszkiewicz, gdyż on to właśnie był szefem tych kamerowych prób:

– Stop! Mamy awarię w programie. Jest dziura. Niech pan spróbuje ją załatać.

Pełne zaskoczenie. Ale po chwili już mówiłem:

– Mam przyjemność państwa zawiadomić, że telewizja właśnie sprowadziła z Paryża całą serię filmów dla dorosłych, które już od jutra nadawane będą w późnych godzinach nocnych.

Chóralny śmiech jurorów dotarł do studia nawet przez szybę.

Na zakończenie znowu usłyszałem sakramentalne „powiadomimy pana na piśmie”, ale tym razem byłem zadowolony. Bo – bez względu na to, czy i o czym mnie zawiadomią – dopiąłem swego. Byłem w telewizji, widziałem studio i ludzi, którzy teraz z bliska wydawali mi się całkiem normalni. A miła pani w charakterystyce, pracowicie zeszkobując ze mnie uprzednio nałożony kolorowy „tynk”, powiedziała półgłosem:

– Podobno był pan świetny. – Dzięki czemu już wtedy miałem możliwość sprawdzić, jak szybko w telewizji rozchodzą się wieści. (...)

Zaczęliśmy w dziesiątkę. Tyle właśnie osób wyłonił „do współpracy” konkurs, na który zgłosiło się ponad 2 tys. kandydatów. Zawody mieliśmy różne, każdy inne, a wiedzę o telewizji zerową. Zналиśmy jako tako język ojczysty, zналиśmy trochę języków obcych, nie paraliżowała nas lufa obiektywu i staraliśmy się nie dać się zjeść w kaszy. I to było mniej więcej wszystko, czym dysponowała nowa kadra zupełnie nowego i nikomu nieznanego zawodu.

► Z tym bagażem trudno by było zabłysnąć na antenie, więc ostro się za nas zabrano. Rozpoczęło się szkolenie. Na dziesiątkach wykładów uczono nas techniki telewizyjnej, aktorstwa, zachowania przed kamerą, wreszcie dykcji i interpretacji. Tu nieubłaganym katem naszych nieuporządkowanych aparatów mowy

Na moim pamiętnym pierwszym dyżurze nic szczególnego się nie wydarzyło. Być może dlatego, że przez poprzedzający go tydzień niemal codziennie byłem na próbach i dokładnie wiedziałem, gdzie mam stanąć i do której kamery mówić. A kiedy wreszcie na ekranach, a właściwie ekranikach, ukazała się

nadal topniała. Niebagatelny wpływ na to miały wówczas pierwsze nieliczne sygnały od odbiorców. Nie zapomnijmy, że telewizorów w Warszawie – czytaj: w całej Polsce – było ok. 500, z których większość, pokryta kurzem, stała w sklepach. Nie było jeszcze zainteresowania tym towarem. Ale już wtedy istniała grupka „telewizorów entuzjastów”, którzy po każdym niemal programie zasiadali do pisania, nadsyłając nam potem sążniste epistoły. Więcej chyba pisano o naszym maleńkim, trzygodzinnym programie, niż dziś się pisze o programie trwającym niemal całą dobę przez okrągły rok. Niektóre z tych prywatnych recenzji były nawet całkiem sensowne. Pisali np. państwo Sz. – oboje literaci – że „spikera z dnia tego i tego (czyli mnie) telewizorowie nie powinni już więcej oglądać”. Pod wpływem takich właśnie „pobożnych życzeń” ubywało nas z każdym dniem.

Aż zostaliśmy tylko dwaj. Rzeźcowy i nigdy nietracący głowy archeolog Eugeniusz Pach oraz

Telewizorów w Warszawie – czytaj: w całej Polsce – było ok. 500, większość stała w sklepach.

był Adam Hanuszkiewicz. W nieukończoność musieliśmy powtarzać jakieś idiotyczne zdania, dzięki którym do dziś wiem, że „z czeskich strzech szło Czechów trzech” i że „nim zapadł zmierzch, jeden bez śladu w gąszczach szczeł”. Ale nikt nie narzekał. Biegaliśmy pilnie na wykłady i ćwiczenia i zabawa ta – bo była to przecież wielka zabawa – wciągała nas coraz bardziej. A pasjonujące rozmowy z naszymi wykładowcami na temat przyszłego kształtu rodzącej się właśnie telewizji zdawały się nie mieć końca.

Oczywiście przesiadywaliśmy również w studiu. W dni „bezprogramowe” w środku, a w „programowe” w przeszkolonym, przelęgającym do studia korytarzyku, przeznaczonym dla gości „z zewnątrz”. Była tam długa, wąska kanapka, z której można było wygodnie obserwować wszystko, co się działo w studiu (później ten korytarzyk przemurowano i skrócono, pozostawiając jedynie maleńkie miejsce na „dziupłę” spikera). W tamtych czasach, A.D. 1955, spiker nie miał swojego stałego miejsca, a tym bardziej kamery. Jedynie na początku było przygotowane krzeselko i stolik, ale gdy tylko ruszyła realizowana właśnie na żywo inscenizacja, zabierano w pośpiechu krzeselko i stolik oraz obie kamery. Odtąd spiker był zdany tylko na własną czujność i refleks. Musiał sprawnie i bezszelestnie przesuwając się w płataninie kabli z takim wyczuciem, aby we właściwym momencie znaleźć się w pobliżu tej właśnie kamery, do której za chwilę zacznie mówić. A mówić musiał tak długo, jak długo kamerzyści w rozwinanych fartuchach przesuwali drugą kamerę na następny plan. (...)

Z czasem zaczęło nas, kandydatów na spikerów, ubywać. (...) Mój debiut wypadł 26 listopada 1955 r. (...)

charakterystyczna sylwetka pana Hulot, odetchnąłem z ulgą. Najtrudniejsze było już za mną. Zaraz też wyspali się do studia koledzy, komentując gorąco każde słowo i każdy gest. Taki był zwyczaj. Przyglądaliśmy się bacznie pracy kolegów i od razu wyciągaliśmy wnioski. Chcieliśmy jak najprędzej uzyskać pełny i prawidłowy obraz dobrego spikera telewizyjnego, ale jak ten spiker miał naprawdę wyglądać, nie wiedział nikt. Nawet nasi profesorowie.

Już wtedy istniała grupka „telewizorów entuzjastów”, którzy po każdym programie stali sążniste epistoły.

Na ogół pierwsze antenowe eksperymenty nie wychodziły nam najlepiej. Ja np. założyłem sobie, że spiker jako osoba coś zapowiadająca musi być niestychanie poważny i uroczysty. I starałem się taki być, tyle że wychodziło mi to jakoś smutno. Koledzy, najwyraźniej nie doceniając założonego efektu artystycznego, pytali, czym się zamartwiam. I w żaden sposób nie mogłem ich przekonać, że chodzi mi tylko o efekt tzw. powagi chwili. Dopiero kilka miesięcy później spotkana w studiu pani Hanka Bielicka spytała:

– Czemu pan jest taki smutny? Nie spróbowałby się pan tak leciutko, od środka, uśmiechnąć?

Spróbowałem. I chwała kochanej Hani za to! To był mój pierwszy krok do pozytywnych osiągnięć w tym zawodzie. (...)

Mijały miesiące, w czasie których pracowicie uzupełnialiśmy naszą wiedzę o nowej profesji. To wciąż był jeszcze świat magii, ale już powoli zaczęliśmy go pojmywać. Zaczynaliśmy poznawać aparaturę i ludzi oraz wtapialiśmy się w garstkę szaleńców, którzy uparli się, by zrobić telewizję. A nasza niewielka spikerska grupka

rozwichrzony i trochę bujający w obłokach architekt Jan Suzin. (...) Po tem już przez długi czas pozostawialiśmy na antenie we czwórkę: para „starych” spikerów – Barbara Marszelówna i Stanisław Cześnin – i my dwaj. Sporadycznie pojawiali się ludzie różnych zawodów, ale przeważnie nie na długo.

A program niepostrzeżenie powiększał swoją objętość. Z dwóch dni w tygodniu zrobiły się trzy, potem cztery i pięć. Zanosilo się na rzecz zupełnie nieprawdopodobną, że już wkrótce będzie szedł codziennie! Trzeba się było na coś zdecydować. (...)



Fragmenty książki
Jana Suzina *Nieźle się zapowiadało*,
Wydawnictwo Arkady,
Warszawa 2021

NA POWAŻNIE

Dzwonek z miniatURY

Dwie jednoaktówki operowe na kameralnej scenie to bardzo miły prezent dla widza teatralnego. Wszystko tu jest podane jak na tacy. Intryga łatwa do rozszyfrowania i dosyć pikantna, kostiumy kolorowe, dużo ruchu i tańca, a jeszcze wstawki dialogowe w języku polskim. Miniatury operowe wymagają też dobrego śpiewu i to zawdzięczamy młodym artystom, którzy w Warszawskiej Operze Kameralnej zdobywają szlify. Teraz grają w komedii, za parę lat wezmą się do opery *seria*.

Bronisław Tumitowicz

Gaetano Donizetti, „Nocny dzwoneczek” i „Tłusty czwartek”,
reżyseria Grzegorz Chrapkiewicz, dyrygent Kuba Wnuk,
Warszawska Opera Kameralna, premiera 20 października 2021



FESTIWAL

Nie ma granic w sztuce

Co roku w celu uczczenia Bogusława Schaeffera, najbardziej awangardowego polskiego artysty, kompozytora, dramaturga i filozofa, organizuje się dwugodzinny festiwal absurdu. Tym razem był to turniej muzyczno-aktorski, w którym do walki na ringu przystąpili m.in. akordeonista Marcin Wyrostek z zespołem, wokalista Janusz Radek, pianista Paweł Tomaszewski, do tego aktorzy, performerzy i królująca nad wszystkimi operowa diwa, mezzosopran i dyrektor Warszawskiej Opery Kameralnej Alicja Węgorzewska. Jej głos niejednego kładł na łopatki.

Bronisław Tumitowicz

Era Schaeffera, reżyseria Maciej Sobociński, Fundacja Aurea Porta,
Basen Artystyczny Warszawa, 29 października 2021



NA EKRANACH

Obłoki śmierci – Bolimów 1915

reż. Ireneusz Skruczaj, prod. Polska, już w kinach

W tym fabularyzowanym dokumencie cofamy się do wydarzeń z I wojny światowej, gdy w 1915 r. pod Bolimowem po raz pierwszy w historii wojennej doszło do wykorzystania na masową skalę ataków gazowych. Bilans zabitych: niemal 80 tys. żołnierzy. Sprawa jednak nie doczekała się należytego miejsca w podręcznikach. Film Ireneusza Skruczaja ma ją uchronić przed zapomnieniem. Trzeba przyznać, że reżyser detalicznie odtworzył niestawne wydarzenie. Robi wrażenie, przez ile dokumen-

tów i archiwów się przekopał, z iloma osobami porozmawiał. Film ma niewątpliwie wartość edukacyjną, ale poza rekonstrukcją przeszłości zadaje jak najbardziej aktualne pytania o moralność człowieka. Można się zastanawiać, czy potrzebne są w nim odwołania do Syrii, skoro bitwa jest tak wstrząsająca, że robi wrażenie i bez tego. Ale może w czasach, kiedy wymęczeniu uchodźcy z Bliskiego Wschodu umierają na polsko-białoruskiej granicy, takie analogie przypomną nam, że historia właśnie powtarza



się na naszych oczach? Wystarczy spojrzeć na atak chemiczny dokonany przez siły Asada pod Damaszkiem, by zobaczyć kopię Bolimowa.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Piotr Stankiewicz

Pamiętam

Grupa Wydawnicza Relacja, Warszawa 2021

Książka, w której doskonale odnajdą się wszyscy urodzeni w latach 80. i 90., ale także starsi i młodszy czytelnicy odkryją jej prosty urok. Piotr Stankiewicz, filozof i pisarz, wymienia to, co pamięta z czasów dzieciństwa, dojrzewania i młodości. Wykorzystuje formę zastosowaną wcześniej w Stanach przez Joego Brainarda („I remember”), a we Francji przez Georges’a Pereca („Pamiętam że”). Pamięta gumy Turbo z obrazkami aut, książki



„I ty zostaniesz Pitagorasem”, Widzew Łódź w Lidze Mistrzów, czasy, gdy nie było godziny 21.37, a komórki kojarzyły się z piwnicami. W książce są osobiste wspomnienia, ale też historie, które były udziałem całej generacji. Mamy tutaj do czynienia z literacką grą z pamięcią prywatną i zbiorową, przeglądem polskich fantazmatów i symboli. Czy to tani sentymentalizm? A może sylwa z czasów przełomu, zapis epoki analogowej, gdy rzeczy było mniej, ale czasu więcej; gdy więcej się pamiętało, bo żaden smartfon za nas niczego nie załatwiał. Prosta, mocna książka.

Rafał Piłkuła

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Rozmawia Dorota Bartosiewicz

113 – tyle dni trzeba czekać na wizytę u ortopedy w Mazowieckiem. A ile dokładnie w przypadku Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego?

– To zależy. Osoby po ostrym dyżurze czy na kontrolę po zabiegu, tzw. nasi pacjenci, są przyjmowani po 10-14 dniach. Z kolei ci planowi, kierowani z POZ, niestety muszą się uzbroić w cierpliwość.

Na te statystyczne trzy-cztery miesiące?!

– Tak, choć terminy te mogą być jeszcze bardziej odległe. Szczególnie w tak wąskich specjalizacjach jak np. chirurgia kręgosłupa – tam zapotrzebowanie na leczenie jest większe, a specjalistów mniej. Dlatego w tym przypadku może to być nawet sześć miesięcy.

Na jakie konkretnie zabiegi ortopedyczne kolejki są teraz najdłuższe?

– Wszystkie z zakresu chirurgii barków. Tu nasze możliwości są bardzo ograniczone, bo operacje tego typu wykonujemy raz w tygodniu. Efekt: kolejka jest wielomiesięczna, czekać trzeba do 24 miesięcy. Dla porównania – jeśli chodzi o zabiegi z zakresu chirurgii ręki, wygląda to lepiej, czas oczekiwania jest krótszy niż pięć miesięcy.

Tyle że w tym ostatnim przypadku to głównie pacjenci po urazach, przyjmowani w trybie pilnym.

– Zgoda! Wyjątkiem są osoby ze wskazaniem do usunięcia zespoleń np. w sytuacji konfliktu z tkankami miękkimi – choć i tak termin ich przyjęcia będzie uzależniony od liczby pacjentów na oddziale urazowym. Wynosi generalnie od sześciu tygodni wzwyż. Górną granicę trudno mi wskazać, bo urazówka to oddział mocno przepełniony, nawet jeśli stosujemy zasadę jednego lub dwóch dni hospitalizacji. Złe jest także, jeśli chodzi o kolejki w endoprotezoplastyce, mimo że w 2017 r. zniesiono limity na procedury, co oznacza: ile zrobimy, tyle dostaniemy pieniędzy jako szpital. Tutaj lista oczekujących

Dr hab. n. med. Paweł Łęgosz – zastępca dyrektora ds. leczenia Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego Szpitala Klinicznego Dzieciątka Jezus, zastępca ordynatora-kierownika Katedry i Kliniki Ortopedii i Traumatologii Narządu Ruchu WUM.

Medyczne biedronki

Prywatne placówki w bardzo małym zakresie wykonują procedury, które mogłyby faktycznie zmniejszyć kolejki

DR PAWEŁ ŁĘGOSZ

– specjalista ortopedii
i traumatologii
narządu ruchu



z tzw. pacjentów stabilnych to teraz 10-12 miesięcy.

A te wszystkie pilne przypadki?

– Obluzowanie endoprotez czy nasilenie zespołów bólowych w przypadkach pierwotnych – te staramy się operować w czasie krótszym niż sześć miesięcy.

Nadal długo, choć do rekordu daleko. W 2016 r. 87-latce konsultację przed operacją stawów kolanowych wyznaczono na 2024 r.

– Na szczęście to przykład spoza kliniki na Lindleya.

Niestety, nieodosobniony.

– Podobnych w całej Polsce jest więcej. Znam ośrodki, w których wiekowego pacjenta na zabieg endoprotezy kolana wpisano na 2029 r. O, albo młodą kobietę ze zwłknięciem stawu biodrowego

na tle dysplazji na 2031 r. Kosmiczny termin. To absolutnie nie do pomyslenia. Patologia. Nawet jeśli to wszystko dzieje się w małych szpitalach, które mają 35 łóżek i muszą zaopatrzyć zarówno pacjentów urazowych, jak i tych planowych.

Na ile te i tak złe statystyki popsują pandemię?

– Dodała kolejne osiem miesięcy – tylko w klinice Ortopedii UCK WUM przez kilka tygodni wszystkie zabiegi planowe zostały wstrzymane, podobnie jak w wielu innych placówkach. Realizowaliśmy tylko procedury pilne. Przyjmowaliśmy jedynie osoby z obluzowaniem implantu, które groziło imigracją do miednicy czy np. z zaawansowanymi zmianami martwiczymi głowy kości udowej.

Co z pozostałymi?

– Tych, nawet ze zmianami zwyrodnieniowymi lub nowotworowymi z przerzutami w okolicę stawową, informowaliśmy: „Zabieg będę musiał przesunąć. Ale obiecuję, że to nie będzie zbyt długi czas oczekiwania”. Zwykle wywiązywaliśmy się z tych

obietnic – ostatecznie kolejki wynikające z samej pandemii rozładowałyśmy na dniach.

I ile teraz jest osób oczekujących?

– Prawie 1 tys., o 20% mniej niż rok temu.

Lepiej, ale i tak słabo, jeśli spojrzeć na zagranicę.

– Są kraje, gdzie na zabieg ortopedyczny czeka się maksymalnie trzy tygodnie. Tak jest m.in. w Skandynawii

„Jestem zmęczony, covid dał mi do wiwatu, nie obraż się, ale nie wezmę tego dyżuru”. Inni wprost odmawiają leczenia za stawki obowiązujące w państwowej służbie zdrowia – za godzinę pracy na SOR lekarz może liczyć na 160-170 zł. „Rezygnuję, to dla mnie za mało”, mówią wtedy. Dla porównania – za konsultację profesorską w prywatnej placówce dostaną ok. 350 zł za godzinę.

Pacjenci stabilni na endoprotezę czekają 10-12 miesięcy.

i krajach Beneluksu, ale tam jest przede wszystkim więcej lekarzy. Na przykład w Austrii praktykujących lekarzy na 100 tys. mieszkańców przypada ok. 5,1, a w Polsce to już tylko 2,4. Najgorzej w całej UE, jak wynika z raportu OECD „Health at a Glance: Europe 2020”. I tu zrobię analogię – dajmy na to, że gramy w piłkę nożną. Drużyna przeciwna ma 11 piłkarzy, a nasza tylko sześciu. Trudno grać mecz w tak okrojonym składzie, prawda? A co dopiero myśleć o złotym transferze wartym miliony i skompletowaniu całej drużyny.

Ala jeśli spojrzeć na mapę potrzeb, to okaże się, że ortopedów w Polsce wcale nie brakuje. Różnica między tymi odchodzącymi na emeryturę a zdobywającymi specjalizację to ok. 500 osób. Jest zapas.

– I co z tego, skoro wielu moich kolegów pracuje tylko w prywatnych ośrodkach, tzw. medycznych biedronkach. Przyjmują osoby z prostymi schorzeniami lub takie, które nierzadko wyszukują sobie choroby – pracowałem tam, to wiem. Wykupują pakiety, wydają pieniądze, a że mają wrażenie, że z nich nie korzystają, to przychodzą i mówią: „Coś mi pstryka w kolanie, chciałbym sprawdzić, co jest w środku”. Innymi słowy, prywatne placówki w bardzo małym zakresie wykonują procedury, które mogłyby faktycznie zmniejszyć kolejki. A to oznacza, że pacjent, który będzie wymagał interwencji, ma tam tak słaby pakiet, że i tak będzie przekazywany do NFZ. Poza tym sama liczba ortopedów chirurgów jest od lat mniej więcej stała.

Co jeszcze tłumaczy gigantyczne kolejki do ortopedów?

– Część personelu jest wypalona i przepracowana. Często słyszę:

Mało tego, są i tacy, którzy uznają: „Czterodniowy tydzień pracy jest dla mnie wystarczający, więcej nie chcę”.

– Doszli do pewnego poziomu finansowego i cenią sobie spokój. Tak! Na efekt nie trzeba było długo czekać – teraz nawet pacjenci z drogimi pakietami w prywatnych placówkach nie są przyjmowani z dnia na dzień. Muszą swoje odczekać, nie raz i cztery tygodnie. Tak na marginesie – kraje zachodnie, europejskie, dobrze rozwinięte, zadbały wcześniej o to, by liczba dobrze wykształconych lekarzy była wysoka. I teraz tego problemu nie mają, nawet kiedy bardzo rygorystycznie podchodzą do czasu pracy lekarza. Na przykład w Szwecji nie może on pracować więcej niż 165 godzin w miesiącu, bo inaczej grozi to wypaleniem zawodowym. A w Polsce? Problem wypalenia zawodowego medyków

Pandemia wydłużyła kolejki o osiem miesięcy.

nigdy nie był brany pod uwagę. Dalej: wiele do życzenia w Polsce pozostawia finansowanie – na publiczną służbę zdrowia trafia jedynie 5% PKB – i sama organizacja systemu. Wyjątkiem jest opieka nad pacjentem onkologicznym – jako jedyny ma on szansę na szybką terapię.

Co to oznacza w praktyce?

– Znaczna część pacjentów trafia na AOS, czyli ambulatoryjną opiekę specjalistyczną, bez sensu. Bo lekarz POZ albo jest słabo wykształcony, albo nie chce się podjąć leczenia. Woli wypisać skierowanie. Mimo że takiego chorego – i mówię to z całą odpowiedzialnością – mógłby

z powodzeniem prowadzić sam. Ale nie, woli odesłać go do mnie. A przecież można inaczej, tak jak dzieje się to np. w Wielkiej Brytanii. GP, czyli *general practitioner* zajmuje się leczeniem i bólów kręgosłupa, i np. schorzeń stawu biodrowego. Potrafi też usunąć szwy. Dodatkowo prowadzi pacjentów z cukrzycą i nadciśnieniem.

Tyle zagranicą, a tu i teraz jak zaradzić kolejkom?

– Włać więcej pieniędzy do systemu.

Ile dokładnie?

– Nie jestem ekonomistą i nie podam konkretnych wskaźników. Nie widzę jednak żadnych ruchów w tym zakresie. Nie ma podniesienia składki PKB na system ochrony zdrowia od przyszłego roku, podobnie jak pieniędzy w budżecie; deficyt sięga ponad 40 mld zł. Ale mogę podsunąć dwa rozwiązania innego typu. Pierwsze to weryfikacja kolejki. Od 2019 r. działa na WUM koordynator opieki szpitalnej – to nowa funkcja w szpitalu. Sprawdza, czy pacjent nie został zoperowany gdzie indziej, czy nadal potrzebuje zabiegu, czy nie był zakwalifikowany do niego na zapas, czy nadal żyje... To daje możliwość urealnienia zapisów i, co za tym idzie, skrócenia terminu leczenia kolejnych chorych.

A to drugie rozwiązanie?

– Podniesienie zarobków. Przecież jeśli dam zarobić lekarzom, szczególnie młodszy, którzy budują swój status materialny, to jestem w stanie

zatrzymać ich w szpitalu do wieczora. A nawet w soboty – tak, wrócimy do systemu państwa socjalistycznego, kiedy pracowało się przez połowę weekendu. I to naprawdę działa – od zeszłego roku lekarzy, którzy wcześniej po godz. 15 biegli do prywatnych placówek, zostawiam u siebie. Zarówno w poradni, jak i na bloku. Placę podobnie jak w prywatnych placówkach.

I budżet szpitala to wytrzyma?

– Tak, bo swoje zrobiło uwolnienie limitów i przejście lekarzy z etatów na system kontraktowy. Zadaniowy. Nagle przestało być problemem, czy to ma być jeden zabieg, czy tych

► zabiegów ma być sześć. Poza tym – o czym wie już niewielu – procedury wysokospecjalistyczne, w tym punkcja stawów, są dobrze wyceniane. Na tyle, że jeśli dam lekarzowi 35-45% z tej stawki, to jest zysk po jego stronie i nie ma straty dla szpitala.

O jakich kwotach konkretnie mowa?

– Lekarz za „zaopatrzenie” takiego pacjenta dostaje 30-35 zł.

wcześniej pana/panią zoperować”, dodaje nierzadko. Ale że nie mogę tak mówić każdemu, więc chorzy przyjmują nadmierną liczbę leków, co prowadzi do stanów depresyjnych. Dlatego tu i teraz mogę oburzać podpisać się pod stwierdzeniem „Polska to chory kraj”, jak głosiło swego czasu hasło kampanii OIL (Okręgowa Izba Lekarska – przyp. red.). Jeszcze

W Polsce w XXI w. nadal jesteśmy w średniowieczu – fundujemy najdroższe terapie, jakie tylko mogą być. Wszystkim. Bez wyjątku.

Szału nie ma.

– Na tyle została wyceniona procedura. Ale jeśli tak zorganizuję sobie pracę, że przyjmę pięciu-sześciu pacjentów na godzinę, to stawka już ładnie mi rośnie.

Tyle lekarz, a co ma zrobić pacjent, kiedy...

– ...przypadnie mu czekać sześć miesięcy na operację? Bardzo często słyszę to pytanie. „Panie doktorze, ale boli mnie dziś i nie mogę normalnie funkcjonować. Do tego czasu jestem skazany tylko na tabletki?!”. „Niestety, tak”, odpowiadam. „Oczywiście jeżeli te dolegliwości jeszcze się nasilą, do tego stopnia, że pan/pani nie będzie mógł/mogła sobie już poradzić, wtedy proszę o bezpośredni kontakt u nas w placówce. Może uda mi się

innym rozwiązaniem jest możliwość refundacji leczenia za granicą. Już teraz są pacjenci, którzy operują się ortopedycznie po wschodniej stronie Niemiec, a NFZ za te zabiegi płaci. Ale tu uwaga – to generuje olbrzymie koszty, bo ta sama procedura jest wyżej wyceniana za granicą niż w Polsce. Poza tym skorzystanie z niej wymaga dużo uporu.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji wielu chorych próbuje dostać się do szpitala przez SOR, gdzie codziennie padają pytania: „Od jak dawna pana boli?”. A odpowiedź: „Od trzech miesięcy”.

– I to kolejny problem, bo przecież na SOR powinniśmy zaopatrywać wyłącznie pacjentów w trybie absolutnie pilnym. W praktyce nie mogę

jednak nie przyjąć osoby, która czeka. Każdego muszę zbadać, sprawdzić, czy musi być leczony na SOR, czy może jednak w poradni.

Jaka jest skala problemu?

– Po każdym dyżurze koledzy zgłaszają mi problem: „Szeffie, mieliśmy 40 pacjentów, z czego urazowych, wymagających nagłego leczenia, tylko 12”. Czytaj: większość to ci, którzy przyszli, bo ich plecy bołą. Roszczeniowi. „Nie, nie będę czekał na przyjęcie do poradni. Proszę mnie natychmiast zbadać!”. Dlatego co do zasady jestem i za tym, żeby system publicznej służby zdrowia był skonstruowany tak jak prywatne placówki. Przykładowo: najniższy abonament wynosi 70 zł miesięcznie, co daje mi dostęp do lekarza. Ale ograniczony. Mogę dostać RTG, ale już nie USG. Żeby mieć USG, muszę mieć wyższy pakiet. A zabieg operacyjny – jeszcze wyższy pakiet. W praktyce: jeśli mam ubezpieczenie podstawowe i coś mi się stanie, to karetka zawsze zawiezie mnie do szpitala. Tam lekarz sprawdzi, czy w karcie ubezpieczeniowej mam diagnostykę, bo zapłaciłem stawkę miesięczną np. 300 zł. Jeśli tak, to nie ma problemu.

A jeśli nie?!

– To albo zakres czynności jest podstawowy, albo leczę pacjenta, ale potem wystawiam mu fakturę. Tak dzieje się przecież od lat w USA. Innym pomysłem mógłby być system niemiecki – dwa tygodnie temu byłem w dużym szpitalu ogólnym w Spandau. Co prawda, na zabieg alloplastyki stawu kolanowego czy biodrowego trzeba tam czekać, ale, co najistotniejsze, pacjent ma prawo dopłacić z własnej kieszeni do leczenia. Tak! W Polsce konstytucja zabrania takiego rozwiązania. Aby np. mieć jednoosobową salę, płaci się ok. 160 euro dziennie. Dodatkowe ubezpieczenie umożliwia także wskazanie operatora, np. ordynatora oddziału, a nawet skrócenie czasu oczekiwania na operację. Tymczasem w Polsce w XXI w. nadal jesteśmy w średniowieczu – fundujemy najdroższe terapie, jakie tylko mogą być. Wszystkim. Bez wyjątku. Nie mówiąc już o tym, że NFZ nie promuje placówek, które lepiej prowadzą leczenie, mają mniej powikłań. Przecież żaden system by tego nie wytrzymał!

Dorota Bartosewicz

Polska Misja Medyczna

W Syrii 250 tysięcy dzieci potrzebuje protez. Działaj z www.PMM.org.pl

Przekaż datkę 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Polski Wyziwiusz

Stoimy na krawędzi, widok jest skrajnie ponury. „Wyziwiusz” – tak go nazywa Antoś, bo krater dymi, a właściwie paruje ze skalnych szczelin. Zaiste, wygląda to wszystko raczej na wulkan, który właśnie się wybudza z drzemki i zaraz grzotnie, w każdym razie mógłbym postawić u bukmachera fortunę, że prędzej Wezuwiusz wybuchnie, niż upadnie w Polsce kaczym. Przewodnik uspokaja, ale tak zmyślnie, że wszyscy są jeszcze bardziej spietrani, stąpając po krawędzi kaldery. No bo niby nieopodal najstarsze na świecie obserwatorium wyczuwa najdrobniejsze zmiany sejsmiczne, kontroluje wszystkie wyziwy i w razie niebezpieczeństwa okolice Neapolu objęte są szczegółowym planem ewakuacji, z drugiej strony eksplozywność wulkanów jest cykliczna, no i wedle obliczeń właśnie nowy cykl ma się zacząć niebawem. Wzmogłą aktywność poprzedzają zawsze zauważalne zmiany w składzie emitowanych gazów, najpierw się pojawia dwutlenek węgla i inne toksyny – wtedy jest czas na ucieczkę.

Pompejanie nie wiedzieli, że ta góra wybucha, ale nawet gdyby wiedzieli, niewiele by im to dało – skoro dziś w społeczeństwie połowa nieszczępów i płaskoziemców, tym bardziej wtedy żadna Pytia nie dałaby rady ich przekonać. Owszem, ktoś tam uciekł, w tym piśmienny Pliniusz Młodszy, dzięki któremu znamy dramatyczny opis faz zagłady miasta, przysypanego sześciometrową warstwą pumeksu i popiołu, ale nawet on, cokolwiek rozumny, już feralnego poranka w roku 79 naszej ery ignorował pomruki Wezuwiusza, a nawet pierwsze wstrząsy. Mieszkańcy miast i osad położonych u stóp wulkanu byli przyzwyczajeni do tych zjawisk mniej więcej tak jak Górnolężacy do kopalnianych tąpnięć – sam Pliniusz, zanim zauważył, że trzeba brać nogi za pas, jak pisze w liście do Tacyta, wyszedł na podwórko, by przewracające się sprzęty domowe nie zakłócały mu lektury historii Rzymu, którą akurat studiował.

Instynkt samozachowawczy czasem nie wystarczy, zwłaszcza w sytuacjach bez precedensu, znanych nam tylko z drugiej ręki, a nie doświadczonych bezpośrednio – tu musi zapracować intuicja i wyobraźnia. Jedna i druga podpowiadają mi, że patrząc na tę wezuwianką gardziel piekła, Polskę się przyglądam. Jako społeczeństwo jesteśmy u progu katastrofy. Polityczne sejsmografy się rozedrgały, a trujących wyziwów mamy aż nadto na co dzień, dość spojrzeć na dowolne wydanie „Wiadomości” TVPiS. Długotrwały pokój nie jest przecież stanem naturalnym, w Europie nie było jeszcze takiego pokolenia,

które by przed wojną się uchowało, moi rodzice przeżyli tę światową, ja dotąd miałem szczęście prawie pół wieku przeżyć bez konfliktu zbrojnego w granicach kraju macierzystego, ale karnawał najwyraźniej dobiega końca. Ziemia musi czasem oczyścić się z magmy, wojna jest także cyklicznym womitowaniem historii; kiedy w ludziach dojrzewa zło, nabrzmiewa i w końcu pęka pod najdrobniejszym naciskiem, zwanym potem *casus belli*.

Polska zieje jadem, resentyment i nienawiść zadomowiły się w tym nieszczęsnym narodzie jako naczelną popędę, nadchodzi czas Tanatosa. Kiedy zjeżdżaliśmy ze zboczy Wezuwiusza skroś piarżysk lapilli, Antoś zapytał, czy w razie wybuchu zdążylibyśmy uciec do Polski. Chciało mi się powiedzieć: „na szczęście nie”.

Wróciliśmy z Kampanii październikowej w środek jesieni zimnej i bezlitosnej jak polo-katolicyzm. Wedle wstrząsających wyników sondażu najbardziej nieprzejednani wobec uchodźców przymierających w lasach Podlasia są praktykujący katolicy, to oni kategorycznie odmawiają prawa do jakiegokolwiek pomocy humanitarnej – nie do przyjęcia uciekinierów, ale prawa do opieki medycznej,

Polska zieje jadem, resentyment i nienawiść zadomowiły się w tym nieszczęsnym narodzie jako naczelną popędę.

wody, jedzenia, suchego przyodziewku. Episkopat milcząco wspiera tę zjadłość, biskupi nie robią nic, by zbrodnicze działania „obrońców granic” powstrzymać, piętnować czy choćby nieśmiało skrytykować. Zarazem Kościół nieustannie gędzi o miłosierdziu, a lada chwila w cyklu adwentowym nastroi katolicki *reisefieber*, wedle litery świętego pisma celebrujący drogę pary bliskowschodnich uchodźców do stajni, w której urodzi się dzieciątko zbawiciel. Tak jaskrawego dowodu na nieistnienie boga w polskim Kościele nie dostaliśmy nigdy dotąd. Katabas wylicza z ambony uczynki miłosierdzia: „Głodnych nakarmić. Spragnionych napoić. Nagich przyodziać. Podróżnych w dom przyjąć...”, czemu na klęczkach wtórują wierni wyznawcy, by tuż po wyjściu z kruchty udzielić żarliwej odpowiedzi ankieterom: „Ż a d n e j pomocy uchodźcom!”.

Wedle psychologów od podwójnego wiązania osobowość się rozpada, mówiąc wprost: ludziom odbija, no, chyba że zadziała silny mechanizm wyparcia. Wiernemu ludowi pisowskiemu pozostaje więc życzyć, by... wypierał. W podskokach.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Adam Zbyryt

**Kartezjusz
i zwierzęta-maszyny**

W dzisiejszych czasach mało kto twierdzi, że ptaki są niezdolne do odczuwania strachu. Do niedawna dla wielu ludzi nie było to jednak takie oczywiste. W XVII w. francuski filozof René Descartes, znany lepiej jako Kartezjusz, uznał, że zwierzęta to bezduszne, pozbawione rozumu, języka, samoświadomości, niezdolne do myślenia, pragnienia, głodu, a nawet odczuwania bólu, automaty. Kartezjańska koncepcja zwierzęcia-maszyny (fr. *bête machine*) drogo kosztowała (i dalej kosztuje) wiele zwierząt, gdyż pogląd ten na dobre zakorzenił się w naszej kulturze, a los polskich karp w okresie Bożego Narodzenia jest tego najlepszym przykładem.

Ptaki doskonale wiedzą, w jakim kierunku patrzymy.

Aby zrozumieć poziom okrucieństwa, jakiego dopuszczali się wyznawcy filozofii kartezjańskiej, warto spojrzeć na obraz XIX-wiecznego francuskiego malarza Émile'a-Édouarda Mouchy'ego pod tytułem „Fizjologiczna demonstracja z wiwisekcją psa”. W mrocznym, ciasnym pomieszczeniu, gdzie jedynym źródłem światła jest niewielkie okno, na niewielkim stoliku nakrytym białym płótnem leży na plecach spętany sznurami duży, rudo-biały pies. Prowadzący wiwisekcję rozcina mostek zwierzęcia, tłumacząc zapewne zawiłości anatomii dyskutującym i przyglądającym się tej scenie z wielkim zaciekawieniem 12 mężczyznom. Pies ma otwarty pysk i niewątpliwie wyje z bólu i cierpienia. Przy stoliku stoi jeszcze jeden szaro-biały pies podobnych rozmiarów, który obserwuje towarzysza niedoli. Zapewne czeka na swoją kolej. Ma otwarty pysk – jakby szcekał. A może skomli? Scena rodem z horroru, tym bardziej że na twarzach obecnych w pokoju osób nie widać cienia współczucia.

Czy te zwierzęta czują strach? Wiele osób, oglądając tę okrutną scenę, nie ma wątpliwości, że tak jest. Wątpliwości nie mieli także uwiecznieni na obrazie mężczyźni – w myśl nauk Kartezjusza skowyt bólu krojonego

Czy zwierzęta się boją?

O emocjonalnym życiu fauny

żywcem zwierzęcia to tylko dźwięki źle naoliwionej maszyny siłą rozbieraną na poszczególne części. Brzmi nieprawdopodobnie, ale w tamtych czasach był to powszechny pogląd, który usprawiedliwiał zadawanie cierpienia naszym mniejszym braciom.

Dopiero w XX w. badania nad odczuwaniem zwierząt stały się na tyle popularne, aby obalić twierdzenia Kartezjusza i jego następców. Stało się to głównie za sprawą wielkiego badacza – noblisty Konrada Lorenza. Jego spuściznę przejęli liczni uczniowie – zwłaszcza Nikolaas Tinbergen,

empatię. Naukowcy odczytują też bardzo mocne przesłanki wskazujące, że moralność nie jest wyłącznie ludzką domeną. Niezwykle dynamicznie rozwijają się badania nad teorią umysłu zwierząt, czyli zdolnościami rozumienia przez nie swoich mentalnych stanów oraz świadomością, że inne osobniki również je posiadają i że często są one odmienne (w skrócie: „wiem, że ty wiesz”, czyli co najmniej drugi stopień intencjonalności). Wiemy, że takie zdolności mają szympansy, słonie, wilki, psy, ale coraz więcej dowodów potwierdza istnienie teorii umysłu również u ptaków. Ze względu na to, że badania są nadal we wczesnej fazie, wiedza na ten temat ogranicza się zaledwie do kilku gatunków, głównie krukowatych. Jak to wygląda w praktyce?

Samiec sójki (*Garrulus glandarius*) przynosi swojej partnerce larwę barciaka (żałbca), gdy ta nasyciła swój głód larwami mącznika, lub podaje jej larwę mącznika, jeżeli ta właśnie zjadła barciaka. Robi to bezbłędnie tylko wtedy, gdy widzi, co ta włożyła sobie kilka chwil wcześniej do dzioba. Wszystko dlatego, że rozumie jej pragnienia. Mało kto po zaspokojeniu głodu kilkoma kawałkami pizzy miałby ochotę na kolejny, gdyby mu go podano. Co innego smakowity deser w postaci gałki czekoladowych lodów lub pysznej szarlotki na ciepło. Kto by odmówił?

Inne krukowate – gawrony – korzystają z teorii umysłu w innym celu. Ptaki te stosują wiele technik ochrony pokarmu przed potencjalnymi rabusiami, kiedy są obserwowane. Na przykład: konsumowanie zdobyczy na miejscu, kilkakrotne przenoszenie pokarmu w celu zwodzenia obserwatorów, redukcowanie chowanej ilości pożywienia, zaprzestanie ukrywania przy świadkach, chomikowanie w odległych, osłoniętych miejscach. Gawrony są świadome tego, że inne osobniki mają chrapkę na ukryte przez nie przysmaki. Okazuje się, że nauka tego typu zachowania na zasadzie prób i błędów jest bardziej

również laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny lub fizjologii – którzy rozwijali badania nad zachowaniem zwierząt. Naukę tę nazwano etologią. To kontynuatorzy myśli Lorenza jako pierwsi odczarowali postrzeganie zwierząt jako zaprogramowanych, bezmyślnych maszyn i udowodnili, że ich reakcje oraz uczucia są bliższe zwierzęciu, dla którego były one dotychczas zarezerwowane – człowiekowi.

**Ptasi mózdzek,
czyli synonim inteligencji**

Dziś mamy mocne przesłanki, by sądzić, że wielu kręgowcom – jak naczelnice, słonie, walenie, wilki, szczury czy myszy – nieobce są stany emocjonalne takie jak żal, żądza, tęsknota, szczęście, radość, smutek czy gniew. Dlaczego zatem nie strach? Jeżeli bierzemy pod uwagę gniew, musimy przyjąć, że ptaki odczuwają również strach. To wynika wprost z teorii emocji Roberta Plutchika, który uważał te dwie pary za nieodzowne przeciwstawne elementy, podobnie jak radość i smutek, wstręt i zaufanie, zaskoczenie i oczekiwanie. Jedna nie może istnieć bez drugiej – jak *yin* i *yang*.

Istnieją solidne dowody na to, że zwierzęta posiadają wrodzoną



Émile-Édouard Mouchy, „Fizjologiczna demonstracja z wiwisekcją psa”.

skomplikowana niż teoria umysłu. Ponieważ ewolucja dąży do optymalizacji, nie pozwala sobie na zbyt kosztowne rozwiązania, co przemawia na korzyść tego wyjaśnienia.

Naukowiec i świetny pisarz w jednym, Bernd Heinrich, w swojej książce „Umysł kruka” opisuje, jak badane przez niego kruki pocieszały przegranego po konflikcie. By to czynić, musiały posiadać choć zaledwie wiedzę na temat stanu psychicznego swego pobratymcy. Nathan Emery w doskonałej książce „Ptasia inteligencja. Rozważania nad intelektem ptaków” dowodzi natomiast, że określenie „ptasi mózdzek” nabrało przeciwnego znaczenia, niektóre krukowate i papugi bowiem to „opierzone małpy”. Określenie to powinno się obecnie odnosić do kogoś o wyjątkowych zdolnościach i wysoko rozwiniętej inteligencji, a nie do osoby cechującej się ograniczonym rozumowaniem. Potrzeba jednak jeszcze sporo czasu, zanim ten pogląd przebiję się do powszechnej świadomości.

Wracając do strachu – istnieje doskonały przykład teorii umysłu związanej z lękiem przed drapieżnikiem, a dotyczy on niewielkiego i niezwykle pięknie ubarwionego ptaka pochodzącego z Indii – żółty wschodniej (*Merops orientalis*). Ptaki te potrafią rozpoznać, czy drapieżca z miejsca, w którym aktualnie przebywa, ma

możliwość dostrzeżenia wejścia do ich gniazda (żółty kopią około metrowej głębokości norki), i dostosować do tej sytuacji częstotliwość karmienia młodych. Poza tym ptaki doskonale wiedzą, na co patrzy potencjalny napastnik, więc zmieniają swoje zachowanie w zależności od skali zagrożenia. Rozumieją zatem i dostrzegają położenie swoje, norki oraz drapieżnika i potrafią połączyć

Nawet tak „głupie” w powszechnej opinii ludzi ptaki jak kury czy emu okazują się mądrzejsze niż niejeden ssak.

te fakty w całość, wyciągając właściwe wnioski. Wiedzą, co i jak widzi inny osobnik. Potrafią przyjmować cudzą perspektywę – niekoniecznie tego samego gatunku.

Udowodnili to indyjscy naukowcy. W pierwszym z testów przebywali w dwóch lokalizacjach w różnym czasie w tej samej odległości od gniazda, przy czym jedna pozycja była niczym nieoślonięta, pozwalała więc na dobrą obserwację wlotu do tunelu, a druga znajdowała się za barierą w postaci krzaka, skały, pagórka czy muru. Ptaki znacznie rzadziej odwiedzały gniazdo, gdy obserwator miał nieoślonięty widok na wlot do norki, bo ta lokalizacja ułatwiała mu jej dostrzeżenie. W drugim eksperymencie

naukowcy sprawdzali, jak kierunek ustawienia głowy, a właściwie skierowanie wzroku wpływa na częstotliwość odwiedzania gniazda. W tym przypadku żółty zdecydowanie rzadziej karmił młode, gdy norka była poddawana bezpośredniej obserwacji, niż gdy patrzono na grzędę, na której zazwyczaj przesiadywały, lub gdy eksperymentator nie kierował swojego spojrzenia na żaden z tych elementów. Teoria umysłu w najczystszej postaci!

Żółty potrafił określić możliwości dostrzeżenia gniazda przez konkretnych obserwatorów i elastycznie dostosować swoje zachowanie do poziomu zagrożenia, jakie może to powodować. Musiały zdawać sobie sprawę, że mimo tej samej odległości od gniazda nie z każdego miejsca obserwator widzi je równie dobrze. Dokładnie wiedziały, kiedy widzi norkę, a kiedy nie może jej dostrzec. To wymaga głębszego zrozumienia rzeczywistości – „wiem, że ty widzisz” – a więc co najmniej drugiego poziomu intencjonalności. Ptaki miały świadomość, że stojący za krzakiem lub murkiem eksperymentator musi mieć z tym duży problem, więc mogły czuć się bezpiecznie i spokojnie karmić pisklęta. Potrafiły również odczytywać poziom niebezpieczeństwa związany z kierunkiem, w jakim patrzył naukowiec. Tylko bezpośrednie skierowanie wzroku na norkę sprawiło, że jej

unikaty, gdyż mogło się to wiązać ze zbyt dużym niebezpieczeństwem – zdradzeniem potencjalnemu drapieżnikowi miejsca lęgu.

Wszystko to nie wydaje się nazbyt odkrywcze uważnemu obserwatorowi ptaków. Każdemu z nas prawdopodobnie zdarzyło się podglądać ptaki w ogrodzie lub sikory czy szpaki przy budkach, kiedy karmiły młode. Czy nie było właśnie tak, że gdy patrzyliście bezpośrednio na wejście do budki, ptaki nie chciały do niej wlecieć? Niektórzy zapewne próbowali nawet fotografować ten moment i irytowali się, że ptaki, które dotychczas tak często i ochoczo odwiedzały swoje młode z dziobami pełnymi soczystych, zielonych gąsienic, nagle

► nie wracali przez długie minuty. Ale gdy tylko znudzeni opuściliście aparat i zaczęliście się rozglądać w poszukiwaniu czegoś interesującego, np. przelatującego właśnie motyla, nagle kątem oka dostrzeżliście ruch. Tak, to rodzic wszedł właśnie do budki! A nam umknęła szansa zrobienia wyckiwanej fotografii. Dlaczego?

To znów teoria umysłu. Ptaki doskonale wiedzą, w jakim kierunku patrzymy, i to mimo faktu, że ich oczy oraz sposób patrzenia i postrzegania

stosunek masy mózgu do całego ciała. Okazało się, że w przypadku ptaków to przeliczenie ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, co potwierdziły badania nad 28 gatunkami, opublikowane w 2016 r. w czasopiśmie „Proceedings of the National Academy of Sciences of the United States of America” (PNAS). Wśród badanych gatunków znalazło się 13 przedstawicieli ptaków śpiewających, w tym sześć krukowatych, 11 gatunków papug, płomykówka,

pierwsze mają 200 mln neuronów, a drugie – 483 mln. Nie powinno dziwić, że absolutnym rekordzistą okazał się kruk z liczbą neuronów przekraczającą 2 mld w mózgu o masie 10,2 g! A jak na tym tle wypada człowiek z masą mózgu w granicach od 1225 do 1375 g? Całkiem nieźle – aż 86 mld neuronów, choć wcześniej sugerowano, że jest ich co najmniej 100 mld.

Porównanie tych wartości pomiędzy gatunkami ptaków wykazało, że liczba neuronów w mózgach o podobnej masie należących do papug i drobnych ptaków śpiewających jest bardzo zbliżona. A to przecież papugi wraz z krukowatymi są uważane za najmądrzejsze wśród ptaków. Jakby tego było mało, badania pokazały, że liczba neuronów w ich mózgach jest dwa razy większa niż w przypadku małych nieczłokształtnych (innych niż szympansy, orangutany i goryle, po angielsku określane jako *primates*) i do czterech razy większa niż u gryzoni, u których te organy mają masę zbliżoną do ptasich odpowiedników. W przypadku mózgów ptaków nie wielkość, ale jakość ma znaczenie. Współautorka opisywanych badań, Suzanaerculano-Houzel z Uniwersytetu Federalnego Rio de Janeiro, tak podsumowuje to fundamentalne odkrycie: „Przy projektowaniu mózgu natura ma dwa parametry, którymi może się bawić: wielkość i liczbę neuronów oraz ich rozmieszczenie w różnych ośrodkach mózgowych. W przypadku ptaków odkrywamy, że natura użyła obu”.

Nawet tak „głupie” w powszechnej opinii ludzi ptaki jak kury czy emu okazują się mądrzejsze niż niejednen ssak. Inteligencja kognitywna tych zwierząt – czyli mówiąc najprościej: umiejętność rozwiązywania niekonwencjonalnych problemów – i zdolności poznawcze stale zaskakują naukowców. I nieraz jeszcze zaskoczą. Czy to nie dobry czas, aby przededefiniować znaczenie zwrotu „ptasi mózdzek”? Może należałoby go zastąpić „ssaczym”, a przynajmniej „szczurzym”? To wyzwanie dla twórców kolejnych wydań słownika frazeologicznego.

Fragmenty książki Adama Zbyrty *Krajobraz strachu. Jak stres i strach kształtują życie zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2021



Wielu kręgowcom nieobce są stany emocjonalne takie jak żal, żądza, tęsknota, szczęście, radość, smutek czy gniew.

otoczenia są diametralnie odmienne od naszych. Choć nie ma zbyt wielu badań takich jak te dotyczące żołą wschodnich, to obserwatorzy przyrody nie potrzebują dowodów, aby wiedzieć, że ten mechanizm występuje u ogromnej liczby ptaków (jeśli nie u wszystkich). Sam znam co najmniej kilkanaście gatunków, które zachowują się w podobny sposób. Reagują tak wspomniane szpaki i sikory, a także czajki, rycyki, sieweczki, kosy, śpiewaki, pokrzewki, dzięcioły, wróble, mazurki, kawki, dzwońce, makolągwy i oczywiście nasze krajowe żolty (*Merops apiaster*). I wiele, wiele innych.

Dotychczas podstawową miarą określającą inteligencję zwierząt był

gołąb miejski, kur bankiwa i emu. Nie będzie zapewne zaskoczeniem fakt, że znalazła się wśród nich również bogatka. Naukowcy wykazali, że mózgi ptaków mają więcej neuronów niż mózgi ssaków o podobnej masie, u tych pierwszych są one także gęściej umieszczone. Nasz najmniejszy krajowy ptak, mysikrólik (*Regulus regulus*), w swym ważącym zaledwie 0,36 g mózgu ma 160 mln neuronów, a mysz posiadająca organ podobnych rozmiarów i ważący 0,42 g – tylko 71 mln, zatem ponad dwa razy mniej. Nawet znane ze swej niezwykłej inteligencji szczury (masa mózgu 1,8 g) wypadają blade przy szpakach (*Sturnus vulgaris*; 1,86 g), gdyż te

unicef
dla każdego dziecka

**Pomóż
dzieciom w Syrii
przeżyć wojnę**

unicef.pl/syria

© UNICEF/Hasen

MSZ, czyli zawartość cukru w cukrze

Jak wiadomo, w filmie „Poszukiwany, poszukiwana” Stanisława Barei tę zawartość badał „profesor” grany przez Mieczysława Czechowicza. I nigdy nie otrzymał wyniku badania, bo produkował coś zupełnie innego. Współcześni badacze, pochodzący z obecnie rządzących, badają liczbę swoich zwolenników w odzyskanym MSZ. Jednemu z badaczy, byłemu wiceministrowi spraw zagranicznych z PiS, wyszło, że teraz 80% pracowników MSZ to zwolennicy koalicji rządzącej.

Naszym zdaniem opinia ta może być prawdziwa w odniesieniu do kadry kierowniczej w centrali i na placówkach. Rzeczywiście wśród ministrów, dyrektorów departamentu, ich zastępców, ambasadorów i ich zastępców, konsulów generalnych czy dyrektorów Instytutów Polskich jest co najmniej 80% zwolenników rządzących. Pisowska miotła była na tych szczeblach szczególnie skuteczna. Pozostali, szeregowi pracownicy, mają jednak swoje preferencje polityczne. Nie znamy wiarygodnych badań na ten temat. Ponieważ jednak jest to zbiorowość licząca mniej więcej 5 tys. osób, wykształconych, mieszkańców dużego miasta, sądzimy, że ok. 60% to zwolennicy obecnej opozycji, 35% to zwolennicy PiS i Konfederacji, a 5% nie chodzi na wybory. Podobnie kształtowało się w ministerstwie czytelnictwo e-gazet (zanim kierownictwo zlikwidowało ich prenumeratę). Ponad 50% pracowników czytało, regularnie, „Gazetę Wyborczą”, „Rzeczpospolitą”, „Politykę” i „Newsweeka”. Znacznie rzadziej sięgano po „Gazetę Polską Codziennie”, „Gazetę Polską”, „Sieci” czy „Do Rzeczy”.

Wniosek jest następujący: wiele pozostało do zrobienia, by odzyskać w pełni MSZ. Ale – szanowna władzo – wiemy, jak to zrobić! Wystarczy przywrócić znaczenie

polityczne i etos służby zagranicznej, zagwarantować równość szans wszystkich pracowników, bez faworyzowania osób typu Klaudiusz Tchórzewski czy Monika Sobczak, zrównać szanse na awans pracowników po aplikacji z szansami pracowników zewnętrznych, wreszcie zlikwidować opodatkowanie dodatków zagranicznych, by pensje dyplomatów były nie na poziomie bułgarsko-rumuńskim, ale bliżej Grupy Wyszehradzkiej. Przede wszystkim musi być jednak wola polityczna rządzących, by to MSZ było odpowiedzialne za kreowanie i realizację polityki zagranicznej.

Ech, takiej woli politycznej nie ma i nie będzie aż do zmiany władzy.

Tym, którzy będą przywracać rolę ministerstwa w polityce zagranicznej Polski, polecamy powyższe, proste w sumie, zasady. Być może będą wśród owych przywracających politycy obecnie związani z Polską 2050: Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paweł Zalewski. Pełczyńska-Nałęcz zna resort, a Paweł Zalewski był przyzwoitym człowiekiem nawet jako przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu za pierwszego PiS w latach 2005-2007. Potrafił „dać odpór” nie tylko niegodziwościom raportu Macierewicza, ale również dziennikarzom, którym myliły się imiona dyplomatów w tym raporcie wymienionych. Żurnaliści domagali się natychmiastowego odwołania ambasadora Krzysztofa Szumskiego z Pekinu, a w raporcie wspomniany był Stanisław Szumski z Chicago. Paweł Zalewski zwrócił i na to uwagę. A Krzysztofa Szumskiego bliscy koledzy do dziś żartobliwie nazywają Staszkiem.

Attaché



Sprzedawca ryb na targu w Port-au-Prince. Haiti, 29 października 2021 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- zbiór liter
- w nim babcia z kurką w wierszu Tuwima
- szkoła założona w Atenach przez Platona
- część wynagrodzenia przed właściwą wypłatą
- niepodpisany list
- w tym kraju Góry Domeyki
- periodyk

- koniec wieńczy...
- ...Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej
- alergiczna choroba skóry
- imię autora powieści „Zmory” i „Motory”
- PWN lub chodząca
- angielska szkoła męska z internatem
- ruchy rąk podkreślające słowa

- ciasno zasznurowany Scarlett O'Hary
- doskonałość bez skazy
- jego przedstawicielami Monet i Degas
- lekarz chorób wewnętrznych
- i krzew, i odmiana ziemniaków
- ...Mazowiecki, brat Leszka Białego
- nić do haftowania lub szydełkowania
- chory w wierszyku Stanisława Jachowicza
- biblijny potwór morski i sieć sklepów

- gra liczbowa z kumulacją
- w tym muzeum „Mona Lisa”
- szef resortu
- bagno, grzęzawisko
- puścić w nią to wyrzucić z serca urazę
- przestarzałe o ubraniu
- przedzimowa to ziębła
- kłapouchy malec
- ...zajączek wśród borowikowatych
- pozytywna cecha, walor
- szefuje na planie filmowym
- popisy zręczności kowbojów
- ćwiczenia ruchowe w takt muzyki
- astronom Carl, pisarka Françoise

- niezależność, autonomiczność
- nie powierzaj go papli
- odłam partii lub flanki
- samowolny, despota, mini-Zamoyski Sienkiewiczowski
- uczucie po obfitym posiłku
- przed hulanką i swawolą
- „...o łuskaniu fasoli” Myśliwskiego
- okrutny gęsi na stłuszczone wątroby
- zdecydowanie, nieustępliwość, surowość
- i praca, i areszt nałożony na czyjaś własność
- nerwus, drażliwiec, choleryk

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1038”. Do rozlosowania książki „Lokatorka Wildfell Hall” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 listopada 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1035” z nr. 43: Nieśmiali tracą częściej.

Nagrody otrzymują: Dorota Kowalska z Radomiec, Lech Kręciwilk ze Złocieńca, Ireneusz Wanecki z Bielani Wrocławskich.

PENETRACJE

FORUM
STYL WOLNY

JÓZEF KABAJ,
REDAKTOR NACZELNY

Smutno zabrzmiało to, co powiem, ale powiem: wiara, że ludzie są lepsi, niż się okazują, jest naiwnością; dotkliwą przeżyciem, a niekiedy nawet szkodliwą. No i co z tego? Ano to, że należy uczyć dzieci i młodzież niewiary. Choćby nie wiem co... Pamiętam, jak jeden z naszych profesorów – prawie bliski śmierci, lecz jeszcze wykładający (wówczas tylko w domu) – dał nam kiedyś pewną radę. Niejako na marginesie swojego wykładu z literatury greckiej, cytując bodaj Menandra, powiedział: – Gdyby komuś z was marzyła się kariera uczonego/uczonej, niech pamięta tę oto wskazówkę starożytnego poety – „Pamiętaj nie wieść”. Powiedział tak, choć był wierzący.

wysokieobcasy

KATARZYNA
DOWBOR,
DZIENNIKARKA

Przyjeżdżam na miejsce, a tam pięciu fotoreporterów. Podchodzę, witam się z nimi i mówię: „Panowie, mam taki trudny czas, choruję, nie wyglądam dobrze”. Poprosiłam, żeby nie robili mi zdjęć. Pokiwali głowami. Trzech odłożyło aparaty. Dwóch tak kombinowało, że zdjęcia zrobili. Komentarze: „Jak się ta Dowbor rozżyła”, „Jak ona wygląda!”, „W ogóle o siebie nie dba”. Mimo serdecznej prośby tamci dwaj panowie postanowili zdjęcia zrobić. Wierzę w ludzi, wierzyłam, że można porozmawiać jak człowiek z człowiekiem. Jestem miła dla paparazzich, nie gwiazdorzę. Nie wiem, ile ci panowie dostali, żeby sprzedać miłe-

go człowieka. Wciąż we mnie tamta sytuacja siedzi. Ten mój większy rozmiar to już na szczęście przeszłość. Do młodzieńczej figury nie wrócę, ale jest całkiem niezłe. A tamte zdjęcia wciąż krążą po świecie i ludzie komentują.

zwierciadło

PROF. ZBIGNIEW
IZDEBSKI,
SEKSUOLOG

Jest niemała grupa dojrzałych Polek, które kupują sobie seks za granicą. To profesorki uniwersyteckie, lekarki, farmaceutki, biznesmenki, które od lat współpracowały z koleżankami po fachu z krajów zachodnich i obserwowały ich styl życia. Są majątkowe, niezależne, świadome swoich potrzeb, swobodne, nie mają większych oporów przed wizytami w nocnych klubach kurortów ani wyrzutów sumienia czy skrupułów moralnych, gdy płacą za seks.

STYL

MAGDA MOŁEK,
DZIENNIKARKA

Buntuję się, kiedy słyszę: „Udało ci się!”. Szczególnie my, kobiety, nadużywamy tego skrótu myślowego, deprecjonując swój wkład we własny sukces. Nic mi się nigdy nie udało, bo wiem, jak ciężko pracowałam i jednocześnie wychowywałam dzieci, ogarniałam dom, codzienność, wspierałam męża w karierze. Za wszystkim, co osiągnęłam, stoi praca nad sobą, by zrobić ten pierwszy krok, kiedy inni mówią: „Nie rób”. Nauczyłam się też ignorować słynne „Co ludzie powiedzą”. Opinia obcych nie ma mocy nad nami.

Aby język giętki...

JAN PESZEK O CHOROBIĘ MITU

Jedna połowa Polski nie chce się obudzić ze snu o papieżu Polaku i żołnierzach wyklętych, a druga ze snu o naszej europejskości.

PROF. MICHAŁ GŁOWIŃSKI
O PAŹDZIERNIKU '56

Kwestionowanie znaczenia ruchu październikowego jest głęboko niesłuszne i niemądre.

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI
O ABP. MARKU JĘDRASZEWSKIM

Dopóki nie wyjaśni sprawy Paetza, to zawsze ludzie będą mu to wyciągać. Nie może milczeć i nie powiedzieć, jaka była prawda.

JERZY URBAN O PiS

Nazywają teraz Polskę umiowaną ojczyzną, ale kraj słabo reaguje na zaloty.

KRZYSZTOF JAROSZYŃSKI
O TĘSKNOCIE ZA PRZESZŁOŚCIĄ

Bo wtedy widzieć musiał podciągając się do poziomu artysty. Dziś artysta musi poniżyć się do poziomu widza.

JACEK NIZINKIEWICZ
O MICHALE DWORCZYKU

Im dłużej będzie szefem kancelarii premiera, tym większe są szanse, że zatopi cały rząd.

MAŁGORZATA SZUMOWSKA
O MAI OSTASZEWSKIEJ

Czasem mam wrażenie, że pomaganie, zaangażowanie społeczne jest dla niej ważniejsze niż... granie.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYK
O SAMOCHODACH ELEKTRYCZNYCH

Nie mówi się, że w takim samochodzie jesteśmy w mocnym polu elektromagnetycznym. Dzisiaj to jeszcze problem nierozwiązany.

JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI O CIĄŻY

Wagę sprzed ciąży osiągnęłam 12 dni po porodzie, pojęcia nie mam jakim cudem.

JULIA RÓŻEWICZ O DZIADKU TADEUSZU

Mógłby zostać prezesem Klubu Wiewiórki. Gdy zmarł, miał 93 lata i wszystkie zęby swoje. Mył je po każdym posiłku, używał nici dentystrycznej.



95-letnia królowa Elżbieta II za kierownicą jaguara.



Ta mapa jest niedostępna w Twoim kraju

Użytkownicy Netfliksa na Filipinach nie mogą obejrzeć drugiego i trzeciego odcinka serialu szpiegowskiego „Pine Gap” – platforma usunęła je z oferty, gdyż zdaniem władz tego kraju naruszają one jego suwerenność. Powodem interwencji rządu jest pojawienie się na ekranie mapy, którą posługują się Chiny w celu uzasadniania swoich roszczeń terytorialnych w rejonie Morza Południowocchińskiego. Wcześniej z tego samego powodu Netflix usunął „Pine Gap” z oferty dla widzów z Wietnamu. Jak widać, firma nie ma zamiaru bronić swoich seriali jak niepodległości.

Zamienił kierownicę na kijek

W witrynę jednego z łódzkich sklepów wjechało auto kierowane za pomocą... kijków do nordic walkingu. 61-letni właściciel pojazdu wyjaśnił, że gdy był na zakupach, ktoś zaparkował w sposób uniemożliwiający mu otwarcie drzwi od strony kierowcy. Mężczyzna postanowił uruchomić swoje czerwone renault, siedząc na miejscu pasażera, a następnie wyjechać z parkingu, sterując kijkami, które miał pod ręką. Skończyło się staranowaniem ściany placówki handlowej oraz mandatem, co przeczy powszechnemu przekonaniu, że *nordic walking* jest jednym z najtańszych sposobów uprawiania sportu.

Pitagoras w królestwie Erosa

Filmy edukacyjne o tematyce matematycznej, nagrane przez tajwańskiego nauczyciela w języku mandaryńskim, wygenerowały już 1,8 mln wyświetleń na popularnym portalu pornograficznym. Co istotne, materiały, które 34-letni Chang Shu publikuje jako changshumath666, są w pełni wolne od treści dla dorosłych. Mimo to budzą żywe zainteresowanie odbiorców, przekładające się na niemałe zyski ze sprzedaży autorskiego kursu królowej nauk. Zamiast puenty mamy dla Was motto niesablonowego belfra: „Baw się ostro, ucz się ostro”.

Myślenie ma przyszłość (w Quebecu)

W kanadyjskim Quebecu lekcje etyki i religii zastąpi nauka m.in. świeckości i samodzielnego myślenia. Konkretniej, przedmiot kultura i obywatelstwo quebeckie będzie w szkołach podstawowych i średnich stopniowo zastępował przedmiot etyka i kultura religijna. Autorzy reformy tłumaczą, że ich celem jest, by dzieci i młodzież uczyły się krytycznego myślenia, w tym świadomego korzystania z mediów, ale także szacunku do siebie i innych, wolności sumienia i słowa, dialogu, praw obywatelskich czy równości. Czy to już czas, by polski rząd ruszył Kanadyjczykom z odsieczą i wysłał za ocean batalion egzorcystów?

Znasz fermentację? Zjesz kolację

Okazuje się, że dieta górników z epoki brązu zawierała m.in. dojrzewający ser z niebieską pleśnią i piwo. Główny autor publikacji na ten temat, mikrobiolog Frank Maixner, skomentował, że był zaskoczony, gdy się dowiedział, że 2,7 tys. lat temu na terenie dzisiejszej Austrii ludzie potrafili już celowo wykorzystywać fermentację w kuchni. Co warto podkreślić, według naukowców odkrycie jest najwcześniejszym dowodem dojrzewania sera w Europie. Ten *news* zasługuje na uhonorowanie kuflem czegoś zimnego!

Bez rodziny ani leż

W rosyjskim Tomsku mężczyzna o imieniu Siergiej przebrał się za lekarza, aby się opiekować babcią leżącą na oddziale



Rzadki okaz kaczki mandarynki. Lincolnshire, Anglia.

covidowym. Wyjaśnił, że założył odzież ochronną, wszedł do szpitala i zajmował się chora przez trzy dni, m.in. podając jej jedzenie i lekarstwa oraz zmieniając bandaż, gdyż był niezadowolony z tego, jak traktuje ją personel. Lokalne władze zapewniły, że przyglądają się jego skargom. Nie od dziś wiadomo, że w pewnym wieku na chorowanie można sobie pozwolić, tylko jeśli ma się wnuki.

Kennedy jak Godot

Kilkaset osób bezskutecznie czekało w Dallas na powrót Johna F. Kennedy'ego Juniora, nieżyjącego od 1999 r. syna zamordowanego prezydenta, który miał ogłosić Donalda Trumpa biblijnym „królem królów” i utorować mu drogę do odzyskania władzy. Pojawiały się też zapowiedzi, że wróci sam JFK i to on namaści Trumpa na przywódcę. Kennedy Junior miał się objawić dokładnie o 12.30 miejscowego czasu, czyli o godzinie, w której doszło do zamachu na jego ojca. Jedno wiemy już na pewno: nawet jeśli facet żyje, nie jest szczególnie punktualny.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz

e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogowski,
Jan Ordynski, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Mira Smerek-Bielecka

ŚWIATY NIERZECZYWISTE, ŚWIATY UKRYTE...

Jej malarstwo charakteryzuje się dużą różnorodnością środków. Artystka wykształciła oryginalny styl i pozostała wierna swojej życiowej pasji. Oczywiście styl ten ewoluował w wyniku prób. We wcześniejszych okresach wiele ujmowała w prostej formie, zamykając swoje „opowieści” w kufrach, walizkach, torebkach (cykle „Walizki”, „Torebki” czy „Parawany”). W nowszych obrazach przedstawia scenki rodzajowe i figuralne w uproszczonym pejzażu. Odwołuje się do pokładów ludzkiej pamięci, wyobraźni i głęboko zakorzenionych archetypów. Poetyka jej obrazów nastroja do wspomnień.

V.A. Gallery Poland

Poznań – Wysogotowo, ul. Wierzbowa 162
do 30 listopada

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Urodzinowy koncert



Spotkanie na skałach



Lolitki

EnergacAMERIMAGE



29.

MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY

13–20.11.2021, TORUŃ
KUJAWSKO-POMORSKIE

projekt graficzny: PRZEMISŁAW KOTYŃSKI

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY

WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ ORAZ WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

SPONSORZY PARTNERZY ORAZ INI

SPONSOR STRATEGICZNY

ORGANIZACJA I PRODUKCJA

FUNDACJA TUMULT

EUROPEJSKIE CENTRUM FILMOWE CAMERIMAGE

WYDARZENIE WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU REGIONALNEGO W RAMACH REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO NA LATA 2014-2020

www.visitTorun.com **www.energacamerimage.pl** **camerimage** **camerimage.festival**

VALÉRIE LEMERCIER

Aline

GŁOS MIŁOŚCI

GŁOS MIŁOŚCI

FILM SWOBODNIE INSPIROWANY
ŻYCIEM CÉLINE DION



FESTIVAL DE CANNES
OUT OF COMPETITION
2021 OFFICIAL SELECTION

REŻYSERIA

Valérie Lemerrier

W KINACH



eprasa.pl f0974950bc